

WROGOWIE KOŚCIOŁA NIE USTAJĄ

**Jak powstrzymać coraz większą falę
błuźnierstw przeciw Maryi**



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 35/593 26 SIERPNIA–1 WRZEŚNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**Tajna misja „Andromedy”?
Zagadka wysadzenia
gazociągów Nord Stream**



**Czy atak na obwód kurski
to drażnienie nuklearnego
niedźwiedzia?**

Ukrainizacja Polski

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
3 5 >
9 772299 850006
Nakład: 46 800 egzemplarzy

RAPORT „DO RZECZY” O GROŹNYM PROCESIE

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



PRL NA KRAWĘDZI NUKLEARNEGO ARMAGEDONU

Atomowy deszcz nad Wisłą – Rola przydzielona przez Moskwę PRL w konflikcie Wschód – Zachód oznaczałaby dla naszego kraju totalną zagładę

Śmiertelne starcie kuzynów – Nie brak opinii, że bitwa pod Zawichostem była największym zwycięstwem polskiego oręża w okresie średniowiecza, aż do starcia z Krzyżakami pod Grunwaldem

Kuchenna klątwa Albionu – Anglicy skolonizowali połowę świata i zarządzili handlem przyprawami. Dlaczego więc ich potrawy uchodzą wśród cudzoziemców za niezjadliwe?

Cesarzowa z lupanaru – Rzym nie znał drugiej tak zdemoralizowanej władczyni. Messalina nocami obsługiwała klientów domu publicznego, a w dzień planowała krwawe intrygi

Mengele Stalina – Grigorij Majranowski był szefem laboratorium NKWD, w którym opracowywano trucizny pozwalające zabijać bez pozostawiania śladów. Wypróbowywano je na skazanych na śmierć

Polski akcent Conrada – Sto lat temu zmarł Joseph Conrad, klasyk literatury światowej, który do końca pozostał jedną wielką enigmą

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Warto wspierać Bułgarów

Kilka dni temu bułgarski parlament przyjął ustawę zakazującą promocji ideologii LGBT w szkołach. Co ciekawe, projekt poparła zdecydowana większość posłów. Z powodu tej ustawy Bułgaria jest atakowana przez Biuro Praw Człowieka ONZ oraz Unię Europejską.

Kiedy przeczytałem tę informację, pomyślałem o dwóch rzeczach. Po pierwsze, okazuje się, że nawet państwo należące do Unii Europejskiej i do NATO potrafi zdobyć się na prawdziwie suwerenny akt, którego celem jest obrona własnych obywateli, w szczególności dzieci, przed walcem tęczowej tyranii.

Po drugie, i to była smutna refleksja, Bułgaria potrafiła zrobić to, na co nie było stać Polski przez osiem lat rządów PiS. Mimo głośnych deklaracji i niedającego się wręcz wytrzymać gadulstwa polscy prawnicy politycy okazali się, jak widać, mniej odważni i mniej roztropni od bułgarskich. Spoglądając ze strachem na Unię Europejską i dając się szantażować opowieściami o złotych górach, które rzekomo otrzymają, nie wprowadzili kluczowego prawa chroniącego rodziców przed napływem tęczowej propagandy i fali pseudoseksedukatorów. Dlatego dziś polscy rodzice są wobec przewagi aktywistów LGBT bezbronni, bułgarscy natomiast, tak jak wcześniej węgierscy, mają w ręku prawo, do którego w starciu z potęgą Unii i wielkich korporacji mogą się odwoływać.

Bułgarską ustawę poparło aż 159 parlamentarzystów, przy sprzeciwie zaledwie 22. To też świadczy o większej dojrzałości bułgarskiej klasy politycznej. W Polsce pogoń za Zachodem i małpowanie nawet najgłupszych i najbardziej szkodliwych pomysłów ideowych, byle tylko przychodziły z Unii czy USA, sprawiają, że tak szerokie poparcie dla podobnej ustawy nie byłoby możliwe.

Na razie Bułgarzy wytrzymują też presję Zachodu, a ich prezydent ustawę podpisał. Liz Throssell, rzecznik Biura Praw Człowieka ONZ, pierwsza zaapelowała do władz Bułgarii, by te „ponownie rozpatrzyły ustawę w świetle międzynarodowych zobowiązań kraju w zakresie praw człowieka”. Można zatem sądzić, że ONZ będzie naciskać na rząd i parlament w Bułgarii, aby te rewidowały swoje stanowisko. Dlaczego? Dlatego że ONZ już dawno stało się jednym z głównych promotorów tęczowej perwersji, co w żargonie urzędniczym nazywa się obroną międzynarodowych praw człowieka. To prawa, które sprawiają, że określenie swej płci i orientacji przez niedojrzałe dziecko pod wpływem propagandy ma być ważniejsze niż prawo rodziców do jego wychowania.

Oczywiście na ONZ się nie skończyło. Bułgarscy aktywiści LGBT, a więc odpowiednicy polskiego Barta Staszewskiego, już zdążyli ogłosić, że przepisy są inspirowane z Rosji i „znalazły drogę do serca Europy”. Mechanizm ten wygląda wszędzie tak samo: ilekroć społeczeństwo próbuje się buntować przeciw rewolucji, tylekroć okazuje się, że robi to z inspiracji Putina. Metoda „reductio ad Putinum” ma zamknąć usta konserwatystom i wymusić na nich uległość. Każdy, kto próbuje powstrzymać zachodnich wokersów, staje się – zgodnie z tą linią propagandową – obiektywnie sojusznikiem Putina.

Ta reakcja UE czy ONZ (czekam jeszcze na protest Joe Bidena i Kamali Harris) nie jest niczym zaskakującym. Dla radykałów wrogiem jest – jak by mogło być inaczej – państwo narodowe. Swojego obrońcy upatrują zatem w globalistycznych organizacjach ponadnarodowych. Im dalej postępuje rewolucja genderowa, tym bardziej jest ona zębna dla

tożsamości, a nawet dla przetrwania narodów. Wokersi idą tutaj drogą wyznaczoną wcześniej przez komunistów. „Komisja Europejska musi wkroczyć i pociągnąć Bułgarię do odpowiedzialności”. Te słowa niejakiego Rémy Bonny’ego, dyrektora grupy aktywistów LGBT Forbidden Colours, dobrze pokazują ich mentalność.

W odpowiedzi na te wezwania, apele i błagania Komisja Europejska wysłała list do bułgarskiego ministra edukacji i nauki Galina Tsokova, „aby poprosić o dalsze informacje na temat ustawodawstwa”. „Komisja pozostaje niezłomna w swoim zobowiązaniu do zwalczania dyskryminacji, nierówności i wyzwań, z którymi borykają się osoby LGBTIQ – w tym w edukacji, zgodnie z naszą Strategią na rzecz równości LGBTIQ z listopada 2020 r.” – brzmi komunikat brukselskich biurokratów. Strach się bać. Gdyby Komisja Europejska dysponowała odpowiednią armią, na pewno zamiast listów do granic Bułgarii zmierzałyby oddziały interwencyjne. Jednak pism i gróźb urzędników Unii lekceważyć nie wolno. Trudno przewidzieć, jakich metod użyją unijni biurokraci, ale pewne jest, że tej sprawy nie odpuszczą. Genderyzm to jeden z filarów ideologii unijnej, jedna z najważniejszych podstaw całego lewicowego projektu. Dzięki tej ideologii można skutecznie przeorać świadomość społeczeństw i zniszczyć najbardziej podstawowe relacje społeczne, bez których umiera państwo narodowe – poczucie przynależności historycznej, ciągłości pokoleń, dumy z własnej tożsamości.

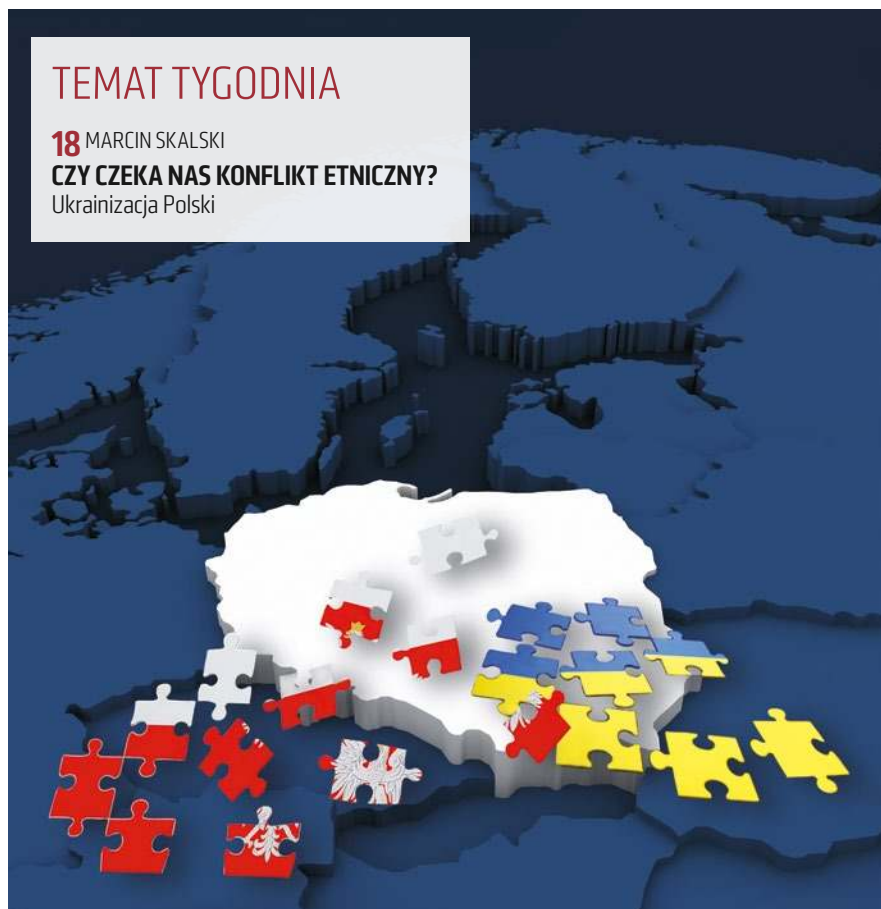
Warto wspierać walkę Bułgarów o suwerenność kulturową. Być może kiedyś pojawi się w Polsce siła, która zrozumie, że propaganda LGBT jest skrajnym zagrożeniem dla życia narodu, i będzie potrafiła zdobyć się na odwagę, by z nią skutecznie walczyć. ©

TEMAT TYGODNIA

18 MARCIN SKAŁSKI

CZY CZEKA NAS KONFLIKT ETNICZNY?

Ukraińizacja Polski



NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 ROBERT BOGDAŃSKI

DRAŻNIENIE NUKLEARNEGO NIEDŹWIEDZIA

Wojna może się wymknąć spod kontroli

50 KRYSZTOF KRATIUŁ

JAK POWSTRZYMAĆ CORAZ WIĘKSZĄ FAŁĘ BŁUŻNIERSTW PRZECIW MARYI

54 ŁUKASZ WARZECHA

LEX NONSENS

HISTORIA

58 MAREK KLECEL

WIERNA DO KOŃCA

Franciszka Ramotowska – patriotka nie do złamania

ŚWIAT

62 PIOTR WŁOCZYK

TAJNA MISJA „ANDROMEDY”?

Co się stało z Nord Stream

66 JACEK PRZYBYLSKI

MODI A SPRAWA POLSKA

EKONOMIA

68 JAKUB WOZIŃSKI

RUGIJSKI SZKOPUŁ

Ograniczanie rozwoju Polski

WAKACJE Z „DO RZECZY”

72 JACEK PAŁKIEWICZ

SZTUKA ZDROWEGO PODRÓŻOWANIA

Podróże z Pałkiewiczem

74 MARIUSZ JAGÓRA

POSMAROWANE

KRAJ

22 ROZMOWA Z DARIUSZEM LASOCKIM

CHODZI O IGRZYSKA, NIE O PRAWDĘ

Mamy do czynienia z podwójnymi standardami

26 PIOTR SEMKA

PRAWYBORCZY KLINCZ

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CO BY TU JESZCZE ROZPIEPRYĆ, PANOWIE?

33 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

ZNANI POLACY OFIARAMI FEJKOWYCH REKLAM

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

CHAOS NOWACKIEJ

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

SAMURAJ RIPLEY

Pożeganie Alaina Delona



40 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK

LWY GDYŃSKIE – ŻŁOTE, POZŁACANE I PLASTIKOWE

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygado
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczyk-Stefaniak
RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **Łukasz Gągalski/PAP**
WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Standardy TVP? Sprawdzam!

Szanowna Redakcjo,
 na kanwie nie tak dawnej awantury po zawieszeniu Przemysława Babiara i tylu okrągłych słowach o standardach TVP i TVP Sport oraz o misji mediów publicznych zacząłem się zastanawiać, jak misję tę spełnić przy okazji igrzysk paralimpijskich. Tak się składa, że zawody te startują 28 sierpnia, nasi sportowcy jeżdżący na paraliimpiady przywożą zwykle więcej medali niż pełnosprawni olimpijczycy (mimo że parareprezentacja jest dużo mniej liczna). Nie chcę tu, broń Boże, krytykować naszych sportowców, ale chciałbym, by potraktowano ich równo. Mam nadzieję, że TVP Sport pokaże starty naszych sportowców na paraliimpiadzie i wyśle tam swoich komentatorów.

Gdyby tak się miało nie stać i media znów niespecjalnie zainteresują się tym

wydarzeniem, to jako osoba związana ze środowiskiem paraliimpijczyków chciałbym o takim wydarzeniu tym listem przypomnieć.

Przemysław, Warszawa

Wyjaśnienie

W poprzednim numerze tygodnika w artykule „Teatralna jesień 2024” przez pomyłkę podałem nieaktualne informacje na temat bydgoskiego Festiwalu Prapremier. Przepraszam organizatorów i Czytelników za pomyłkę.

Grzegorz Kondrasiuk

Wyjaśnienie

W tekście „Watykańska mgła – polska mgła” w „Do Rzeczy” nr 33/2024 napisałem, że bp Zbigniew Zieliński, pełniący obecnie funkcję administratora archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej, jest biskupem pomocniczym w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Oczywiście bp Zieliński jest biskupem ordynariuszem diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Za pomyłkę przepraszam.

Piotr Semka

Ceny i płace w Polsce będą skonstruowane tak, aby skłonić Polaków do oszczędzania!



€ 2 8 4 9 4 4 1 2 7 0 2



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Neues Deutschland

Starsi czytelnicy zrozumieją ten tytuł. Tak nazywał się organ wszechwładnej komunistycznej partii SED w dawnej NRD. Gdy w 1990 r. niemieckie „państwo robotników i chłopów” upadało, ten propagandowy tytuł podchwytywali w żartobliwym stylu triumfujący wówczas przeciwnicy sytemu Honeckera: „Teraz my będziemy te nowe Niemcy”. Dziś, 35 lat po upadku muru, do polityków na zachodzie Niemiec, do weteranów dawnej opozycji i polityków z czołowych partii dochodzi gorzka prawda. Wschód jest inny.

Przed nami polityczny maraton w nowych landach. 1 września nowe władze landu wybierają mieszkańcy Saksonii i Turynii. 22 września dołączą do nich obywatele landu Brandenburgia. W Saksonii i Turynii w sondażach prowadzi Alternative für Deutschland z wynikami na poziomie 30 proc. Jediną siłą, która potrafi jeszcze dotrzymać w miarę kroku niemieckim suwerennościowcom, jest CDU. Ale tuż za nią wyniki na poziomie ok. 15 proc. osiąga skrajnie lewicowa, antyatlancka formacja BSW, czyli Sojusz

Sahry Wagenknecht – przebojowej postkomunistki. W Saksonii SPD, Zieloni i Lewica w sondażach ocierają się o próg 5 proc. W Turynii jest jeszcze gorzej dla klasycznych partii zachodu. SPD osiąga w sondażach tylko 5 proc., a Zieloni i FDP z wynikiem 3 proc. nie mają nawet szans na przekroczenie progu wyborczego.

W chwili, gdy piszę te słowa, nie są znane jeszcze wyniki wyborów, ale można przyjąć, że zarówno w Saksonii, jak i w Turynii AfD zdobędzie od 30 do 32 proc. A może nawet i więcej, bo wielu uczestników sondaży obawia się szczerze mówić o zamiarze oddania głosu na AfD.

Od 15 lat politycy chadecji, socjaldemokracji i Zieloni przekonali, że sukcesy AfD i skrajnej lewicy na wschodzie to tylko anomalia, którą stosunkowo szybko się przezwycięży. Przyczyny powodzenia AfD na wschodzie to bardzo skomplikowana kwestia. Złożyły się na nią niechęć do narzucanej odgórnie polityki osiedlania emigrantów z Azji i Afryki, rozpoznawanie przez byłych NRD-owców w politycznej

poprawności wielu cech z czasów komunizmu w NRD i wreszcie przedziwnego splotu nostalgii za dawnymi pruskimi wartościami w połączeniu z przekonaniem, że przeznaczeniem Niemców jest sojusz z silną neoimperialną Rosją.

Politycy z Zachodu zapowiadali wiele cudownych sposobów, aby oduczyć wschodnich Niemców miłości do AfD. I żaden z nich nie odnosi sukcesu. Aby przeliczyć AfD w wyborczym wyścigu w Saksonii i w Turynii, CDU na wschodzie puszcza oko do wyborców z sugestią, że ukróci pomoc dla Ukrainy. Temu samemu mogły służyć przecieki z prokuratury i twierdzenia byłego szefa wywiadu RFN, że Republika Federalna nie odpuści sprawcom zniszczenia rurociągu Nord Stream 2 niezależnie, czy ślady zamachowców wiodą na Ukrainę czy do Polski.

„Dawniej byliśmy pewni, że my, z zachodu, zmienimy myślenie ludzi ze wschodnich landów – napisał jeden z niemieckich twitterowiczów. – Dziś miłość Niemców ze wschodu do Rosji zaczyna zmieniać politykę ogólnoniemiecką”. ©©

KAMALA HARRIS JUŻ Z NOMINACJĄ

W Chicago odbyła się Narodowa Konwencja Demokratów, na której obecna wiceprezydent Kamala Harris została symbolicznie nominowana na oficjalną kandydatkę Partii Demokratycznej w tegorocznych wyborach prezydenckich. Efektowny show pokazał, że demokraci nie mają praktycznie żadnego programu. Nie jest więc wielkim zaskoczeniem, że Harris nie zamierza brać udziału w debacie z Donaldem Trumpem na antenie Fox News. Nadal unika też dziennikarzy. (*jap*) ©©



FOT. JEFF RAEDLE/GETTY IMAGES

SPORTOWY WEEKEND DLA CAŁEJ RODZINY



FESTIWAL
BIEGOWY

6-8 WRZEŚNIA 2024
PIWNICZNA-ZDRÓJ



LOSOWANIE AUTA • WWW.FESTIWALBIEGOW.PL

PARTNERZY



Miasto i Gmina
Piwniczna-Zdrój



Gmina Ryty



eprasa.pl 7d265be083



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Opaczność

Społeczeństwo Miasteczka Wilanów, a w ślad za nim „Gazeta Wyborcza” – a może kolejność była odwrotna – oburzyły się na plany Kościoła, który ponoć chce postawić obok Świątyni Opatrzności turbinę wiatrową wysoką na prawie 15 m. Podobno „bez wymaganych zezwoleń”, a już na pewno bez zgody okolicznej ludności, która poczuła się tymi planami zagrożona.

To oburzenie, agregowane w ślad za „Wyborczą” przez wszystkie tefaleńskie i ringiery-szpringery stanowi komiczny kontrapunkt wobec wszystkiego, co media lewicowo-liberalne pisały o stawianiu wiatraków przez lata. Przecież „to je dobre”, to ratuje planetę, a – jak wiadomo – „nie mamy planety B”!

Na PiS, który przyblokował wiatrakizację, zwiększając dopuszczalną odległość pomiędzy turbiną a zabudowaniami, miały za to lewicowo-liberalne ośrodki wszelkie możliwe gromy. No tak, ale wtedy chodziło o wiatraki stawiane przez „naszych” (głównie spółki powiązane z PO i koalicyjnym PSL) pod oknami jakichś „starszych, gorzej wykształconych i z mniejszych ośrodków”. Ale żeby stawiali wiatraki pod nosem NAM? I to kto – „czarni”?! „Miasteczko Wilanów jest w szoku” – krzyczy tytułem „Wyborcza”.

Z tą ekologią nie jest tak prosto. Geotermia jest super np., ale – jak wiadomo – nie wtedy, gdy odwierty robi i zarabia na nich o. Rydzyk. Wtedy jest zła. Do ekologiczności napędów elektrycznych też trzeba

podchodzić dialektycznie. Rząd Francji np. właśnie wylobbował w UE nowe przepisy, zarzynające produkcję baterii elektrycznych w Polsce, bo stanowiły one konkurencję dla baterii francuskich. Teoretycznie elektryczność pozyskiwana ze „źródeł odnawialnych” (nieustająco protestując przeciwko temu nonsensowi – nie ma energii „odnawialnej”; gdyby była, byłoby możliwe perpetuum mobile) to jest właśnie to, o co chodzi, i im więcej baterii do jej przechowywania, tym lepiej. Ale nie po to unijni liderzy włożyli tyle wysiłku, pieniędzy i „symbolicznej przemocy” w uświadomienie wszystkim, że „nie mamy planety B”, żeby zyski z ratowania „planety A” trafiały do krajów i organizacji im niemiłych. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Sezonowa skuteczność

Gdyby obecna władza przyszła po rządach typu AWS – pewna część jej wyborców byłaby zaskoczona, a zaraz potem oburzona samowolą i bezprawiem tych, których poparli. I proces ich wyobcowania postępowałby tym szybciej, im większy entuzjazm budziłyby ekstremizm nowego rządu wśród jego twardych zwolenników. A „pewna część”, nawet niewielka, robi wielką różnicę. Wybory wygrywa się z reguły setkami tysięcy, nie milionami głosów.

Z pewnością tak reagowałiby wyborcy o nastawieniu tych, którzy w 2015 r. przeszli z Gowinem na stronę prawicy. I gdybyśmy byli po rządach typu AWS – tym bardziej wyborcy PSL byłiby skonsternowa-

ni kierowanymi do nich antycywilizacyjnymi żądaniami radykalnej lewicy.

Żeby jednak opinia publiczna reagowała – w świadomości społecznej muszą funkcjonować kryteria, które do reakcji zmuszają. Niestety, PiS niemal wszystkie je podważył. Zdeastował Trybunał Konstytucyjny i sam zaniechał przywoływania nawet najbardziej korzystnych dla Polski orzeczeń sprzed 2016 r. Zniósł obowiązek przynajmniej minimalnej bezstronności i otwartości informacyjnej telewizji publicznej, więc teraz brutalna czystka obejmująca nie tylko informację i publicystykę polityczną, lecz także kulturę nikogo (poza obozem wczesnej władzy) nie wzrusza. Uznali

standardy za fikcję dla naiwnych i przekonali do tego społeczeństwo, skutecznie.

Trochę ulgi sprawia mi, że przestrzegam przez osiem lat przed konsekwencjami takiego zastąpienia demokracji konstytucyjnej – jakobińską demokracją ludową pod hasłem „wygraliśmy wybory – nikt nie ma prawa nam przeszkadzać”. Ale choć w pierwszym rządzie winni są ci, którzy upajali się tą bezmyślną „conquista dello Stato”, nikt nie powinien uchylać się od odpowiedzialności. Szczególnie ci, którzy widzieli, a reagowali nie dość. I ci, którzy – jak ja sam – nie zdołali przekonać społeczeństwa o nadchodzących skutkach tej obłędnej, sezonowej „skuteczności”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Po 13 grudnia 2023 r. znów zacząłem się
uśmiechać, ale ostatnio coraz częściej
jakby kieszczęrze...



c e z a r y k r y s t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 fejkowaniu

Jedną z podstawowych zasad działania mafii brzmi: „Jeśli nie możesz zniszczyć swego wroga, to zniszcz jego rodzinę”. Korzystają z niej chętnie włoskie siły postępu. Jako że liczne próby skompromitowania Giorgii Meloni spełzły na niczym, postępowe gazety zaatakowały jej starszą siostrę Ariannę, która jest sekretarzem partii Bracia Włoscy.

Ostatnio w mediach progresistów pojawiły się oskarżenia o ingerencję Arianny w nominację na bardzo ważne stanowiska. Ogłosili wszem wobec, że na czele spółki energetycznej TERNA stanęła przyjaciółka Arianny Giuseppina Di Foggia. Szybko wyszło jednak na jaw, że panie się w ogóle nie znają. Wobec tego postępowcy zaczęli insynuować, że Arianna

na podstawie specjalnego upoważnienia od siostry obsadziła najwyższe stanowiska w telewizji publicznej RAI.

Problem w tym, że taki dokument nie istnieje, a nominacje w mediach publicznych są prerogatywą parlamentu, w którym Arianna Meloni nie zasiada. Niezrażeni oszczercy wyprodukowali więc kolejnego fake newsa: Arianna Meloni chce wyrzucić dyrektora kolei państwowych i zastąpić go swoją przyjaciółką. Oczywiście nic takiego się nie stało.

Naczelny „Il Giornale” Alessandro Sallusti ostrzegł, że niebawem Arianna za sprawą przyjaciół opozycji w wymiarze sprawiedliwości może stanąć przed sądem, oskarżona o nadużycie wpływów. A wtedy możliwe będzie wszystko.

Były premier Matteo Renzi zgodnie z obietnicami wyborczymi „zezłomował” partyjny beton, w tym działaczy, którzy całowali się z Breżniewem. Nie wszystkim się to podobało. W efekcie z oskarżenia o malwersację do aresztu trafili jego częściowo uniewinnieni ostatnio rodzice. Przy okazji prokuratorzy, szukając haków na Renziego juniora, kazali go śledzić, bezprawnie zarekwirowali telefony komórkowe jego przyjaciół nieobjętych śledztwem i włamali się do jego korespondencji na WhatsApp, a na dodatek sfałszowali dokumenty procesowe (sic!). Nikomu włos z głowy nie spadł.

A z raportu Komisji Europejskiej wynika, że w Italii są problemy z wolnością słowa. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

ZBYT NIEDOJRZAŁY

Niedawno odbyła się prezentacja jesiennej ramówki Polsatu. Pojawili się w niej m.in. wszyscy uczestnicy nowej edycji „Tańca z gwiazdami”, a także Zygmunt Chajzer, który poprowadzi format „Return Masters”. Jego syn, Filip Chajzer, wystąpił w 14. edycji „Tańca z gwiazdami”. To zrodziło spekulacje o możliwej dłuższej współpracy młodego Chajzera z Polsatem (wcześniej przez lata pracował dla TVN). Gdy ogłoszono, że stacja przygotowuje własny program śniadaniowy, zaczęto podejrzewać, że Filip dołączy do zespołu gospodarzy. Tak się jednak nie stanie. Teraz dyrektor programowy Polsatu wyjaśnił dlaczego. – Jesteśmy za dużą stacją, żeby indywidualnie rozważać kwestie kontaktów na rynku. Jak sama pani powiedziała, to są trzy dni w tygodniu, więc Filip się w tym zestawie nie zmieścił. Prywatnie myślę, że nie jest gotowy do pracy na żywo – odparł Edward Miszczak na pytanie dziennikarki dotyczące Filipa Chajzera. Tymczasem portal Show News, powołując się na otoczenie Miszczaka, podał, że Chajzer stracił szanse na karierę w stacji przez ostatnie afery z jego udziałem. Chodzi m.in. o nieudaną ostatecznie próbę wejścia do świata patoMMA oraz niejasności wokół fundacji dobroczynnej. „Niestety, plany te pokrzyżowały chyba mocno ostatnie medialne zawirowania wokół Chajzera Juniora. Po emocjach związanych z zaangażowaniem do »Tań-

ca z gwiazdami« Dagmary Kaźmierskiej stacja ma dość skandali. Zarząd nie życzy sobie żadnych problemów wizerunkowych, bo to w pewien sposób odbija się także na wynikach finansowych. Nie wydaje mi się, by Zygmunt Chajzer miał taką pozycję, by wymusić na dyrektorze angaż także dla swojego syna. Raczej sam jest wdzięczny za propozycję, którą otrzymał od stacji” – zdradził informator serwisu.

MISZCZAKOWI PÓJDZIE W PIĘTY

Niezwykle aktywny, nadpobudliwy wręcz medialnie Filip Chajzer nie pozostawił tych słów Miszczaka bez odpowiedzi. Jako dumny właściciel budki z kebabem, który zapowiada rozszerzenie biznesu na USA, kpiąco odniósł się do słów swojego „telewizyjnego taty”. – Uwielbiam dyrektora Edwarda Miszczaka. Naprawdę szczerze kocham, taki mój telewizyjny tata. I mój tata telewizyjny tak mnie pięknie rozśmieszył, rozbawił, bo powiedział, że ja nie jestem gotowy do pracy w telewizji – wskazał Chajzer w instagramowej relacji. – Edwardzie, to telewizja nie jest gotowa na mnie – powiedział z szerokim uśmiechem. – A poza tym nie po to odchodziłem z telewizji, żeby teraz myśleć o tym, czy jestem od niej zależny, i żeby zależeć od czyjegoś widzimisię. Podziękował i zaprasza na kebaba, kocham swoją robotę – podsumował przedsięwzięcie. Miszczak nie będzie teraz spał po nocach, tak mu dogadał.

KUMPEL Z GÓRY

Zazdrość brzydka, choć ludzka rzecz. Muzyk Krzysztof Zalewski opowiedział o swojej znajomości z Dawidem Podsiadłą. Na początku było sympatycznie. – Chciałem z Dawidem porobić rzeczy, bo mi się nigdy tak łatwo nie pisało jak z nim. Przy nim wymyślałem melodie, riffy z rękawa mi wypadały, on tak na mnie działał stymulująco. Myślę, że w drugą stronę też tak działało, że ja mu dawałem trzy akordy i on od razu wymyślał piękną melodię – zaznacza Za-

lewski. Później kariera Podsiadły zaczęła rozwijać się znacznie lepiej. – Mieliśmy dobry przelot, natomiast to nie jest z braku chęci mojej, tylko on wystrzelił wtedy z „Małomiasteczkowym” i nagle przeniósł się do stratosfery i był już poza moim zasięgiem. Proponowałem mu parę razy jakieś spotkanie [...], nie miał ochoty się spotykać – stwierdził gorzko. Obecnie nie ma widoków na poprawę relacji. – Albo ja musiałbym wskoczyć na level stadionowy i byłoby o czym gadać, albo Dawid musi spaść, k...a, niżej i wtedy wrócimy do rozmów – podsumował rockman. Panowie chyba już nie będą przyjaciółmi.

KAWKA TO W KAWIARNI

Jakiś czas temu celebrytka Monika Goździalska rozpętała medialną burzę. Wybrała się do jednej z warszawskich restauracji, gdzie chciała tylko wypić kawę i zjeść ciastko, ale okazało się, że aby móc usiąść, musiałaby zamówić normalne danie. Jak wiadomo, taka zniewaga krwi medialnej wymaga, a więc wszystko opisała na Instagramie. – Wiele restauratorów niestety się w d.pach powywracało, inaczej tego nazwać nie można, bo zaczęli traktować ludzi bardzo przedmiotowo pod względem finansowym – grzmiała Goździalska. – Nie wszystkich stać na obiad w Warszawie. Trzeba ludzi traktować z szacunkiem. Dlaczego jest taka dyskryminacja? Ja wam tego nie popuszczę – zapowiedziała modelka. Co na to ekspert? – To zależy, o jakiej restauracji mówimy. Są takie bardziej formalne, gdzie nie możemy wybierać z karty, tylko są całe sety i trzeba zamówić to, co jest w zestawie. Są też mniej formalne, gdzie można przyjść i napić się kawy, a są i takie, które nakrywają specjalnie do posiłku i trzeba zjeść obiad. Wszystko zależy od restauracji – wskazał znany z telewizji Robert Makłowicz. Kucharz ma też dobrą radę dla Goździalskiej. – Jeśli ktoś chce wypić kawę i zjeść ciasto, to powinien udać się do kawiarni albo cukierni, a nie do restauracji – wskazał. ©



FOT. FOTOWPAP



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak nas denerwują ci Polacy, jacy oni niewdzięczni są! Widzieliśmy wyniki badania, w którym 62 proc. respondentów uznało, iż rząd Donalda Tuska nie realizuje swoich przedwyborczych obietnic złożonych w trakcie kampanii.

Tak to niestety jest, jak się wyborcom, przyzwyczajonym do pisowskiego rozdawnictwa, obieca coś zbyt fajnego albo za dobrze – będą się domagać, żeby to zrobić.

A to przecież powinno być jasne dla każdego racjonalnego i trzeźwo myślącego człowieka, iż obietnice wyborcze mają za zadanie przede wszystkim rozbudzać wyobraźnię. One są nie po to, aby je spełniać, ale by inspirować wyborców do oddania głosu na właściwą partię.

Tymczasem naród, niestety, po raz kolejny nie dorósł do swojego lidera. Brawo, narodzie – rób tak dalej, nie doceniaj, hejtuj, poniżaj, to wróci PiS i dopiero wtedy zrozumiecie, coście stracili. A my się cieszymy tym rządem dopóty, dopóki możemy, bo nie wykluczamy też scenariusza, gdzie i Tusk i inni ministrowie pomyślą sobie, iż dla tych Polaków to nie warto się starać, i sami zrezygnują.

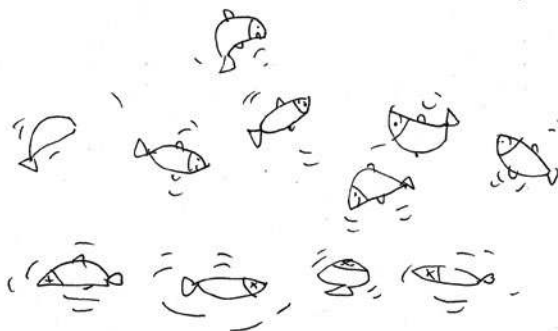
W związku z rosnącą liczbą zachorowań na światło dzienne wyszli ostatnio wszelkiej maści eksperci od pandemii COVID-19. Całkiem realną możliwością okazuje się powrót do rekomendowania noszenia maseczek,

ale na razie nikt jeszcze nie wspominał o zamykaniu lasów. Bądźmy jednakże dobrej myśli, iż w końcu ktoś to zaleci. Skoro pomogło za pierwszym razem, to pomoże i teraz, prawda?

W każdym razie nie możemy się doczekać, kiedy znów będziemy mogli chwalić

Podsumowując: będziemy z bardzo dużą niecierpliwością i ekscytacją oczekiwać na kolejne rekomendacje i decyzje, w znanej nam współczesności pandemii bowiem, jak żadne inne zjawisko, pozwoliła nam na okazywanie moralnej wyższości xD.

No tak, ryby zdechły, ale ze świedru
Po tym, jak ustąpiły od minister
Zielińskiej, że im statki wody wypija



któryś topić & c m - volk o

się on-line swoimi certyfikatami szczepień i okazywać moralną wyższość nad wszystkimi tymi szurami, którzy nie przyjęli swojej 44 355. dawki szczepienia, nie chcą siedzieć w domu i nie chcą się bać.

A wiecie, co jest najgorsze? Że – jak podają media – COVID-19 może przebiegać jak zwykłe przeziębienie. A wiecie – przeziębienie nie ma tej mistyki, to choroba dla janusza z podkarpacia, którego zawiąło, jak zawiany wracał nad ranem z gospody.

Boshe, kochani, tyle razy wam wyjaśnialiśmy zjawisko tzw. polskiego mindsetu, a więc upodobania do starych samochodów, małych mieszkań i wakacji na działce, a tu kolejna okazja, żeby o tym porozmawiać.

Jak wiecie, co odważniejszy janusz porzuca w wakacje swoje plemienne terytorium podlegające jurysdykcji jego gminnego ośrodka pomocy społecznej i rusza do Chorwacji. Nawet rozumiemy: ładny kraj, ciepłe morze, daleko od Polski.

Jednak czytamy w mediach wiele historii, że „polski mindset” powoduje, iż taki Polak z rodziną co prawda do tej Chorwacji

pojedzie, ale nie skorzysta z urokliwych istryjskich restauracji, nie pójdzie na świeże owoce morza, tylko wypakuje swojego golfa III po dach słoikami z bigosem, gołąbkami, pierogami i podwawelską. I w sumie to wahamy się: Czy to tylko efekt działania „polskiego mindsetu” czy może jednak tęsknota za ojczyzną? ☺☺



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Powidła

Jarek, a może z tą PKW to był jednak błąd?

Ale że jak, Mariusz? Bo nie rozumiem.

No, że te cztery lata temu zmieniliśmy sposób powoływania. Byli w PKW sędziowie, a myśmy to zmienili na nominatów Sejmu.

To była słuszna zmiana!

No tak, ale może gdyby teraz byli dalej sędziowie, tobyśmy nie mieli problemów...

Zmiana była słuszna, bo wtedy to byli nasi nominaci.

Ale teraz są ich nominaci...
I to jest niesłuszne.

Ale to my to wymyśliśmy.

Ty nie myśl za dużo, tylko herbatę mi zrób.

I powiedła podaj. ☺☺ Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kilka lat temu nie podobał mi się pomysł organizacji w Polsce igrzysk. Tak, bo zgłosili go PiS-owcy”.

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X

Nic tak nie cieszy jak dymisja. Trudno więc nie odnotować, że więcej sprawiedliwości z Lewicy – niejaki Bartłomiej Ciężyński – zrezygnował ze stanowiska, gdy ujawniono, że pojechał na wakacje służbowym autem i płacił za paliwo służbową kartą. Bardzo pochwalamy taką obywatelską postawę. To znaczy rezygnację, nie tankowanie. Tankowanie jest OK, zwłaszcza w wakacje.

W związku z powyższym mamy jednak ważne pytanie. A nawet kilka. Gdyby, powiedzmy, pewien minister poleciał do Ameryki służbowo, ale zabrał swoją żonę – to co wtedy? I gdyby lecieli osobno, ale mieszkali razem w służbowo zamówionym i opłaconym hotelu – to byłby powód do rezygnacji? A gdyby dotyczyło to również wiceministra w tym resorcie, choć – jak mawiają poloniści – inną razą? Cóż, pytamy, bo znamy pewien resort, gdzie właśnie coś takiego miało miejsce.

Wracając do aut – nie rozumiemy hejtu na Złego Donalda z Sopotu wywołanego nagrodą od Niemca. Przecież wszystko się zgadza: nagroda jest za „niezachwianą walkę z autokracją”. Potwierdzamy: nie tylko Tusk, lecz także cała PeŁo niezachwianie walczy z autokracją. Na przykład Rafcio Trzaskowski w Warszawie – ze skóry wyłazi niemal każdego dnia, żeby ludziom, którzy posiadają auta, żyło się gorzej. Jemu też należy się nagroda.

Skoro już o Złym Donaldzie z Sopotu, to wspomnijmy też Dobrego Donalda z Waszyngtonu (chwilowo z Florydy). Otóż może mieć on duży problem na ostatniej prostej przed wyborami prezydenckimi. Wiewiórki ćwierkają bowiem, że asem w rękawie bidenowców-kamalowców ma być ogłoszenie rozejmu między

Ukrainą a Rosją. Najpierw nie wierzyliśmy w te wieści, ale dwa dni po tym, jak je usłyszeliśmy, ukraińska armia poszła podbijać obwód kurski. Jak wiadomo, politycy mają własne wiewiórki.

dwaj panowie g

Tymczasem w PiS. Zenitu sięga orgia medialna polegająca na wypuszczaniu do mediów rozmaitych przecieków na temat tego, co ma zdarzyć się na kongresie partii. Dziennikarze piszą, elektorat komentuje, a nasza zaufana wiewiórka mówi, że w tym szaleństwie jest metoda. Pal sześć bowiem to, jak ostatecznie będzie naprawdę. Chodzi o to, żeby skupić uwagę na reformach wewnętrznych PiS, a nie na tym, jak ciągle jest bity przez nową władzę zewnętrzną.

Skoro o biciu – słyszeliśmy interesujące szacunki na temat tego, ile subwencji miałyby ciachnąć PiS Państwowa Komisja Wyborcza. Pal sześć, na ile legalnie. Otóż podobno



FOT. ROBERT CARZINSKI

nie wszystko ani nie większość, tylko coś koło 30–40 proc. pełnej kwoty. Tak, żeby wykrwawiać, ale nie zabrać wszystkiego.

Ważna informacja w kwestii kandydatów na kandydata na prezydenta. Raczej na pewno nie usłyszymy nazwiska na kongresie PiS ani nawet w Święto Niepodległości. Nie dość, że trwają wciąż rozmaite badania, to jeszcze jest silne przekonanie, że swojego kandydata należy wystawić dopiero wtedy, kiedy Peło ogłosi swojego – i dobrać go odpowiednio. Problem w tym, że Platformie się nie śpieszy. Zły Donald z Sopotu mówił coś o końcu grudnia.

Wtej sprawie ciekawą rzecz usłyszeliśmy od naszych wiewiórek z Platformy. Otóż nawet one nie dowierzają, że Donald Tusk nie wystartuje w wyborach prezydenckich. Ich zdaniem może być szykowana raz już odegrana farsa z prawyborami. Za poprzednim razem posłużyły one do utemperowania rozbrykanego Radka Sikorskiego. A tajemnicą poliszynela jest, że Donald za Trzaskowskim nie przepada, a nawet ma z jego powodu kompleksy, bo Rafał zna języki lepiej niż największy przewodniczący.

Jest zła wiadomość wynikająca z tych wszystkich badań wykonywanych przez PiS. Po pierwsze, okazuje się, że tzw. zwykli ludzie nie odczuwają jeszcze na własnej skórze, że Polska nie tylko jest w czarnej d...e, lecz także zaczyna się tam urządzić. A to kłopot. Bo jak tu polaryzować kampanię?

Apropos polaryzacji – nikt tak nie polaryzuje w PiS jak były premier Mateusz, który nieustannie lobbuje za swoją skromną kandydaturą na kandydata na prezydenta. I tu zabawna koincydencja. W poprzednim wydaniu naszej rubryki opisyaliśmy, jak to Mateusz pielgrzymuje do prezesa prezesów z różnymi badaniami na swój temat. No i co za traf – tego dnia, gdy ukazał się nasz tygodnik, w „Superaku” pojawił się sondaż, z którego wynikało, że w drugiej turze Morawiecki wypada lepiej od Błaszczaka.

Pozostaliśmy jeszcze na chwilę przy PiS. Wiewiórki opowiadają, że prezes prezesów, szeregowy poseł Jarosław Kaczyński, tak naprawdę nie ma przekonania do żadnego z nazwisk kandydatów na kandydata na prezydenta, które pojawiają się w mediach. I szuka dalej. Ma natomiast plan na byłego premiera Mateusza. Otóż podobno chciałby go ponownie zrobić premierem, kiedy PiS znów wygra. Nie komentujemy. Są wiadomości, które komentują się same.

Potwierdzamy natomiast, że w ramach rozład personalnych w PiS osłabieniu ma ulec pozycja krwawego Mariusza Kamińskiego. O tym, że brak już chemii między prezesem a ministrem, wiewiórki ćwierkały już pod koniec poprzedniej kadencji. Do tego stopnia, że jedna przekonywała nas, iż jeśli PiS wygra wybory 15 października, to krwawego Maria w nowym gabinecie na pewno nie będzie.

Konfederacja, jak wiadomo, chce wystawić Mentzena, ale wcześniej zaapelowała o prawyборы. Mało kto wie, jak bardzo wcześniej. Otóż pierwsze kontakty w tej sprawie na linii Konfederacja – PiS miały miejsce na początku czerwca. Podobno został nawet przez Krzysztofa Bosaka napisany list z taką propozycją. Dwa miesiące zajęło Nowogrodzkiej zbieranie się do odpowiedzi. W sumie odpowiedziano dopiero wtedy, gdy propozycja została rzucona publicznie.

István Íjgyártó. Zapamiętajcie to nazwisko. Tak nazywa się nowy ambasador Węgier w Polsce. To znaczy tak się będzie nazywał, jak już zostanie oficjalnie przyjęty. W ostatnich latach zastąpił przede wszystkim jako ambasador Węgier w Kijowie. Polskę zna dwutorowo – po pierwsze, jeszcze jako wiceminister był u nas drzewiej z wizytami. Po drugie, podczas misji w Kijowie dobrze zaznajomił się z naszym ówczesnym ambasadorem, Bartoszem Cichockim.

Zatrzymamy się na chwilę przy tym, czego dokładnie wiceministrem był István Íjgyártó, gdyż nasza rubryka ma za cel bawiąc – uczyć. Otóż

oficjalnie nazywało się to sekretarz stanu do spraw dyplomacji kulturalnej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i Handlu. Węgrzy to mądry ludzie i wiedzą, że w sprawach zagranicznych handel jest wielce ważny. I że kulturą też robi się dyplomację. To oczywiste, że nie kuma tego obecny reżim. Ale nie rozumiemy, czemu nie kumał tego także poprzedni.

Skoro już o sprawach węgierskich – to Węgrzy nie są zrażeni. To tak à propos tego, że koncesję na multipleks MUX-8 otrzymały Republika i wPolsce24, ale nie dostała jej węgierska PTV. Otóż słyszeliśmy, że Węgrzy i tak do nas wejdą, tylko przez inwestycję w inny kanał. Nie wiemy, jak naszej małowówniej wiewiórce, ale nam od razu skojarzyła się ta wiadomość z tą o tworzeniu przez senatora Grzegorza Biereckiego grupy kapitałowej, która sfinansuje dalszy rozwój jego stacji. Ale może cierpimy na syndrom zbyt łatwych skojarzeń.

Weuroparlamencie wakacje, ale to nie znaczy, że biurokraci nie pracują. W ramach reform wprowadzono nie tylko obowiązkowe szkolenia na temat mobbingu i molestowania seksualnego, lecz także daleko idące oszczędności w sprawie funkcjonowania biur. Te oszczędności mają postać systemu punktowego. Dobra wiadomość jest taka, że każdy eurodeputowany dostaje do dyspozycji takie punkty. A zła – że jest tych punktów raczej niewiele.

Już tłumaczymy: np. na wyposażenie biura w sprzęt komputerowy europosłowie mają pięć punktów. Komputer stacjonarny kosztuje jeden punkt. Drukarka – jeden punkt. Tablet – dwa punkty. Biura natomiast każdy eurodeputowany ma dwa: w Brukseli i Strasburgu. No i każdy ma też przynajmniej dwóch asystentów. Sprzęt dla nich też wlicza się do limitu pięciu punktów. Z tego, co słyszeliśmy, większość europosłów wybrała wyposażenie biura w Brukseli, a w strasburskim będzie miała tylko meble. W sumie dobrze. Widzieliśmy te biura w Strasburgu. Strasznie ciasne, ledwo się tapczanik mieści. ©©



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy”, planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy”

przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy” jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym**, bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy”.

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy



ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda
lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer:
+48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:

Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:

Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:

Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:

Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.



Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl/7d265be083

WIELKI KRZYŻ NAD BUDAPESZTEM

Węgrzy nie zapominają o swoich chrześcijańskich korzeniach. Wieczorem 20 sierpnia, gdy cały kraj obchodzi święto swojego patrona, św. Stefana, nad Dunajem w centrum Budapesztu nie tylko rozbłysły fajerwerki, lecz widzom ukazał się także wielki, trójwymiarowy krzyż utworzony za pomocą kilkuset dronów.

Węgrzy z dumą wspominają swego pierwszego króla i podkreślają, że ich kraj wyrósł na fundamentach religijnych. Najważniejsi politycy w Budapeszcie – z premierem Viktorom Orbánem na czele – od lat powtarzają, że Węgry będą mogły przetrwać wyłącznie, jeśli pozostaną

krajem chrześcijańskim. – Węgrzy muszą być wierni chrześcijańskim fundamentom swojej państwowości i zjednoczyć się z tymi społecznościami, które odważą się wystąpić przeciwko „niszczącemu i gwałtownemu szaleństwu”, które wypacza doktrynę chrześcijańską – mówił podczas obchodów 20 sierpnia Miklós Soltész, sekretarz stanu do spraw kościołów i mniejszości w węgierskim rządzie. – Musimy zachować dziedzictwo tysiąclecia i nie możemy pozwolić, aby nasi synowie i córki byli zarażani ideologiami, które są obce ich życiu – dodał członek węgierskiego rządu. *(jap)* © ©

FOT. ATILA KISBENEK/AP/EAST NEWS







Marcin Skalski

Polacy nie będą mieli swojego państwa na wyłączność, a być może już go nie mają. Konsekwencje tego są dopiero przed nami

Początek wojny rosyjsko-ukraińskiej 24 lutego 2022 r. zaprowadził zmiany zakrojone na szeroką skalę nie tylko u naszych wojujących ze sobą sąsiadów, lecz także w naszym kraju. Do tej pory z politowaniem patrzyliśmy chociażby na zachodnio-europejską i amerykańską poprawność polityczną, tymczasem również w Polsce doszło do podobnego zjawiska, przy czym nad Wisłą głównym tematem tabu stał się akurat bilans zysków i strat płynących z pomocy świadczonej Ukraińcom. Nieformalny zakaz dotyczył także wątpliwości odnośnie do przyszłej polsko-ukraińskiej koegzystencji w jednym państwie. Tymczasem proces „ukrainizacji” Rzeczypospolitej już zaszedł, niemniej nie przybrał on jeszcze finalnej postaci. Rzeczony zjawisko trwa, a jego końca nie widać.

„Ukrainizację” Polski najlepiej zdefiniować jako nasycanie struktury etnicznej Polski komponentem ukraińskim na taką skalę i w taki sposób, które uniemożliwiają asymilację ukraińskiego elementu napływowego do polskości. Efektem tego procesu będzie trwałe zwiększenie udziału Ukraińców wśród ludności zamieszkującej Polskę oraz reprodukcja ukraińskiej tożsamości narodowej w kolejnych pokoleniach imigrantów wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami.

NOWY BANDERA?

Z badań z roku 2016, opublikowanych pt. „Ukraińcy o historii, kulturze i stosunkach polsko-ukraińskich. Raport z badania ilościowego i jakościowego” (Narodowe Centrum Kultury/Instytut Studiów Politycznych PAN, 2017) wynika, że dla Ukraińców Polska jest krajem, w stosunkach z którym wzajemna historia odgrywa istotną rolę. Z 10 uwzględnionych

FOT. ADOBE STOCK / Z. KRECK

Czy czeka nas konflikt etniczny?



w badaniu państw nasz kraj zajmuje pod tym względem drugie miejsce, ustępując jedynie Rosji (dla 33 proc. Rosja jest bardzo ważna, 37 proc. ważna, dla Polski odpowiednio 23 proc. i 44 proc.).

Na zagadnienie ciężenia historii na wzajemnych stosunkach zwróciła uwagę współautorka przytaczanego raportu prof. Joanna Konieczna-Sałamatin, która swoje wnioski zawarła także w publikacji „Kontakty polsko-ukraińskie a zmiany wzajemnego postrzegania Polaków i Ukraińców” („Państwo i Społeczeństwo” 2016). Według badaczki głównym punktem spornym jest „antypolska akcja OUN-UPA”, spory o przeszłość zaś będą rzutować na wzajemne postawy Polaków i Ukraińców. Tymczasem, jak przekonuje w eseju „Ukraina. Polityka i mistyka” prof. Włodzimierz Pawluczuk, to właśnie (wyłącznie) mit UPA tworzy z Ukraińców naród rzeczywiście niepodległy. „Jeśliby wykreślić z dziejów Ukrainy zawartość ideową i działalność nacjonalistów, w tym przede wszystkim UPA, to kultura i historia Ukrainy nie zawiera treści, które by dawały szanse na legitymizację pełnej niepodległości tego kraju. Dziewiętnastowieczni patrioci Ukrainy [...] nic nie mówili o niepodległej Ukrainie i – co więcej – nie myśleli o tym. Ale nie myśleli o tym nawet Hruszewski, Wyntyczenko, przywódca Centralnej Rady Ukrainy w 1917 r., postulując jedynie autonomię Ukrainy w ramach Rosji” – pisze profesor.

Nie może wobec powyższego dziwić to, że do Stepana Bandery porównywał się w pozytywnym kontekście szef ukraińskiego wywiadu wojskowego gen. Kyryło Budanow, a na tle portretu wodza OUN-B fotografował się jako naczelny dowódca ukraińskiej armii gen. Żałuzny, co miało być także formą uczczenia Bandery przez ukraiński parlament (który wprawdzie usunął później ze swojego profilu zdjęcie Żałuznego z wizerunkiem Bandery).

Zatem zamiast oczekiwanego (vide Franciszek Kucharczak na łamach „Gościa Niedzielnego”: „Putin wzmacnia Ukrainę”, luty 2022 r.) porzucenia Bandery na rzecz „prawdziwych bohaterów” mamy na szczeblu oficjalnym zarysowywanie paraleli między działaniami OUN i UPA a współczesnym wysiłkiem zbrojnym w wojnie z Rosją. Tym trudniej będzie więc obecnie wyegzekwować, by Ukraińcy stanęli w prawdzie o rzeczywi-

stej roli miejscowych formacji nacjonalistycznych w latach 30. i 40., skoro ich pozytywny mit mobilizuje państwo ukraińskie do stawiania oporu Moskwie. Założenie, że po przekroczeniu granicy polsko-ukraińskiej Ukraińcy zweryfikują swój stosunek do OUN i UPA, jest zaś o tyle naiwne, że państwo polskie nawet nie stawia imigrantom pod tym względem żadnych wymagań.

– W Polsce może pojawić się nowy Bandera, jeśli nie zintegrujemy Ukraińców – wprost przestrzegają w styczniu 2023 r. prof. Maciej Duszczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami UW. – Jeśli my dzisiaj uznamy, że przecież Ukraińcy mówią świetnie po polsku i w ogóle nie ma żadnego problemu, to nie w takiej skali, ale gdzieś sobie wychowamy jakieś pokolenie, które będzie sfrustrowane, z jakimiś problemami, będzie chciało zrobić w pewnym momencie być może coś, co będzie... będzie szukało swojej niszy – dodaje.

Na podobnego rodzaju zagrożenia zwrócono także uwagę w analizie rządowego Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych z lipca tego roku: „Ze względu na dużą liczbę uchodźców część problemów społecznych Ukrainy będzie jednocześnie widoczna w Polsce, co utrudni dalszą integrację Ukraińców” – czytamy. Jak przestrzega rządowy instytut, „dotyczyć to może przede wszystkim zdemobilizowanych mężczyzn, którzy przyjadą do Polski w poszukiwaniu pracy oraz w ramach łączenia rodzin. Może pojawić się zagrożenie związane z radykalizacją tej grupy i ryzyko wzrostu przestępczości”. W dalszej części opracowania spekuluje się także o potencjalnie negatywnej roli w polsko-ukraińskich napięciach etnicznych jednego ze wspólnych sąsiadów Polski i Ukrainy. Tego ostatniego nie można oczywiście wykluczyć, przy czym sposobność ku ingerencji podmiotów trzecich nadarza się dzięki nasycaniu ludności Polski obcym kulturowo elementem napływowym z całego obszaru byłego ZSRS, w tym z Ukrainy.

BEZ POLONIZACJI

Przekonania o bliskości kulturowej między Polakami i Ukraińcami negatywnie zweryfikowały badania przeprowadzone przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii we wrześniu 2019 r. W skali 0–6 wśród ukraińskich respondentów

średnia ocen przejawianego dystansu wyniosła wobec Polaków 3,99 – więcej niż dla Rosjan, wobec których współczynnik ten wyniósł 3,56. Ukraińcy wykazywali też mniejszy stopień ksenofobii wobec Rosjan niż wobec Polaków. We wrześniu 2018 r. współczynnik ten wynosił dla Rosjan i Polaków odpowiednio 3,89 i 4,20, w październiku 2018 r.: 3,84 i 4,12. Natomiast w charakterze członka rodziny to właśnie Rosjan Ukraińcy byłiby gotowi dopuścić częściej niż Polaków: odpowiednio 34,1 proc. i 15,6 proc. Ukraińców byłoby na to gotowych.

Wydarzenia z lutego 2022 r. oraz późniejsze z pewnością zmodyfikowały stosunek do Rosjan przynajmniej u części Ukraińców. Wciąż jednak mocno na wyrost wydają się diagnozy formułowane na temat stosunków polsko-ukraińskich chociażby przez Grzegorza Górno, który twierdził na łamach wPolityce.pl: „Przez stulecia mieliśmy wspólną historię, będąc obywatelami tego samego organizmu państwowego. Są nam bliscy językowo i kulturowo. W większości podzielają naszą podejrzliwość wobec moskiewskiej satrapii. Zazwyczaj są też konserwatywni obyczajowo i niechętni wobec lewicowych projektów inżynierii społecznej”.

Górny wyraźnie nie docenia ukraińskich aspiracji niepodległościowych, w tym tych każących Ukraińcom patrzeć na przedrozbiorową Rzeczpospolitą jak na organizm hamujący rozwój ich tożsamości narodowej. Militarna konfrontacja Kijowa i Moskwy przynajmniej na jakiś czas może unieważnić poczucie bliskości kulturowej wobec Rosjan, nie powodując to jednak automatyzmu w oczekiwanym zacieśnianiu relacji polsko-ukraińskich.

Pesymistycznie ocenia sytuację we wzajemnych stosunkach prof. Oleg Leszczak („Przegląd Wschodnioeuropejski” 2019), który twierdzi: „Kiedy Ukrainiec mówi »Ukraina«, »Ukraińcy«, ma na myśli albo kraj jako przestrzeń wraz z ludnością (głównie wiejską) oraz jej tradycją folklorystyczną, albo współczesne problemy polityczno-bytowe bez jakiegokolwiek związku z przeszłością. Mówiąc »przeszłość«, »historia«, »dzieje«, Polak odwołuje się albo do świetności panowania Rzeczypospolitej, albo do wzniosłej martyrologii narodowej. Kiedy Ukrainiec mówi to samo, czuje albo upokorzenie niewolnictwa, albo uniesienie

rebelianta, który wreszcie zrzucił kajdany i dał odpór swemu gnębielowi. Zatem każda próba polsko-ukraińskiego dialogu narodowo-historycznego jest z góry skazana na niepowodzenie". Badacz w naukowym artykule „Polska i Polacy we współczesnym ukraińskim etnicznym obrazie świata. Ogląd struktury kulturowo-cywilizacyjnej” podkreśla wiodącą rolę historii w relacjach polsko-ukraińskich.

Na odmienną doświadczenia historycznego konstytuującego przeżywaną tożsamość narodową u Polaków oraz (m.in.) u Ukraińców zwraca również uwagę prof. Ryszard Radzik w artykule naukowym „Polacy a Słowianie wschodni: społeczne uwarunkowania formowania się cech tożsamościowo-mentalnych” („Annales I – Philosophy and Sociology” 2024). Socjolog twierdzi, że Polacy w swych narodowych odniesieniach – mimo przeważnie chłopskiego czy robotniczego pochodzenia – pozostają szlachciami, z kolei wśród prawosławnych społeczności Europy Wschodniej tego typu uczestnictwo klas niższych w przeżywaniu tożsamości ukształtowanej przez doświadczenie elit nie jest zjawiskiem tak bardzo charakterystycznym.

Z takiego właśnie, już i tak mocno różniącego się od Polaków społeczeństwa rekrutowali i rekrutują się Ukraińcy osiedlający się w Polsce. Co więcej, ich asymilacji zapobiega sama Rzeczpospolita. W kwietniu wiceminister edukacji Joanna Mucha zapewniała w Radiu Zet: „Nie mamy takiego zamiaru, by polonizować dzieci ukraińskie [...]. Chcemy, żeby dzieci ukraińskie zachowały swoją ukraińską tożsamość”. Z kolei w czerwcu wiceszefowa MEN zaznaczała: – Chcemy, by szanowały swoją ukraińską tożsamość i żeby w swojej ukraińskiej tożsamości mogły się wychowywać, tak jak polskie dzieci mają stworzone warunki do tego, by szanować swoją polską tożsamość i wychowywać się w swojej polskiej tożsamości wtedy, kiedy mieszkają poza granicami Polski.

Należy żałować, że wiceminister edukacji nie doprecyzowała, który kraj zamieszany przez Polaków podaje jako przykład rzekomego pielęgnowania na jego terytorium tożsamości narodowej polskich dzieci. Niemniej mamy do czynienia z wyraźnym zacieraniem roli narodu gospodarza oraz narodu gościa. Co

więcej, państwo polskie zamierza wręcz zabiegać o to, by Ukraińcy pozostali Ukraińcami, upewniając się, by nie przyjmowali oni polskiej tożsamości narodowej. Wiceminister Mucha zapowiadała wszakże, że w polskich szkołach obecny będzie „komponent ukraiński, który będzie obejmował historię, geografę, literaturę”, co szczególnie w przypadku nauczania ukraińskiej wersji historii ma istotny potencjał konfliktogenny. Docelowo zaś od września tego roku w polskich szkołach ma uczyć się kilkaset tysięcy dzieci z Ukrainy – już teraz wraz ze swymi rodzinami stanowiącymi mniejszość narodową o rozmiarach niespotykanych w Polsce od mało sielankowych czasów II Rzeczypospolitej. Skutkiem tego zjawiska będzie stan, w którym Polacy nie będą mieli swojego państwa na wyłączność, o ile nie następuje to już teraz.

Państwo polskie bez wątpienia prowadzi zatem politykę zgodną z oczekiwaniami Kijowa wyrażonymi przez ówczesnego ambasadora Ukrainy Wasyla Zwarycza, który w wywiadzie dla Onetu z maja 2024 r. ocenił, że polskie szkoły „powinny stwarzać uczniom warunki do zachowania ich ukraińskiej tożsamości”. Trudno się temu podeszczyć dziwił. Któż bowiem nie chciałby mieć w sąsiednim kraju co najmniej milionowej społeczności, która będzie pasem transmisyjnym racji stanu macierzystego państwa? Na świecie jest bodaj tylko jeden kraj, który świadomie poświęca swoją mniejszość narodową (i do tego autochtoniczną) w państwach sąsiednich w nadziei, że dzięki temu stworzy z nimi ścisły sojusz. Nietrudno się zresztą domyślić, o którym kraju mówimy.

CORAZ WIĘCEJ OSÓB WIDZI RÓŻNICE

Tymczasem o tym, jakiej racji stanu ekspozyturą będą Ukraińcy w Polsce, mogliśmy się boleśnie przekonać co najmniej kilkukrotnie. Bezceremonialnie z Polakami potrafił się obejść sam Wołodymyr Zełenski, który na forum ONZ zaatakował Polskę na tle konfliktu o zboże. – Niektórzy nasi przyjaciele w Europie odgrywają w teatrze politycznym solidarność, robiąc thriller ze zbożem – mówił ukraiński prezydent we wrześniu 2023 r. w Nowym Jorku. Z kolei jeszcze miesiąc przed rosyjską inwazją, a więc

w styczniu 2022 r., Kijów zablokował granicę dla tranzytu kolejowego przez ukraińskie terytorium do Polski, podając jako pretekst naprawę torów.

Jednocześnie Ukraina dowodzi na arenie międzynarodowej, że można zabijać naszych obywateli i nie ponosić żadnych tego konsekwencji – i nie chodzi tu tylko o blokowanie pochówku Polaków zamordowanych przez UPA. – Brak współpracy ze strony ukraińskiej zablokował śledztwo w sprawie eksplozji rakiet w Przewodowie na Lubelszczyźnie – informowało RMF FM we wrześniu 2023 r., odnosząc się do śledztwa w sprawie zabicia dwóch Polaków raketą wystrzeloną przez ukraińską armię.

Warto przy tym zauważyć, że na taką asertywność Kijów pozwala sobie nie tylko w momencie, gdy ma przedstawiony do głowy rosyjski pistolet, lecz także wtedy, gdy padają już z niego strzały, a przeżycie umożliwia Ukraińcom polskie lotnisko w Jasionce pod Rzeszowem. Jak zresztą pisała „Rzeczpospolita” na początku lipca – z badań European Council on Foreign Relations (ECFR) wynika, że Ukraińcy za bardziej niezawodnych sojuszników od Polski uważają Wielką Brytanię, Litwę, Niemcy i Francję. Stanowi to dobre podsumowanie, jak trwała jest wdzięczność strony ukraińskiej wobec Polaków za okazaną pomoc, choć to właśnie ona miała stanowić fundament pokojowego współżycia i nowego rozdziału w historii naszych narodów.

Tymczasem potencjał konfliktogenny mają także zmieniające się postawy samych Polaków. Już w lutym 2023 r. ponad 60 proc. Polaków uznało, że pomoc w postaci świadczeń udzielanych przez państwo jest lepsza dla uchodźców niż dla nich samych (badanie przeprowadzone przez Zespół Badawczy Openfield), przy czym w październiku 2022 r. odsetek ten wynosił blisko 56 proc. Z kolei w czerwcu 2023 r. jedynie co piąty z nas popierał osiedlanie się Ukraińców na stałe w Polsce, pięć miesięcy wcześniej odsetek ten wynosił 37 proc. (badania zespołu Uniwersytetu Warszawskiego oraz Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie). – Wielowymiarowa analiza wyników badań jednoznacznie wskazuje, że powodem zmiany nastawienia Polaków do uchodźców z Ukrainy jest postawa roszczeniowa,

której nie akceptujemy – komentował w mediach dr Robert Staniszewski z UW, szef projektu badawczego.

Jak czytamy na łamach „Wprost”, z opublikowanego raportu z badań wynika również, że połowa Polaków uważa, iż Ukraińców charakteryzuje „inna kultura”, w tym np. „inne normy i zasady”. Polacy doświadczają więc przekonania, że Ukraińcy nie są im bliscy kulturowo, co z kolei potwierdzały wnioski przedstawione przez badaczy przywoływanych na początku niniejszego tekstu. Przyszłość pokojowej koegzystencji stoi w związku z tym pod dużym znakiem zapytania.

Co więcej, dynamika zmian idzie ku wyraźnemu i trwałemu sceptycyzmowi Polaków wobec ukraińskich osiedleńców. Z badań przeprowadzonych pod kierunkiem cytowanego już dr. Roberta Staniszewskiego wynika, że spadek przychylności dotyczy niemal wszystkich

Utwierdzanie Ukraińców, że Polska to także ich kraj, nie ogranicza się wyłącznie do sfery symbolicznej

aspektów życia, z wyjątkiem zgody na przyjęcie ukraińskich dzieci do szkół – tak wynikało z omówienia wyników badań opublikowanych w czerwcu w „Business Insider”. Jednocześnie połowa respondentów opowiedziała się za nauką ukraińskich dzieci według polskich programów szkolnych. – Coraz więcej osób widzi różnice między narodami – podkreślił dr Staniszewski. Jak czytamy na łamach „BI”, respondenci wskazali na „wschodnią mentalność, sowiecką kulturę”, która ujawnia się „w braku dbałości o dobro wspólne”.

Nie inaczej jest po stronie ukraińskiej. Ogólnoukraiński sondaż telefoniczny przeprowadzony w styczniu 2024 r. na zlecenie Centrum Mieroszewskiego przez ukraińską pracownię badań opinii publicznej Info Sapiens wykazał, że w stosunku do października 2023 r. przewaga pozytywnych ocen Polaków nad negatywnymi zmniejszyła się z 67-krotnej (!) do pięciokrotnej. Wyniki badań

wskazywały bowiem, że w październiku 2023 r. 67 proc. Ukraińców miało o Polakach dobre zdanie, 1 proc. zaś – złe. Trzy miesiące później odsetek Ukraińców mających dobrą opinię o Polakach zmniejszył się do 44,5 proc., zwiększył się natomiast do 9 proc. odsetek respondentów mających złą opinię – czytamy na stronie Centrum Mieroszewskiego.

KRAJ DWUNARODOWY

Jeśli uznać, że nastroje wśród Ukraińców w kraju macierzystym są reprezentatywne także dla ich rodaków w Polsce, to wzięwszy pod uwagę także zmiany w nastawieniu Polaków do Ukraińców, możemy mówić o zarysowującym się konflikcie na tle etnicznym, którego wyznacznikiem będzie przynależność do jednego z zamieszkujących Polskę narodów – Polaków jako dotychczasowych monopolistów w roli gospodarzy oraz Ukraińców, którzy nieuchronnie zaczną ujawniać swoje aspiracje. Nie ma bowiem powodu, by porzucili oni chęć pozostania przy swojej tożsamości – tym bardziej że przy co najmniej milionowej diaspory i kilkudziesięcioprocentowym niekiedy udziale w ludności niektórych miast ich solidarność grupowa oparta na kryterium etnicznym pozwoli na czucie się u nas jak u siebie. O to ostatnie dbają zresztą kolejne polskie rządy oraz lokalne władze.

Utwierdzanie Ukraińców, że Polska to także ich kraj, nie ogranicza się wyłącznie do sfery symbolicznej. I tak spośród wielu świadczeń, na których udzielanie Rzeczpospolita stać dzisiaj dzięki pracy poprzednich pokoleń Polaków, współcześnie Ukraińcy korzystają m.in. z dopłat do kredytu na mieszkanie. Jak informuje portal Money.pl, w ubiegłym roku ponad 5 tys. z blisko 7,7 tys. zakupionych przez obywateli Ukrainy mieszkań zostało sfinansowanych z rządowego kredytu.

Ukraińcy dokonują w Polsce zakupu nieruchomości na szeroką skalę, co obrazują kolejne liczby bezwzględne. Jak informował Money.pl, w 2022 r. kupili oni co najmniej 6,2 tys. mieszkań o łącznej powierzchni 335 tys. mkw., w 2021 r. zaś było to prawie 250 tys. mkw. Z kolei w 2023 r. Ukraińcy kupili już 7 tys. mieszkań o łącznej powierzchni 390 tys. mkw. Mamy więc do czynienia z tendencją wzrostową z roku na rok, i to

pod kątem najbardziej bodaj miarodajnego kryterium dotyczącego perspektyw osiedlenia się w Polsce na stałe, a więc zakupu tu mieszkania.

Perspektywy stałego osadnictwa ukraińskiego w Polsce zarysowuje również raport Narodowego Banku Polskiego pt. „Sytuacja życiowa i ekonomiczna migrantów z Ukrainy w Polsce w 2023 r. Raport z badania ankietowego”. Czytamy w nim: „W przypadku migrantów przedwojennych w znacznym zakresie można mówić o migracji osiedleńczej. 61 proc. migrantów przedwojennych i 39 proc. uchodźców deklaruje, że pozostanie w Polsce na stałe lub dłużej niż rok. Na bardzo niskim poziomie utrzymuje się odsetek osób, które chcą wyjechać z Polski do innego kraju niż Ukraina, spada także odsetek osób, które chcą szybko wrócić do Ukrainy”.

Jednocześnie coraz szerzej otwierane są przed cudzoziemcami drzwi do uzyskania polskiego obywatelstwa. Jak podawała „Rzeczpospolita”, w 2022 r. polskie obywatelstwo przyznano blisko 10 tys. osób, z czego aż 5,2 tys. obywatelom Ukrainy, 2985 obywatelom Białorusi, 405 obywatelom Rosji. – To liczba rekordowa – podsumowuje „Rz”. Gazeta informuje także, że uzyskanie obywatelstwa „nie wymaga egzaminu z historii czy systemów politycznych jak Niemcy czy Wielka Brytania, lecz jedynie obowiązku znajomości polskiego na poziomie B1. W ubiegłym roku rząd dodatkowo rozszerzył listę szkół, które mogą wydać certyfikat językowy”.

Wobec powyższego nie sposób nie przyznać racji publiczności Michałowi Szuldrzyńskiemu, który już w kwietniu 2023 r. na łamach „Rzeczpospolitej” zauważył: „To, że Polska stała się krajem dwunarodowym, jest zwyczajnie faktem”.

W istocie trudno nie zgodzić się z zaproponowanym wnioskiem. Tym bardziej gdy skonfrontujemy się z przeanalizowanymi danymi. Należy więc powtórzyć, że w wyniku ukraińskiej migracji Polacy przestają być wyłącznymi gospodarzami własnego kraju. Nic też nie wskazuje na to, by ten stan rzeczy dał się łatwo odwrócić. „Ukrainizacja” Polski nie tyle się więc dokonała, ile wciąż dokonuje. Najbardziej spektakularne tego konsekwencje dopiero przed nami.



**Z Dariuszem Lasockim, prawnikiem i samorządowcem,
byłym członkiem Państwowej Komisji Wyborczej**
rozmawia Karol Gac

Chodzi o igrzyska, nie o prawdę

Biuro
Wyborcze



KAROL GAC: Do 29 sierpnia PKW odrzuciła posiedzenie w sprawie sprawozdania PiS z wyborów parlamentarnych. Wielu spodziewa się, że dokument zostanie odrzucony. Pan również?

DARIUSZ LASOCKI: Tak, spodziewam się tego. Byłbym mocno zdziwiony, gdyby po tej nawale medialno-rządowej stało się inaczej. PKW jest pod ogromną presją, ale mam też wrażenie, że równocześnie część jej członków także wywiera presję na podmioty zewnętrzne, aby dostarczyły potrzebne materiały do odrzucenia sprawozdania PiS.

Wystarczy przypomnieć postawę i zachowanie Ryszarda Kalisza, który zasiada w PKW z ramienia Lewicy.

To zachowanie, które nie licuje z powagą urzędu, którym jest PKW. Mam wrażenie, że Ryszard Kalisz pomylił miejsce, bo to nie jest polityka. Państwowa Komisja Wyborcza przez ostatnie cztery lata zachowywała się bardzo powściągliwie, jeśli chodzi o wypowiedzi medialne. Mielśmy dżentelmeńską umowę, w myśl której w naszym imieniu wypowiadał się wyłącznie przewodniczący PKW. Dzisiaj mec. Kalisz stał się tubą własnej polityki, którą uprawia w PKW. To sytuacja niedopuszczalna, która powinna być publicznie oceniana nagannie. Pamiętajmy, że PKW jest organem niezależnym, niezawisłym. Nawoływania niektórych członków, aby organa państwa dosyłały kolejne dokumenty, są niedopuszczalne, ale nie mieszczą się również w mandacie członka PKW. Nie chciałbym też robić reklamy Ryszardowi Kaliszowi, bo wydaje mi się, że nie zasługuje na nieustanne wspomnianie. Tym bardziej że w mojej ocenie to polityk raczej schodzący, a nie wschodzący. Mam nieodparte wrażenie, że jest atencjuszem, czyli człowiekiem, który potrzebuje uwagi i chciałby błyszczeć. Niestety, jako były członek PKW mogę stwierdzić, że Ryszard Kalisz nie zawsze ma rację, a wręcz wprowadza zamęt, który jest niepotrzebny. W mojej ocenie, jeśli PKW odrzuci sprawozdanie PiS, to będzie to działanie bezprawne. Chciałbym też przypomnieć, że odpowiedzialność członków PKW jest nieograniczona. Jeśli podejmą taką decyzję i pozbawią środków największą partię polityczną w Polsce, to odpowiadają swoim własnym majątkiem, bo nie mają immunitetu i ubezpieczenia.

Przez ostatnie tygodnie rządzący wywierali dużą presję na PKW, by ta odrzuciła sprawozdanie PiS. Słyszeliśmy o Funduszu Sprawiedliwości, piknikach „800+” i innych wydarzeniach. Ostatecznie PKW zwróciła się o przekazanie informacji dotyczących ekwiwalentu finansowego za przygotowanie na zlecenie KPRM i Ministerstwa Cyfryzacji raportów z monitoringu mediów na temat „wiarygodności PiS”, a także zatrudnienia siedmiu osób w Rządowym Centrum Legislacji. Jak pan to odczytuje? Z dużych chmury mały deszcz?

Dokładnie tak. Właściwie mogłoby to zamknąć całą wypowiedź. Mielśmy ogromną kaskadę oskarżeń wobec jednej siły politycznej. Było larum, że Fundusz Sprawiedliwości (FS) pogrąży PiS. Okazało się, że nie ma przepisów, które dałyby podstawę do odrzucenia sprawozdania PiS na podstawie FS, więc szukano dalej. Słyszeliśmy więc o piknikach „800+”, przy których bardzo mocno pracowano. Odkrywa się jakieś sfin-

Jeśli przestaniemy respektować prawo w Polsce, to nie ma już nic. To by oznaczało, że możemy się spakować i wyjechać, bo nikt nie byłby chroniony

wane papiery czy robi wrzutki o jakichś miniaferkach. Przypomnę, że PKW miała sześć miesięcy, aby zebrać dokumenty. Tymczasem jest już po terminie. To nie jest taka sytuacja zero-jedynkowa, jak się chce ją przedstawiać. Mamy choćby kwestię potencjalnych odsetek dla PiS, które byłyby znaczącą kwotą. Kto miałby je zapłacić? Skarb Państwa? W związku z tym uważam, że chodzi raczej o gonienie króliczka niż złapanie go.

PiS odbija piłeczkę i wskazuje m.in. na Campus Polska czy liczne wydarzenia na Opolszczyźnie, które miały miejsce w niedawnych kampaniach. Równi i równiejsi?

Mamy do czynienia z podwójnymi standardami. Warto zauważyć również, że przez ostatnie tygodnie administracja rządowa poświęciła wiele czasu, aby zarzucić PKW różnymi materiałami, które są irrelewantne dla sprawy. 7,5 mln Polaków

zagłosowało na PiS. Partia musi mieć możliwość zabiegania w sposób transparentny o głosy. Nie wyobrażam sobie sytuacji w Niemczech, we Francji czy w Wielkiej Brytanii, że rząd naciska na niezależną komisję, by odebrała pieniądze opozycji. To sytuacja całkowicie niespotykana i irracjonalna, możliwa chyba tylko w Polsce.

A może nie chodzi o respektowanie prawa, tylko o prostą arytmetykę i układ sił w PKW? Dwóch członków PKW wskazało PiS, pięciu obecnie rządzący, co nawet uwzględniając sędziów TK i NSA, daje jasny wynik głosowania.

Pytanie jest zasadne, ale odpowiedź powinna brzmieć tak – w poprzedniej kadencji PKW nie podejmowała takich działań, mimo że być może należało głęboko zastanawiać się nad tym, co było w minionych kampaniach. Jeśli przestaniemy respektować prawo w Polsce, to nie ma już nic. To by oznaczało, że możemy się spakować i wyjechać, bo nikt nie byłby chroniony. Jeżeli państwo przez ostatnie tygodnie dopisuje pewne elementy do rzeczywistości prawnej, to zastanawiam się, czy przysłowiowy Kowalski jest bezpieczny. To ostatni bastion dla przestrzegania reguł, na które klasa polityczna zgadzała się przez 30 lat. System finansowania partii nie jest doskonały i już dawno powinien zostać uszczelniony, ale poprzez działania Sejmu, a nie rządu. To by zepchnęło partię w szarą strefę. Przywołam też sprawę Campusu Polska, który jest dla mnie sprawą nieoczywistą, i bardzo bym chciał, żeby PKW się nad nią pochyliła, choć tego nie zrobiła i przeszła nad tym do porządku dziennego.

Dlaczego Campus Polska jest dla pana sprawą nieoczywistą?

Ze względu na to, że fundacja Campus Polska, której twarzą siłą rzeczy jest Rafał Trzaskowski, otrzymuje różne granty, w tym od fundacji niemieckiej CDU, czyli Konrada Adenauera. W czasie kampanii wyborczej pojawiali się tam prominentni politycy ówczesnej opozycji z Donaldem Tuskiem na czele. Wszystkie aktywności polityków powinny być traktowane jako działalność polityczna, jako kampania wyborcza, a ta powinna być finansowana z funduszu wyborczego. Tam się nie wykuwał polityczny manifest nowej koalicji, ale był już po prostu komunikowany wszystkim.

Organizatorzy przekonują, że pojawili się tam politycy różnych partii, a nikt nikomu nie mówił, na kogo głosować.

Jednak miało to miejsce w kampanii wyborczej. Jeżeli odnośnie do PiS mówi się teraz, że wszystko jest uważnie badane, to trzeba powiedzieć wprost, że aktywność polityków na Campusie Polska była finansowana m.in. z zagranicy, co jest bezwzględnie zabronione. Działania rządzących mogą sprawić, że obecny system finansowania partii zostanie wywrócony do góry nogami. Obawiam się, że pokłosiem PKW-gate będzie to, że powróci skład sędziowski, co jest nieznanym rozwiązaniem w Europie. Będziemy jedynym krajem, który będzie w skansenie regulacji wyborczych. Dobrze wiemy, że wielu sędziów jest zaangażowanych politycznie i mogłoby się okazać, że będą interpretować prawo w taki, a nie inny sposób. Chyba o to chodzi Donaldowi Tuskowi.

Zalóżmy, że PKW odrzuci sprawozdanie finansowe PiS. Konsekwencją byłaby utrata do 75 proc. dotacji podmiotowej i subwencji. Pytanie, o jakich kwotach rzeczywiście jest mowa? Jedni wskazują, że mogłoby to być ubytek rzędu nawet 100 mln zł, ale inni, jak np. Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego, wskazują, że w taki sposób się tego nie liczy i ewentualna kara powinna być wielokrotnie mniejsza, oscylując wokół 8–10 mln zł.

Liczę to w dość konserwatywny sposób, czyli utrata do 75 proc. dotacji oraz do 75 proc. z każdego roku subwencji, co łącznie rzeczywiście dałoby ok. 100 mln zł. Szanuję Krzysztofa Izdebskiego, bo choć nie zgadzamy się politycznie, to jest to fachowiec z wiedzą. Gdyby jednak przyjąć jego wersję, to czy cały aparat i rząd byłiby zaangażowani dla tych 8 mln zł? To raczej nie o to chodzi. Chyba że sami nie wiedzą, o jakich pieniądzach jest mowa. Wydaje mi się jednak, że ta wielka akcja propagandowa, presja wywierana na PKW nie miałyby na celu odebrania tych 8–10 mln, ale raczej tych 100.

Tyle tylko, że to, co pan mówi, wskazywałoby na to, iż tak fundamentalna kwestia, jak wymiar kary, byłaby uznaniowa i zależna de facto od interpretacji członków PKW. Myle się?

Nie. Prawdopodobnie będzie tak, jak pan mówi. Jednocześnie nie znajduję podstaw do twierdzenia, że będzie to tak mała kwota. Wydaje mi się, że będzie ona mimo wszystko znacząca. Wynika to

Wydaje mi się, że ta wielka akcja propagandowa, presja wywierana na PKW nie miałyby na celu odebrania tych 8–10 mln, ale raczej tych 100 mln

zarówno z mojej wiedzy, jak i obserwacji tego, co dzieje się wokół PKW. Nie byłoby tak dużego napięcia i niepokoju po stronie rządzących, gdyby w grę wchodził tak niski wymiar kary. Wskazują na to wszystkie znaki na niebie i ziemi.

Warto zauważyć też inną rzecz. Często słysząc, że PiS sobie jakoś poradzi. Problem w tym, że w Polsce sektor bankowy jest w głównej mierze w rękach państwa lub obcego kapitału. Pytanie, kto pożyczyc największej partii opozycyjnej np. 30 czy 50 mln? Banki zagraniczne nie, banki państwowe raczej też nie, a banki spółdzielcze są za małe. W sytuacji, w której PKW pozbawiłaby PiS finansowania, to mogłoby się skończyć dla niego fatalnie.

A co z darowiznami od wyborców? Słysząc, że PiS szykuje plan B i zamierza zwrócić się o wsparcie do swoich wyborców. Wielu z nich deklaruje w mediach społecznościowych, że chętnie pomoże. To prawnie dopuszczalne?

Tak. Myślę, że to paradoksalnie mogłoby być pozytywny epilog tej historii, w którym wyborcy wpłacaliby swoje oszczędności na partię. Oczywiście mamy tu różne limity, ale generalnie mogłoby to wzmocnić i partię, i sam elektorat, który mógłby się ponownie policzyć. Sądzę, że PiS mógłby „podziękować” rządowi, że kolejny raz zmobilizował jej zaplecze. Oczywiście trzeba przy tej okazji pamiętać, że są różnego rodzaju ograniczenia – wpłacający muszą np. mieszkać w Polsce i musi to przechodzić przez rachunek bankowy. To pokazałoby też, że polski system partyjny jest żywy i jest w stanie się zregenerować dla całego systemu ekopolitycznego.

W przypadku negatywnego scenariusza PiS będzie miał prawo do odwołania się do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Problem w tym, że „nie uznają” jej rządzący, a więc moglibyśmy usłyszeć, że pieniądze i tak nie zostaną wypłacone, bo „to nie sąd”.

Mało tego, IKNiSP nie jest jednolitą izbą, jeśli chodzi o orzecznictwo. Nie jestem pewny, czy ta izba jest w stanie jednolicie tę skargę ocenić i postanowić. Moim zdaniem to wielce prawdopodobny scenariusz, o który pan pyta. Tyle tylko, że sytuacja ministra finansów, który podjąłby taką decyzję, byłaby naprawdę nieciekawa. Trybunał Stanu w Polsce jest dosyć zardzewiałą instytucją, ale w tym przypadku byłaby krótka piłka. Nowa władza mogłaby dojść do wniosku, że głodzi całą opozycję, a dodatkowo stawia przed TS ministra finansów. Na pewno presja na Andrzeja Domańskiego byłaby ogromna. W dobie tak niestabilnego otoczenia i wojny za wschodnią granicą polaryzacja jest najgorszym możliwym rozwiązaniem, ale widzę, że chodzi o igrzyska, a nie o prawdę.

PKW apelowała wielokrotnie do polityków, aby rozgraniczali działania polityczne od funkcji w rządzie. Jednak od 30 lat robią to wszyscy. Jak wiadomo, PKW nie ma uprawnień śledczych czy operacyjnych, aby weryfikować takie sprawy. Pytanie więc, czy pana zdaniem aktualne przepisy należałoby zmienić?

Za każdym razem po wyborach PKW odczytuje sygnały z „rynku wyborczego” i przedstawia swoje wnioski do Sejmu. Tych pism jest naprawdę wiele. Nigdy nie otrzymaliśmy informacji zwrotnej od rządzących. Tym bardziej nie spodziewam się tego teraz, by rządzącym na tym zależało. PKW widzi wiele problemów, jak np. używanie gazetek lokalnych czy rozgraniczenia funkcji. Moim zdaniem, jeżeli nie ma norm, to trzeba się zachowywać rozsądnie i porządnie. Sam jednak byłem politykiem i wiem, że adresatami tych słów nie są raczej przedstawiciele klasy politycznej. Natomiast wiele norm powinno być dokręconych. PKW powinna mieć więcej możliwości do badania. Dzisiaj np. nie ma narzędzi do badania prekampanii czy kampanii w Internecie. Albo zwiększymy kompetencje PKW i zostawimy jej przestrzeń do działania, albo nie. To, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach, to fatalny prognostyk na przyszłość. Domniemania nie mogą być jednak podstawą odbierania środków finansowych partiom politycznym w demokratycznym państwie. Wyroki tak, ale domniemania nie.





Krzysztof Bosak (z lewej) jako wspólny kandydat prawicy już w pierwszej turze mógłby zdobyć głosy części wyborców PiS i Konfederacji, ale jednocześnie część tradycyjnych wyborców partii Kaczyńskiego nigdy by go nie zaakceptowała. FOT. WOJCIECH ODKUŚNIK/EAST NEWS

Prawyborczy



Piotr Semka

Idea prawyborów na prawicy nie zachwyciła ani PiS, ani Konfederacji. Ci pierwsi odrzucili ją wprost, a ci drudzy formalnie ją docenili, ale porzucili bardzo szybko. Czy to politycy są zadufani w sobie czy sam pomysł prawyborów po prawej stronie jest zbyt oderwany od brutalnych realiów polskiej polityki?

Maciej Pawlicki, wyrazista postać intelektualnego zaplecza polskiej prawej strony, nie od dziś lansuje ideę poszerzenia wpływu konserwatywnych wyborców na decyzje polityków prawicy. Już przed eurowyborami w czerwcu bieżącego roku wystąpił

z inicjatywą „honorowej instrukcji poselskiej”, pod którą podpisało się ok. 2 tys. osób. Wówczas idea Pawlickiego, by kandydaci na europosłów z prawej strony podpisywali kartę zobowiązań, się nie spełniła. Udało mu się wtedy doprowadzić jedynie do debaty w Warszawie, w której

grono kandydatów z PiS i Konfederacji odpowiadało na pytania publicystów.

Teraz Pawlicki zaproponował „prawybory prezydenta wolnej Polski”. W liście, który podpisało wielu publicystów z prawej strony, wskazywał: „Wobec szybko postępujących zagrożeń politycznych, cywilizacyjnych, gospodarczych i militarnych szczególnie ważne jest, by w roku 2025 Polacy mądrze wybrali nowego prezydenta Rzeczypospolitej” (list w całości wydrukowany został w „Do Rzeczy” nr 34/2024).

NIECH PRZEMÓWI PRAWICOWY LUD

Dokument wskazywał, że mechanizmy polityczne i medialne coraz bardziej ograniczają wpływ wyborców na decyzje podejmowane w ich imieniu. „Należy odwrócić tę tendencję. Sądźmy, że Polacy



klincz

życzący Polsce niepodległości chcą mieć udział w wyborze nie tylko emocjonalny i formalny, lecz także merytoryczny. Nie chcą jedynie aktem głosowania potwierdzać wyboru dokonanego przez wąskie gremia, chcą sami kandydatów zapytać, ocenić, porównać. Świadomie ulokować swą nadzieję”.

List podkreślał, że aby pokonać konkurencję z obozu liberalno-lewicowego, należy uniknąć rozproszenia głosów elektoratu wyznającego konserwatywne wartości. Ostrzegając, że w takiej sytuacji kandydat prawicy może w ogóle nie przejść do drugiej tury. Panaceum na to zagrożenie miało być rozpoczęcie procesu konsultacji między najważniejszymi partiami prawicy, które mogłyby doprowadzić do wyłonienia jednego kandydata poprzez procedurę prawyborów.

Pawlicki w rozmowie z „Do Rzeczy” podkreśla, że politycy nie mogą być jak egipscy kapłani, którzy ogłaszają ludowi swoje wyroki. „Prawica, aby wygrać z kandydatem obecnej koalicji, potrzebuje energii zwykłych wyborców. A uruchomić można ją, tylko włączając ich do wspólnej debaty. Bez tej energii sukces kandydata prawej strony nie będzie możliwy”.

Już w momencie zbierania podpisów pod tym manifestem w internetowych dyskusjach pojawiły się głosy wskazujące, że założenia listu są bardzo szlachetne, ale trudne do spełnienia w polskiej rzeczywistości politycznej. Najczęściej wysuwano pytanie, jakie struktury mają na tyle dużo środków finansowych, aby takie głosowanie przeprowadzić, i jak weryfikować uczestników głosowania. Wskazywano, że powoływanie się na wzorzec amerykański, gdzie dwie duże partie przeprowadzają prawybory, jest trudne do skopiowania. Tam istnieje wypróbowany od dziesięcioleci system zarejestrowanych wyborców obu partii, a mechanizm prawyborów jest od lat bardzo dobrze sprawdzony w praktyce.

Inni wskazywali, że ostatnie osiem miesięcy rządów koalicji pod wodzą Donalda Tuska wcale nie zlikwidowało przepaści niechęci między PiS a Konfederacją. Na te wątpliwości zwolennicy prawyborów odpowiadali, że przy dobrej woli polityków można wyobrazić sobie system spotkań – konwencji w iluś miastach, w których trakcie kandydaci wymieniliby się opiniami. Sam Pawlicki podkreślał, że prawica nie wygra wyborów, jeśli nie nastąpi obudzenie narodu, który musi mieć możliwość powiedzenia, czego chce. „Politycy chcą być jak kasta egipskich kapłanów, którzy wiedzą wszystko najlepiej. Prawica, żeby wygrać, potrzebuje energii ludzi i bez tej energii zwycięstwo może się nie udać. I na odwrót. Uruchomienie tej energii może zapewnić zwycięstwo”.

SZYBKI ZAPŁON I SZYBKIE ZAŚNIĘCIE

Na list w sprawie prawyborów błyskawicznie odpowiedział polityk Konfederacji Krzysztof Bosak. Tyle że zaprezentowana przez niego formuła akceptacji propozycji zawartych w liście była od początku dziwaczna. Bosak wyraził chęć wzięcia udziału w szerokiej formule prawyborczej, ale od razu przedstawił dwa warianty zachowania swej partii. Jeżeli by doszło do prawyborów, to deklarował, że gotowy

byłby w nich wystartować, a jednocześnie zaznaczał, że jeśli do nich nie dojdzie, to będzie popierał kandydaturę prezydencką Sławomira Mentzena. Na dodatek wypowiadając się w radiowym wywiadzie, Bosak poparł ideę listu w sposób mało dyplomatyczny. Swój komentarz na temat propozycji zawartych w liście zaczął od deklaracji, że kandydat PiS nie ma szans na samodzielną wygraną. Trudno było uniknąć wrażenia, że stanowisko Bosaka było jakimś elementem wewnętrznej gry o układ sił w Konfederacji. Jeśli sam Bosak deklarował, że Mentzen jest najlepszym kandydatem, to jego osobista gotowość do reprezentowania Konfederacji w prawyborach była absurdem. Ten stan rzeczy wynika z wewnętrznego rozbicia Konfederacji na frakcję Mentzena, grupę zwolenników Bosaka i wreszcie trudno sterowną formację Grzegorza Brauna. Ale pewne zamieszanie związane z deklaracją Bosaka szybko przestało być ważne, gdyż rozważania na temat prawyborów odrzucił wicereczenik PiS Radosław Fogiel.

„Jestem wzruszony, jak nagle Krzysztof Bosak i Konfederacja stali się piewcami »łączenia sił na opozycji«. Krzysztof, do dzieła, zróbcie jakikolwiek krok. Ale biorę to za dobrą monetę jako deklarację poparcia kandydata prawicy w drugiej turze nie jak ostatnio z Trzaskowskim” – pisał Fogiel na portalu X. Nawiązał do sytuacji z 2020 r., kiedy to Konfederacja w II turze wyborów prezydenckich uchyliła się od wezwania swoich wyborców do wsparcia Andrzeja Dudy przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu.

Bardziej wyczerpującą krytykę idei prawicowych prawyborów sformułował inny działacz PiS Łukasz Schreiber. Jak pisał: „Po pierwsze, za mało czasu, a za dużo problemów do rozwiązania. Weźmy największe z nich – kto miałby w nich czynne prawo wyborcze, jak weryfikować to przy różnych partiach? Po drugie, jeśli wspólny kandydat, to trzeba by pójść znacznie dalej, a na to, jak sądzę, nikt nie ma ochoty. Mam na myśli choćby [wspólny – przyp. P.S.] klub w Sejmie i wybory parlamentarne. Po trzecie, z jakiego komitetu wyborczego miałby startować taki (wspólny) kandydat? Jak wyglądałoby późniejsze zaangażowanie struktur? Jaki jest pomysł na wykorzystanie potencjału przegranych?”

Po czwarte, czy na pewno wszyscy w samej Konfederacji są zwolennika-

mi pomysłu i podporządkowaliby się takim wyborom, a następnie zaangażowali w kampanię? Szczerze wątpię. Po piąte, z wyborczego punktu widzenia ruch wątpliwy. Nie ma bowiem cudów – taki kandydat musi zebrać mniej niż 2 albo 3 kandydatów, a łączna pula głosów nie ma szans, by przebiła 50 proc. Po szóste – polski model wyboru prezydenta (równie zły jak prerogatywy głowy państwa) powoduje, że z prawdziwymi prawyborami mamy do czynienia w pierwszej turze. Od 1990 r. do drugiej tury wchodzi zawsze kandydat szeroko rozumianego obozu prawicy i kandydat liberalnej lewicy (poza anomalią z roku 2000) [...]. Reasumując, naprawdę nie widzę korzyści, za to jest mnóstwo raf i nieprzychylnie media gotowe skompromitować pomysły”.

Dla PiS wyrzeczenie się przez tę partię przywileju wskazania swego kandydata oznaczałoby de facto już abdykację ze statusu najsilniejszej partii prawicy

To ostatnia obawa, że idealistyczny pomysł na cykl debat na prawicy mógłby szybko zostać wykorzystany przez media liberalno-lewicowe do stworzenia wizerunku „zrażę się prawicy”, nie była wydumana. Wielu dziennikarzy, którzy nie dali się dotąd poznać jako osoby specjalnie zatroskane o sukces prawicy, teraz nagle zaczęło wkładać serce w udzielanie prawej stronie dobrych rad.

W „Rzeczpospolitej” Jacek Nizinkiewicz przekonywał, że najlepszy dla PiS byłby kandydat Morawiecki, z sugestią, że wymagałoby to tylko tego, by Kaczyński nie bał się wzrostu pozycji w partii byłego szefa rządu. „Wyborcza” o udziale Bosaka w prawyborach pisała z zainteresowaniem. A bulwarówka „Super Express” natychmiast zorganizowała sondę, z której wynikało, że 60 proc. respondentów miało być zdania, że to prezydent Andrzej Duda winien wskazać swego kandydata na następcę.

Wskrzesało to u części zwolenników prawicy obawę niekończących się negocjacji, kompromitujących prawicę przy skwapliwym dolewaniu oliwy do politycznego ognia ze strony „Gazety Wyborczej”, Onetu czy Wirtualnej Polski. Jeden z internautów

kpił: „To (wyłanianie kandydata prawicy) powinno się jakoś ładnie nazywać. Nazwa Konwent św. Katarzyny pasuje idealnie”.

A REALIA SKRZECZA

Czynnikiem, który w największym stopniu utrudniał i utrudnia jakiegokolwiek negocjacje między PiS a Konfederacją, jest utajona, ale wyraźna rywalizacja między tymi dwoma partiami o rząd dusz na prawicy. Konfederacja patrzy na Prawo i Sprawiedliwość jako na partię podstawiających dawnych gwiazd, którym nie wróży powrotu do pozycji rozgrywającego po prawej stronie. Z kolei PiS nie wierzy w trwałość Konfederacji i posądza swych przeciwników o możliwą metamorfozę w kierunku liberalnym. Owszem, teoretycznie Krzysztof Bosak jako wspólny kandydat prawicy już w pierwszej turze

mógłby zdobyć głosy części wyborców PiS i Konfederacji, ale jednocześnie część tradycyjnych wyborców partii Kaczyńskiego nigdy by go nie zaakceptowała. Ale to tylko teoria, bo Konfederacją faktycznie rządzi Sławomir Mentzen. A ten, po pierwsze, ma ochotę być kandydatem prezydenckim, po drugie, to on rozdaje karty, a po trzecie, chce swoją kampanię oprzeć na agendzie liberalnej.

Przemysław Wipler, którego uznać można za swego rodzaju coacha w przyszłej kampanii Mentzena, już teraz głosi teorię „dwóch wrogów” dla Konfederacji. W wywiadzie dla portalu Interia mówi: „Bardzo wielu Polaków nie chce powrotu PiS, a jednocześnie nie chce też państwa, w którym Donald Tusk i jego koledzy będą mogli wszystko bez jakiegokolwiek bezpiecznika w osobie prezydenta”.

Wrażenie zbytnej pewności siebie Konfederatów wzmocnił jeszcze sam Sławomir Mentzen. „Gdyby prawyborzy się odbyły, to bym je wygrał. Wiem, ile tysięcy członków ma moja partia, wiem, jakie poczyniliśmy do prawyborów przez ostatnie miesiące przygotowania, wiem, ile głosów bym miał tylko do swoich działaczy, nie licząc sympatyków” – ogłosił w serwisie X.

Z kolei dla PiS wyrzeczenie się przez tę partię przywileju wskazania swego kandydata oznaczałoby de facto już abdykację ze statusu najsilniejszej partii prawicy. Zrozumiał to szybko Krzysztof Bosak i być może dlatego tak chętnie poparł ten pomysł. Nie wchodząc, jak się zdaje, w idealistyczne uzasadnienia, które kierowały autorami listu.

Osobną wreszcie kwestią jest pytanie, czy prawicy opłaca się ogłaszanie swego kandydata już teraz, kiedy jeszcze nie wiadomo, jak będzie wyglądała sytuacja polityczna za parę miesięcy. Argument, że zwleknięcie z wysunięciem kandydata marnuje czas na debatę po prawej stronie, nie przystaje do brutalnych reguł polskiej sceny politycznej. Szymon Hołownia już deklaruje, że „na wyłonienie najlepszego kandydata koalicji mamy jeszcze czas”. Z kolei Donald Tusk w imieniu Platformy deklaruje, że kandydat mający placet jego partii zostanie ogłoszony dopiero przed Bożym Narodzeniem. Skoro PiS ma powody, by czuć się atakowany coraz bardziej brutalnymi metodami przez aparat rządowy, to przedwczesne wyznaczanie kandydata byłoby prezentem dla ekip Adama Bodnara i Romana Giertycha, którzy na każdym przedstawiciela prawicy będą chcieli znaleźć jakieś haki.

Maciej Pawlicki pytany o wszystkie te okoliczności przemawiające przeciw intencjom jego listu cytuje ostatnie zdania cytowanego już wpisu Łukasza Schreibera. Poseł PiS deklarował: „Czy idea jest jednak całkiem zła? Wyobrażam sobie taki pakt w postaci wspólnego zobowiązania do wzajemnego poparcia kandydata, który wejdzie do drugiej tury, a także debatę dla konserwatywnych mediów z udziałem kandydatów popierających szereg określonych wartości”.

Czy Schreiber napisał te słowa, aby nie zrażać sobie tej części konserwatywnej opinii, której idea prawyborów się podoba? Być może. Ale Maciej Pawlicki i inni sygnatariusze listu muszą też przyjąć do wiadomości, że dwaj główni protagoniści polskiej prawicy na prawyborzy nie mają ochoty. Pytanie: Czym można tę ideę zastąpić i jak skłonić do tego polityków zarówno z obozu Jarosława Kaczyńskiego, jak i Sławomira Mentzena? W warunkach walki o dominację po prawej stronie ze strony obu partii nie będzie to łatwe.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny.

Od poniedziałku
do piątku

6:05

sobota i niedziela

8:05

SKANUJ KOD QR
I WSPIERAJ
WOLNE MEDIA



REPUBLIKA

#wstajemy!



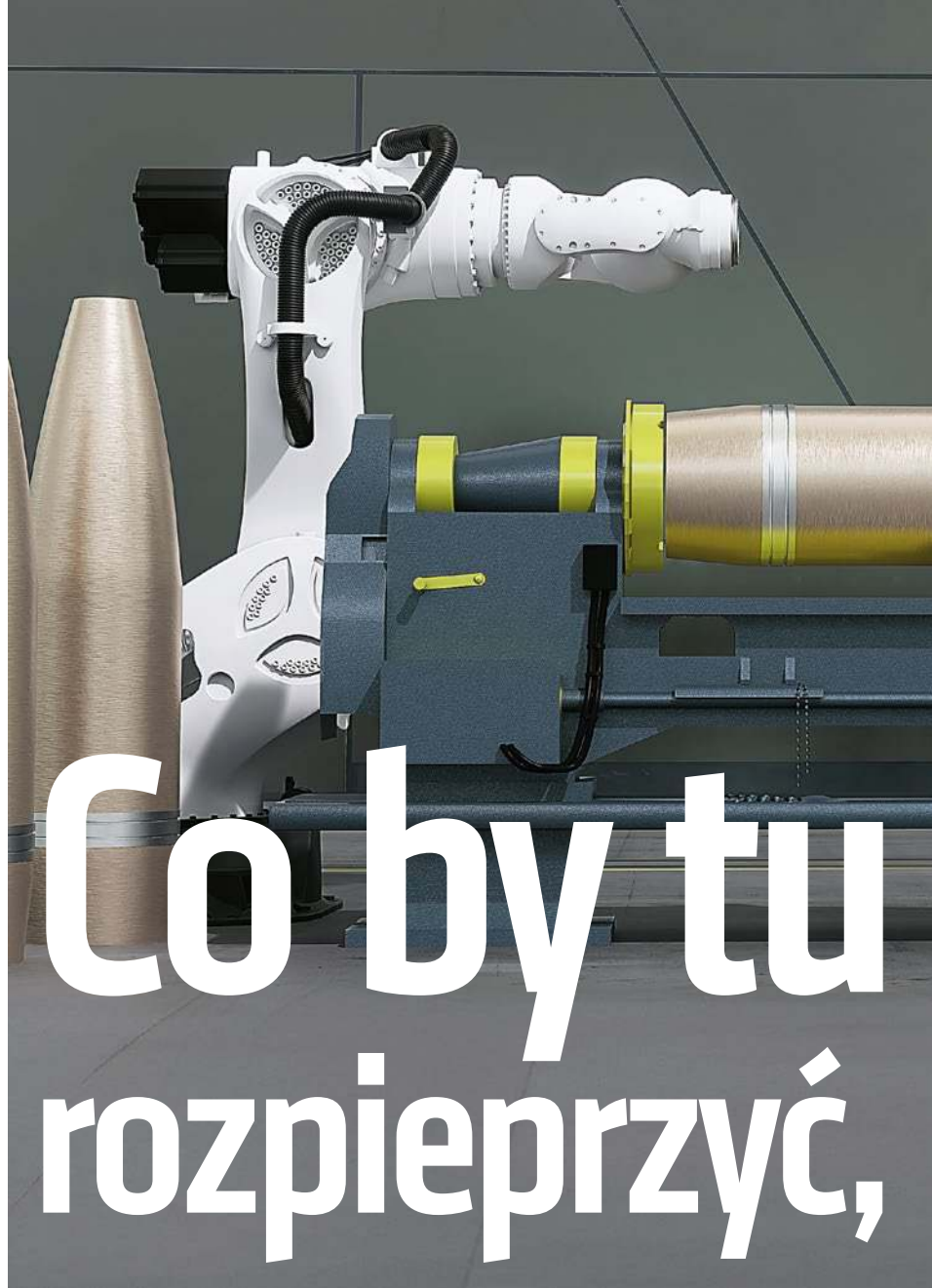
Rafał A. Ziemkiewicz

Tusk ze swoją ekipą wpakowali się w pułapkę, bo uwierzyli we własne kłamstwa, które przez osiem lat rozgłaszali o „zbrodniach PiS”

Do pewnego momentu propagandowa ofensywa rządu pod hasłem „odzyskamy dla budżetu 100 mld ukradzione przez PiS” była tylko brnięciem w absurd. Propagandą, najdelikatniej mówiąc, nie budującą szacunku dla rządzących, ale na swój sposób logiczną. Przecież już nawet „Gazeta Wyborcza” przyznała w weekendowym wydaniu piórem swej czołowej publicystki, że „wydłuża się lista niezrealizowanych obietnic Koalicji Obywatelskiej”, wymieniając zresztą tylko nieliczne z nich (60 tys. wolne od podatku, 0 proc. VAT na transport publiczny, chorobowe płatne przez ZUS od pierwszego dnia zwolnienia, zniesienie podatku Belki i dopłaty 600 zł do czynszu dla młodych – a gdzie np. przywrócenie dawnej składki zdrowotnej i uruchomienie „od pierwszego dnia” całosci KPO, już nie wspominając o benzynie po 5 zł 19 gr i o połowę mniejszych rachunkach za prąd i gaz?), i domaga się ze strony premiera „nowego pomysłu”. Na razie ten nowy pomysł to właśnie powtarzana przez wszystkich polityków i propagandystów rządu fraza „afery PiS gonі aferę”.

UDERZENIE W POLSKIE INTERESY

Jednak w minionym tygodniu ekipa Tuska przekroczyła kolejną granicę: należący do firmy Ringier Axel Springer portal Onet odpalił „afere amunicyjną”, a cały prorządowy aparat propagandowo-agitacyjny podchwycił ją z podobną skwapliwością jak wcześniejsze „afery” Funduszu Sprawiedliwości, Lasów Państwowych, o. Rydzyska, Red is Bad i inne. Tylko że tym razem sprawa jest oczywistym uderzeniem w strategiczne interesy polskie, a publikacja, na którą natychmiast zaczęli powoływać się politycy PO z premierem na czele, ociera się o zdradę tajemnic państwowych.



Już samo miejsce ogłoszenia sensacji, mających rzekomo wynikać z „poufnych dokumentów”, do których „dotarł” pracownik Onetu, powinno budzić najwyższą ostrożność. Portal kierowany przez Bartosza Węglarczyka dał się już poznać jako narzędzie lobbingu niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, gdy rozpętał histerię wokół polskich karabinków Grot, rzekomo będących „szmelcem” i „wybuchających w rękach”, w czasie gdy rywalizowaliśmy z Niemcami o dostawę broni strzeleckiej dla armii ukraińskiej. Opowieści o „polskim szmelcu” w najmniejszym stopniu się nie potwierdziły, a faktyczne intencje Onetu zostały

publicznie przygwożdżone. W chwili więc, gdy ten sam portal stara się wysadzić w powietrze „pisowski” projekt budowy polskiej fabryki amunicji artyleryjskiej, zamiast zamawiania jej za kilkanaście miliardów od niemieckiego Rheinmetal, każdemu powinna zapalić się ostrzegawcza lampka w głowie.

Tym bardziej że zarzuty, mające tajnej umowie, podpisanej przez premiera Morawieckiego, nadać znamiona „afery”, są gołosłowne albo wręcz idiotyczne. „Aferę” stanowić ma to, że utworzenie „narodowej rezerwy amunicyjnej” utajniono (kto przy zdrowych zmysłach może to mieć za złe?), że umowę podpi-



Obsesyjne skupienie na „rozliczaniu” PiS doprowadziło szybko do tego, że „aferą” ogłaszana jest praktycznie każda decyzja poprzedniej władzy

Wszystko, co „pisowskie”, ma zostać zniszczone, a każdy „pisowiec” – usunięty. Lepiej, żeby Polska nie miała należytej jej rangi przedstawiciela w NATO, niż żeby nim był urzędnik lub generał „pisowski”. Analogicznie – lepiej, żeby nie miała ambasadatorów w ogóle, niż żeby miała dotychczasowych. Przy czym „pisowcem” jest dla obecnego układu nie tylko ten, kto został na swoje stanowisko mianowany w ostatnich ośmiu latach, lecz także ten, kto przez te osiem lat pozostał tam, gdzie awansował wcześniej – bo przecież powinien w proteście przeciwko „reżimowi” rzucić papierami i odejść. A jeśli już pozostał, to przynajmniej demonstrować pogardę dla przełożonych i „czasowego” rządu, jak czynili to artyści, po cichu biorący od PiS pieniądze ze skwapliwością pani Jandy, a głośno krzyczący, by ten rząd „j...ć”.

W ten sposób np. uzasadniano w medialnym zapleczu władzy zasadność rozpędzenia przez Adama Bodnara pionów prokuratorskich, które od wielu lat, znacznie więcej niż ośmiu, zwalczały z sukcesami przestępczość zorganizowaną, zwłaszcza wyłudzenia VAT i inne przestępstwa gospodarcze. Jak śmieli robić swoje dalej jak gdyby nigdy nic, gdy PiS „niszczył praworządność”?

Obsesyjne skupienie na „rozliczaniu” PiS doprowadziło szybko do tego, że „aferą” ogłaszana jest praktycznie każda decyzja poprzedniej władzy, szczególnie finansowa. Ta, nie do końca chyba przemyślana, propaganda sprawia, że PiS kreowany jest wprawdzie na partię „złodziei”, ale szczególnych – bardziej niż cwaniaczków z poprzednich rządów Tuska, których rozmowy przy ośmiorniczkach zapisane zostały na kelnerskich taśmach, przypominających „bandytów” Robin Hooda albo Janosika, kradnących po to, by rozdawać potrzebującym.

sano „w ostatniej chwili”, że zawarto ją z firmami prywatnymi (szokujące, że po ponad trzech dekadach prywatyzowania wszystkiego, co i jak popadnie, lewico-liberalny establishment nagle uznał, że fabryki powinny być państwowe – nieco pod prąd światowym trendom, bo np. cały program przedsięwzięć zbrojeniowych włączających firmy prywatne do współpracy z państwem realizują właśnie Niemcy) i że firmy te nie mają doświadczenia (jeśli miały to być firmy krajowe, a taki jest nasz oczywisty interes, to skąd miałyby je mieć?). Jedyny zarzut brzmiący sensownie to niezagwarantowanie państwu wystarczającej kontroli nad

przedsięwzięciem, ale ten akurat jest najbardziej gołosłowny i oparty wyłącznie na subiektywnych opiniach.

Uderzenie w program „Narodowa Rezerwa Amunicji” jest przekroczeniem granicy, bo dotąd jeszcze w żądy niszczenia wszystkiego, co „pisowskie”, nie posunął się Tusk do zanegowania oczywistego interesu państwa – budowy polskiej fabryki amunicji pod auspicjami rządu zamiast powierzenia miliardowych zamówień „doświadczonym” producentom.

WSZYSTKO, CO „PISOWSKIE”

Nie jest natomiast niczym nowym, jeśli chodzi o „modus operandi” tego rządu.

■ Szermując w kółko retorykę „złodziejstwa”, nie są w stanie nawet najbardziej oddani rozliczeniom totumfaccy Bodnara ani „gwizdacze” Giertycha wskazać jakiegokolwiek przypadku schowania przez kogoś konkretnych „ukradzionych” pieniędzy do kieszeni. Za rzekomo nieprawidłowo wydawane pieniądze Funduszu Sprawiedliwości kupowano wozy strażackie dla ochotniczych straży pożarnych i sprzęt dla kół gospodyń wiejskich – jeśli retorykę „kradzieży” 100 mld zł i ich „odzyskiwania” potraktować poważnie, to teraz wszystko to powinno zostać skonfiskowane i sprzedane przez komorników, a strażacy ochotnicy i gospodynie wiejskie postawieni przed sądem za paserstwo. Inne granty FS czy okrzykane „wille Czarnka” posłużyły akcjom edukacyjnym, np. demaskowaniu ideologii LGBT i tworzeniu fundacji mogących przeciwstawić się lewackiej dominacji na rynku „NGO-sów” – tu też nie zdołano wskazać nikogo, kto by się osobiście wzbogacił.

Jeśli traktować logikę Bodnarowskich prokuratorów, nawiąsem mówiąc – procedujących swe oskarżenia „w żadnym trybie”, którą bezrefleksyjnie podchwycił Tusk, wciągając za sobą lewicowo-liberalne salony, to kolejna władza może na zasadzie „wytnij-wklej” zarzutów dla Marcina Romanowskiego i ks. Olszewskiego oraz „pikników »800+«” wsadzić co najmniej do aresztu ministra Kosiniaka-Kamysza i samego Tuska za niedawną defiladę. Wydali oni ogromne publiczne pieniądze, zaangażowali wojsko i sprzęt, żeby uzyskać korzyść osobistą, a mianowicie przemawiać i w ten sposób zwiększyć swoją popularność! Nawiąsem mówiąc, dotąd podczas Święta Wojaka Polskiego przemawiali tylko jego zwierzchnicy, czyli prezydent i minister – Tusk wcisnął się w tym roku na mównicę jak przysłowiowy Piłat w credo, co wzmacnia przyszłe zarzuty.

Szczytem zidiocenia wydaje się triumfalne otrąbienie na profilach społecznościowych Koalicji Obywatelskiej jako wielkiego sukcesu „odzyskania” 1,3 mld zł, przyznanych przez rząd PiS wyższym uczelniom (w tym 390 mln dla Politechniki Wrocławskiej, 220 mln dla Akademii Górniczo-Hutniczej, 190 mln dla Uniwersytetu Warszawskiego i odpowiednio mniej dla innych

uczelni, także najbardziej renomowanych w Polsce). Skoro granty przyznał minister z PiS, to minister „koalicyjny” je wstrzymuje, bo zostały „ukradzione”. Komornicy powinni więc odwiedzić także ponad 30 wyższych uczelni, a ich rektorzy stanąć przed sądem razem ze strażakami, żołnierzami i gospodyniami wiejskimi.

Czy można głupiej? Wydaje się to trudne, ale sytuacja przypomina starą piosenkę Wojciecha Młynarskiego „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie”: gdy oddanego sprawie działacza wyznaczy się do sprawy „na pozór nie do zepsucia” – „już się przeją mózgów szeregi i wzrok

100 mld zł

TYLE WEDŁUG RZĄDU TUSKA MIAŁA „UKRAŚĆ” POPRZEDNIA WŁADZA

się pali, i już widzimy, żeśmy kolegi nie doceniali”. Kadra szukająca na polecenie Tuska „skradzionych przez PiS” 100 mld jest zaś liczna i poddana ogromnemu ciśnieniu. Żeby to zrozumieć, wystarczy spojrzeć na rząd, który spuchł już tak, że jego liczebność została utajniona (!) – ale z informacji o mianowaniu kolejnych koalicyjnych wiceministrów można szacować, że podchodzi ona już pod 150 osób. A to tylko szczyt piramidy: osiem lat rządów PiS ogromnie wygłodziło „elity”, które przebiegają nogami do stanowisk po „rozliczanych” „pisowcach”, tak jak „marcowi docenci” w 1968 r. kibicujący Gomułce, by „śmielej” jechał z „syjonistami”.

CORAZ WIĘCEJ DO PRZYKRYCIA

To od dołu – od góry naciska zaś Tusk mający coraz więcej do „przykrycia”. Jak wiadomo, zawsze gotów się wściec, zwłaszcza że już ogłosił 100 mld zł, a minister finansów niefrasobliwie przyznał, że na razie „wątliwości” udało się dopatrzyć jedynie w rozdysponowaniu trzech, góra pięciu. Co prawda, inni podwładni szybko ruszyli w sukurs, ratując zadeklarowaną przez szefa sumę poręcznym sformułowaniem o pieniądzach „przyznanych według niejasnych kryteriów” –

w polskim systemie prawnym można tak powiedzieć o praktycznie każdym wydatku publicznym – i w ten sposób udało się podtrzymać narrację o wskazanej kwocie, ale tak czy owak, jeśli władza nie jest gotowa na licytację wozów „pisowskich” OSP, to trzeba coś do „odzyskania” znaleźć. Gdzie? Może, wymyślili właśnie, w Funduszu Kościelnym?

W rywalizacji o łaskawość Donalda przebił tu na chwilę innych Roman Giertych, sugerując, by obiecanych miliardów poszukać u o. Rydyzka. W wypadku byłego lidera LPR i bohatera ikonicznego zdjęcia, na którym usłużnie pochyla Ojcu Dyrektorowi kark do pogłaskania, może to uchodzić za ostateczny dowód jego prawdziwego nawrócenia na wiarę lewicowo-liberalną, a zważywszy, że toruński redemptorysta od dawna jest w obozie, w którego łaski wkupuje się Giertych, totemem nienawiści, pokłask dla tego pomysłu wydaje się zapewniony. Pytanie, co można u Rydyzka znaleźć – bo i on przecież wszystkie zbierane pieniądze (których posiadanie w propagandowym dyskursie jest samo w sobie „afērą” – jak śmie książd być skutecznym biznesmem?) przeznaczał na powszechnie znane cele, geotermię, muzeum z „parkiem pamięci”, wyższą uczelnię i świątynię. Raczej nie ukrywa nigdzie skrzyni wypełnionej złotem.

Jednak ludzie Tuska mogą w istnienie takiej skrzyni wierzyć. Wydaje się, że właśnie dlatego Tusk ze swoją ekipą wpakowali się w opisaną wyżej pułapkę, że uwierzyli oni we własne kłamstwa, które przez osiem lat rozgłaszali o „zbrodniach PiS”. Tyle razy powtarzali i tyle razy słyszeli w swoich „demokratycznych” mediach, że PiS kradnie, że łamie demokrację, że „zawłaszczają”, „doi” etc., aż nabrali pewności, że wystarczy włamać się do mieszkania Ziobry albo szafy w KRS, a na pewno znajdą tam coś, co uzasadni podjęte „nadzwyczajne działania”. Na razie nie znaleźli nic, ale szukają nadal, coraz bardziej intensywnie i – choć starają się tego nie pokazywać po sobie – w coraz większej panice. A to znaczy, że instytucji zdemolowanych czy wręcz, mówiąc językiem wspomnianej piosenki, „rozpieprzonych” w ramach „rozliczeń” będzie jeszcze więcej, włącznie z tymi najistotniejszymi dla polskich interesów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szanowni państwo, dziś mam przyjemność ogłosić uruchomienie wyjątkowego projektu o nazwie Baltic Pipe. Projekt ten został zaprojektowany, aby stać się twoim wsparciem finansowym, zapewniając ci możliwość życia pełnią życia. Podróżowania, kupowania samochodów i domów, wspierania krewnych i przyjaciół. Po zainwestowaniu minimalnych środków w nasz projekt już w pierwszym tygodniu zaczniesz otrzymywać regularne płatności. Ponadto gwarantujemy, że projekt Baltic Pipe jest w pełni kontrolowany przez rząd naszego kraju, co zmniejsza ryzyko braku płatności do minimum. Zapewniamy ograniczoną liczbę miejsc – te słowa wypowiada rzekomo prezydent Andrzej Duda.

Na pierwszy „rzut ucha” ton głosu się zgadza, ruchy ust mniej więcej też, choć treść od razu budzi wątpliwości. Ktoś nieuważny lub niewyczułony na oszustów stosujących nowe technologie mógłby się nabrać. W rzeczywistości to, rzecz jasna, wytworzony sztucznie obraz i głos, który ma na celu wyłudzenie od ludzi pieniędzy. Jako gwarant rzekomego zwrotu ma posłużyć sam prezydent RP. Po kliknięciu w taką „reklamę” zostaniemy przekierowani do strony, której celem jest albo uzyskanie naszych danych, albo skontaktowanie nas z oszustami.

To jedno z wielu nieprawdziwych nagrań wytworzonych metodą deepfake, które w ostatnich tygodniach pojawiły się w Internecie. Jak poinformowała Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa – Państwowy Instytut Badawczy (NASK), od początku maja w mediach społecznościowych (Facebook oraz X) zauważalna jest prawdziwa plaga nowych oszustw typu deepfake. Poza Andrzejem Dudą przestępcy posłużyli się wizerunkiem z podłożonym głosem m.in. ministra zdrowia Izabeli Leszczyńskiej, piłkarza Roberta Lewandowskiego, influencera Karola Wiśniewskiego (ps. Friz) oraz biznesmena Rafała Brzostki. NASK opublikował listę w sumie 121 znanych osób, których użyto do przeróbek typu deepfake. „Na kradzież wizerunku (a także głosu) narażeni są wszyscy ci, którzy spełniają dwa kryteria: są znani i cieszą się w jakichś grupach społecznych autorytetem. Poli-

W sieci deepfake'ów



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska

Politycy, sportowcy, celebryci, a nawet księża. Używanie wizerunku znanych postaci lub autorytetów to coraz częstsza forma oszustwa. Deepfake staje się prawdziwą plagą

tycy, biznesmeni, celebryci” – wskazano w raporcie NASK.

SILA AUTORYTETU

Pojęcie „deepfake” pochodzi od połączenia słów „deep learning” – to technika sztucznej inteligencji określana jako głębokie uczenie – oraz „fake”, czyli fałszywy. „Uważny oglądający jest w stanie wykryć błędy w nagraniu zmanipulowanym technologią deepfake, choć jest to coraz trudniejsze. Na niektórych filmach spreparowanych przez oszustów są one nadal wyraźnie widoczne, na innych – znacznie mniej” – ostrzega NASK. Sieć podkreśla, na co zwracać uwagę, widząc podejrzaną reklamę (podejrzaną, czyli taką, w której znana osoba namawia nas np. do zaskakująco korzystnie oprocentowanej inwestycji lub zachęca do zakupu cudownych tabletek na odchudzanie). Nagranie wytworzone metodą deepfake można rozpoznać poprzez zniekształcenia obrazu i jego rozmazanie w okolicy ust, dziwne i nagłe zmiany w geometrii twarzy, niezgodność mimiki i/lub ruchów ust z wypowiedzaną treścią, błędy gramatyczne i wymowy, nietypową dla danej osoby intonację lub styl wypowiedzi. – Coraz częściej oszuści stosują też technikę do-

dawania szumów i różnego rodzaju plam na nagraniach, co ma na celu zakłócenie klarowności przekazu obrazu, ukrycie artefaktów generowanych przez sztuczną inteligencję oraz dezorientację algorytmów automatycznej detekcji deepfake'ów – wskazuje dr Ewelina Bartuzi-Trokielewicz z NASK, ekspert do spraw biometrii i uczenia maszynowego.

Oszuści dobrze opanowali techniki manipulacji. Posłużenie się autorytetem lub osobą budzącą zaufanie z racji pełnionej funkcji, tak jak w przypadku prezydenta, ma rodzić sugestię, że inwestycja finansowa jest bezpieczna i wiarygodna. Podobnie z najbardziej znanymi sportowcami, którzy przecież nie mogliby sobie pozwolić na reklamowanie scamu. – Drodzy Polacy, nie pozwolę, aby wyższe władze okradały was, napychając sobie kieszenie pieniędzmi Polaków. Sejm robi wszystko, aby ukryć ten film, ale ja ujawniam wam tajemnicę, jak każdy Polak może zarobić ponad 25 tys. zł miesięcznie bez wychodzenia z domu dzięki projektowi gazociągu Baltic Pipe – to kolejny przykład deepfake'a przywołanego przez NASK, w którym tym razem wykorzystano wizerunek najlepszej tenisistki świata Igi Świątek.



W innym nagraniu do „świetnej” inwestycji zachęca rzekomo gwiazda TVN, restauratorka Magda Gessler. – Dzień dobry, od razu chciałam powiedzieć, że nie ma w tym żadnej tajemnicy, mówiłam o tym w innych wywiadach. To program w Internecie, który przynosi mi dobre pieniądze z handlu akcjami – słyszymy sfalszowany głos Gessler. Oszuści sięgają też po wizerunek dziennikarzy. – Ludzie są oburzeni, gdy dowiadują się, że od miesięcy Andrzej Domański potajemnie zarabia kolosalne sumy na projekcie, który pierwotnie przeznaczony był dla zwykłych obywateli – mówi rzekomo dziennikarka TVP Marta Kielczyk, a następnie widzimy ministra finansów. – Zdecydowaliśmy się przetestować działanie tej aplikacji na własną rękę, aby nie ryzykować pieniędzy zwykłych obywateli. Mogę teraz osobiście ręczyć za niezawodność tej platformy inwestycyjnej – przekonuje wygenerowany sztucznie minister finansów Andrzej Domański. Jeśli do wykorzystania wizerunku znanej osoby doda się elementy takie jak podkreślanie wyjątkowości oferty i jej ograniczenie w czasie (stwierdzenie, że „miejsca na naszej platformie są ograniczone” lub „nie przegap swojej szansy”), obietnicę błyskawicznego zwrotu

Jeśli do wykorzystania wizerunku znanej osoby doda się elementy takie jak podkreślanie wyjątkowości oferty i jej ograniczenie w czasie, obietnicę błyskawicznego zwrotu i odwołanie do marzeń i potrzeb, to mamy oszustwo niemal idealne

i odwołanie do marzeń i potrzeb (NASK zwraca uwagę, że oszuści posługują się obietnicą „możliwości podróżowania, cieszenia się życiem, kupowania wszystkiego, o czym tylko marzysz, bez żadnych zmartwień”), to mamy oszustwo niemal idealne. Niemal, ponieważ technologia wciąż nie jest doskonała. – Czasami bywa wręcz tak, że wkładanie tych samych słów w usta kolejnych osób, których wizerunki kradną przestępcy, sprawia komiczny efekt. Mogą to być np. polska dziennikarka, która przedstawia się imieniem i nazwiskiem znanego aktora czy biskupa, albo też wysoki hierarcha kościelny, który opowiada, że cudowne lekarstwo pozwoliło mu na bezbolesne spacerowanie z wnukami. Nie chodzi jednak o humor. Tak naprawdę pokazuje nam to, że tworzący te oszustwa fabrykują je taśmowo, często nie umiając nawet odróżnić polskich imion męskich

i żeńskich albo nie wiedząc, że polskich duchownych obowiązuje celibat. To pośredni dowód na to, że wiele z tych filmów powstaje poza granicami Polski – wyjaśnia Michał Ołowski z NASK, członek zespołu analizującego deepfaki.

GRUSZKI NA WIERZBIE

W odnotowanych od początku roku przez NASK oszustwach najczęściej wykorzystano wizerunek dziennikarzy – to 32 proc. wszystkich takich prób. Dalej są politycy – 21 proc. oraz biznesmeni – 11 proc. Po 5 proc. to influencerzy oraz sportowcy. W przypadku tych grup deepfaki dotyczą lukratywnych projektów finansowych. Z kolei wizerunki osób duchownych (7 proc.) oraz lekarzy (4 proc.) służą zazwyczaj do reklamowania „cudownych lekarstw”. – Przestań chodzić do aptek i oddawaj wszystkie swoje pieniądze głupcom. Nazywam się



FOT. ADRIAN STICK

z wizerunkami Wojciecha Cejrowskiego i Sławomira Mentzena. Zdjęciem podróżnika opatrzone rzekomy wywiad z nim. Po kliknięciu internauta przenosił się na stronę podszywającą się pod serwis gazeta.pl, gdzie miała być opublikowana rozmowa. W fałszywym wywiadzie Wojciech Cejrowski zachęcał do skorzystania z aplikacji do inwestowania, napędzanej sztuczną inteligencją. Wystarczy tylko wpłacić pieniądze, a aplikacja ta sama zajmie się ich pomnożeniem. „Incydent tak szokujący, że wszyscy stracili mowę” – taka „reklama” pojawiała się w serwisie X. Na zdjęciu widać było polityka Konfederacji na mównicy sejmowej, a pod spodem tekst: „Nastąpiło niecodzienne zdarzenie”. Po kliknięciu kontaktowała się „konsultantka”, która domagała się wpłaty 250 euro (aby móc później rzekomo czerpać ogromne zyski). Tylko w jednym tygodniu marca tego roku zespół CERT NASK wykrył ponad 300 stron z oszustwami wykorzystującymi wizerunki Cejrowskiego i Mentzena.

Jak bronić się przed deepfake’ami? „Tak jak w przypadku każdego innego cyberoszustwa liczy się szybkość reakcji! Im szybciej poinformujemy odpowiednie instytucje, tym bardziej ograniczymy zasięg odbiorców, którzy mogą wpaść w pułapkę oszustów. W konsekwencji utrudnimy im szkodliwe działanie, ochronimy siebie i inne osoby potencjalnie narażone na kradzież pieniędzy” – zaleca NASK. Instytucja wskazuje, że kłamliwe materiały filmowe warto zgłosić do zespołu CERT Polska: poprzez SMS (przesłanie na numer 8080) lub na stronie incydent.cert.pl. Jeżeli materiał deepfake zawiera treści przedstawiające seksualne wykorzystywanie osób małoletnich, to polecono natychmiastowe zgłoszenie do zespołu dyzurnet.pl.

WYGRAĆ Z BIG TECH

Deepfaki to nie tylko próby oszustwa. W ten sposób, poprzez publikowanie mających zaszokować treści, sieci społecznościowe po prostu zarabiają. Użytkownik widzi zdjęcie gwiazdy i obok tytuł o jej nagłej śmierci. Każde kliknięcie to dla portalu zysk. Wojnę Mecie (właściciel Facebooka i Instagrama) wypowiedzieli prezenterka Omenaa Mensah i jej mąż Rafał Brzóska, właściciel firmy InPost. Na Facebooku pojawiały się doniesienia,

że kobieta zmarła, została pobita przez Brzoskę lub że trafiła do więzienia. Na początku lipca Mensah zgłosiła sprawę do Mety. Jednocześnie wystosowała skargę do Urzędu Ochrony Danych Osobowych. Mensah wskazała w skardze, że odnotowała 263 fałszywe reklamy z deepfake’ami wykorzystującymi jej wizerunek. Prezes UODO zakazał spółce Meta publikacji fałszywych reklam z użyciem danych Omeny Mensah na terenie Polski. Zakaz obowiązuje przez trzy miesiące na Facebooku i Instagramie. „Uznając, że zaistniała pilna potrzeba ochrony prywatności i wolności skarżącej, zdecydowałem się wydać to postanowienie” – powiedział Mirosław Wróblewski, prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych. „Osoby publicznie rozpoznawalne, których prawdziwe dane są łatwo dostępne, mogą zostać w sposób okrutny wykorzystane przez cyberprzestępców. Bezprawne użycie danych osobowych i wizerunku może być szczególnie dotkliwe w skutkach nie tylko dla tych osób, ale znacznie szerszego grona zainteresowanych” – wyjaśnił Wróblewski.

Podobną decyzję szef UODO wydał w sprawie fejków dotyczących samego Brzoski. Według fałszywej reklamy w serwisach Facebook i Instagram przedsiębiorca miał rzekomo założyć platformę, która zapewnia zyski „wszystkim obywatelom Polski”. Szef InPostu nie kryje radości. „Wiele osób twierdzi, że z BIG Techami, a zwłaszcza z META wygrać się nie da! Nic bardziej mylnego! Mamy pierwsze duże zwycięstwo w walce z deep fejkami szerzonymi w kanałach Mety i udowadniamy, że się da! Już nie wystarczy drobna zmiana regulaminu i okrągłe słówka »że robimy, co w naszej mocy«” – skomentował Rafał Brzóska. Prezes UODO powiadomił organy nadzorcze oraz Europejską Radę Ochrony Danych i Komisję. Sprawą zajmie się organ irlandzki, ponieważ to w tym kraju mieści się siedziba spółki Meta Platforms Ireland Limited. Brzoska apeluje, aby użytkownicy zgłaszali fałszywe reklamy. „Proszę Was wszystkich, byście przyłączyli się do akcji patrzenia na ręce tej firmie, czy mimo zakazu nie ignorują postanowienia Prezesa UODO, i przesyłajcie nadal bezpośrednio do mnie tego typu deepfejk” – napisał przedsiębiorca.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przeciwnicy konserwatywnych rządów jeszcze za czasów minister Anny Zalewskiej ukuli medialny termin „deforma edukacji”. Krytykowali wszystko – od zniesienia gimnazjów i przywrócenia ośmioklasowych szkół podstawowych do wycofania się z objęcia obowiązkiem szkolnych sześciolatków. Potem równie sumiennie i prawie za wszystkie decyzje krytykowano ministra Przemysława Czarnka.

Problem w tym, że nowa minister edukacji na ich tle w ogóle nie wypada lepiej. To, co do tej pory zaproponowała, oburza nawet ekspertów edukacji i NGO, które były zdecydowanymi krytykami poprzednich ministrów. Barbara Nowacka ma najwyraźniej kłopot, by połapać się w dziedzinie, którą próbuje zarządzać. Czy dając jej stanowisko ministra edukacji, Donald Tusk podłożył pod polski system edukacji kolejną minę?

UPOLITYCZNIENI DYREKTORZY SZKÓŁ

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych pomysłów Nowackiej jest planowane upolitycznienie wyboru dyrektorów szkół.

– Rozpoczynamy w Ministerstwie Edukacji prace nad tym, aby zdejmować kolejne kneble i kolejne ograniczenia z polskiej oświaty, z polskich samorządów, wprowadzone przez naszych poprzedników. Już w najbliższym czasie rozpoczniemy prace nad tym, aby samorządy, samorządowcy – wójtowie, burmistrzowie, starostowie – mogli powierzać funkcje dyrektorów na kolejną kadencję. Nie potrzeba robić konkursu, nie potrzeba całej tej procedury włączania kuratorów, które chciały dominować nad samorządami, nad dyrektorami – zapowiedział w marcu na konferencji wiceminister edukacji Henryk Kiepusa. I dodawał: – Jeżeli dyrektor jest dobrym dyrektorem, jeżeli szkoła osiąga znakomite wyniki edukacyjne, to nie ma powodu, żeby takiego dyrektora ograniczać i robić sztuczny konkurs, do czego doprowadził rząd PiS.

Wiceminister to były starosta powiatu kłobuckiego, więc powinien dobrze zdawać sobie sprawę, że rzekome „zdejmowanie knebla” i znoszenie konkursu na dyrektorów, w których głos mają dziś także nauczyciele z danej szkoły i rada rodziców, to w rzeczywistości zakładanie tym gremiom politycznego knebla. Jeśli

Chaos Nowackiej



Lukasz Zboralski

Obecny rząd krytykował Zjednoczoną Prawicę m.in. za zmiany w szkołach. Minister Barbara Nowacka miała być nową jakością. Problem w tym, że wszystkie jej zapowiedzi oznaczają tylko pogłębienie chaosu w edukacji i oburzają nie tylko nauczycieli, lecz także ekspertów

to władze samorządowe będą miały wyłączny i decydujący głos w tej sprawie, to jest to niczym innym jak przygotowaniem politycznego skoku na szkoły w kraju – stanowiska dyrektorów będą mogły być obsadzane na podstawie politycznych sympatii, lokalnych koterii, a nie kompetencji.

Tymczasem dyrektorzy szkół to kluczowe osoby w polskim procesie edukacyjnym. I tak mamy z nimi kłopot. To od nich bowiem zależy, czy nauczanie w szkole odbywać będzie się w radosnej atmosferze dla uczniów, nawet bez korzystania z podręczników (realizować cele postawy programowej każdy nauczyciel może w sposób, jaki chce), z nauczycielami z pasją. Niestety, niewielu na tych stanowiskach potrafi uwolnić się od biurokracji i dryfowania w pruskim systemie, w którym nauczyciel z dziećmi strona po stronie realizuje program dostarczony przez wydawnictwa wraz z podręcznikami.

Upolitycznienie stanowisk dyrektorskich niesie ze sobą ryzyko, że ta nieciekawa sytuacja jeszcze się pogorszy. Na pierwszym planie mogą znaleźć się interesy polityczne, a nie dobro uczniów i szkoły. Lokalne władze będą faworyzować dyrektorów, którzy będą realizować partyjne wytyczne, zamiast skupiać się na realnych potrzebach uczniów i nauczycieli. Brak niezależności i apolityczności w szkołach może również negatywnie wpłynąć na atmosferę pracy samych nauczycieli, którzy mogą obawiać się o swoje stanowiska, jeśli ich poglądy lub metody nauczania nie będą zgodne z linią polityczną lokalnych władz.

Przy okazji zmiany legislacyjnej, które mają być gotowe jeszcze w tym roku, wykastrują też kompetencje kuratorów oświaty przy nadzorze nad szkołami czy właśnie wyborze dyrektora placówki. Rzetelna zmiana w tym zakresie powinna oznaczać raczej całkowitą likwidację kuratorów, których nadzór nad systemem

jest wyłącznie iluzoryczny – jednak tych miejsc do obsadzania własnymi ludźmi żadna władza nie chce się pozbyć. I tak samo minister Nowacka tego systemu naruszyć nie będzie chciała. Posady te powierzono już przecież tym związanym z nową władzą.

NAUCZYCIELE OCENIANI PRZEZ WYNIK EGZAMINU

Jeszcze więcej emocji budzi kolejna propozycja „reformy”, czyli wprowadzenie przez ministerstwo kontroli wyników egzaminów ósmoklasisty jako jednego z głównych kryteriów oceny pracy nauczycieli. Wprowadzenie tego rodzaju kontroli zapisano w dokumencie przedstawiającym priorytety polityki oświatowej państwa na rok szkolny 2024/25. Jak ujawniono w lipcu, kontrola ma dotyczyć „sprawowania nadzoru pedagogicznego przez dyrektora oraz realizacji zadań w zakresie doskonalenia zawodowego nauczycieli w szkołach uzyskujących najniższe wyniki z egzaminu ósmoklasisty”.

Owszem, pracę nauczycieli też trzeba jakoś oceniać. Jednak przyjmowanie jako kryterium wyników uczniów z egzaminów zewnętrznych jest chorobą, która od lat toczy polskie szkoły. To właśnie dlatego już od VI czy VII klasy podstawówki w wielu placówkach uczniów katuje się rozwiązywaniem próbnych egzaminów ósmoklasisty. I w ostatnich klasach szkoły nauczanie przekierowuje się na rozwiązywanie testów. Bo dyrektorzy chcą mieć dobre średnie wyniki szkół w tym zakresie.

Ministerialna ocena pracy pedagogów na podstawie wyników egzaminów zewnętrznych tylko ten zły nurt może pogłębić. Istnieje realna groźba jeszcze poważniejszego wypaczenia procesu nauczania w Polsce. Nauczyciele, zamiast skupiać się na wszechstronnym rozwoju uczniów i kształtowaniu ich umiejętności, mogą czuć jeszcze większą presję, aby „nauczać pod egzamin”, co zuboży program edukacyjny.

Dodatkowo takie podejście do oceny pracy nauczycieli ignoruje to, że wyniki egzaminów zależą od wielu czynników niezależnych od samego nauczyciela, takich jak sytuacja rodzinna ucznia, poziom jego stresu czy też indywidualne predyspozycje. Czasem gigantyczny wysiłek pedagoga zaowocuje uzyskaniem przez mniej zdolne dziecko relatywnie niskiego

wyniku punktowego. Ten w istocie sukces edukacyjny ginie w prostej statystyce. Dlatego od lat próbuje się inaczej oceniać pracę nauczycieli i pomagają w tym narzędzia systemu edukacyjnej wartości dodanej (tam uwzględnia się m.in. potencjał początkowy samych uczniów). Nakładanie na nauczycieli odpowiedzialności za wyniki egzaminów, bez uwzględnienia tych czynników, będzie nie tylko niesprawiedliwe, lecz także demotywujące. Może to prowadzić do sytuacji, w której nauczyciele będą unikać pracy z uczniami słabszymi, aby nie ryzykować obniżenia swojej oceny zawodowej.

MATURA DLA KAŻDEGO?

Za niepokojącą trzeba uznać też propozycję odłożenia o kolejne dwa lata wprowadzenia warunku uzyskania co najmniej 30 proc. punktów na jednym z przedmiotów dodatkowych wybieranych na maturze.

Minister Barbara Nowacka taką zmianę zaproponowała pod koniec lipca w projekcie nowelizacji Ustawy o systemie oświaty (konsultacje publiczne nowelizacji zakończą się 26 sierpnia, czyli już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy”). W uzasadnieniu zmiany nie znalazło się ani jedno zdanie argumentujące potrzebę „odstąpienia od warunku uzyskania 30 proc. punktów możliwych do uzyskania z jednego wybranego przedmiotu dodatkowego na egzaminie maturalnym”.

Maturę z przedmiotów dodatkowych wciąż będzie się więc uważać za zaliczoną niezależnie od wyniku egzaminu. To kolejne działanie, które pokazuje, że Nowacka ma niewielkie pojęcie o systemie, w którym chce wprowadzać zmiany. Polska bowiem nie cierpi dziś na niedostępność wyższego kształcenia, by ułatwiać uzyskiwanie pozytywnego wyniku matury. Wręcz przeciwnie – od lat mamy świadomość w kraju, że umasowienie studiów doprowadziło wręcz do dewaluacji dyplomów ich ukończenia. Prawie każdy może dziś być magistrzem, jednocześnie nie nabywa przy tym wysokich kompetencji. Szybki rozwój Polski trochę przykrył ten problem, bo rynek pracy cierpi na taki niedobór, że każdy chętny znajduje zatrudnienie. To nie oznacza jednak, że studia dla każdego są dobrym pomysłem jako system dla kraju.

Utrzymywanie braku progu zdawalności na maturze może prowadzić do obniżenia standardów edukacyjnych i pewnej dewaluacji matury jako kluczowego egzaminu kończącego szkołę średnią.

Trudno ocenić propozycję Nowackiej jako po prostu próbę sztucznego podniesienia statystyk zdawalności matur. I będzie to może dobrze wyglądało na slajdach prezentowanych podczas ministerialnej konferencji, ale zdeprecjonuje polski system edukacji na arenie międzynarodowej.

KARY DLA RODZICÓW I OBOWIĄZEK DLA UKRAIŃCÓW

W czasie gdy np. Skandynawowie zajmują się rugowaniem smartfonów z procesu kształcenia małych dzieci, bo badania naukowe dowiodły, że przynoszą więcej szkody niż pożytku, w Polsce zajmujemy się takimi rzeczami, jak... kontrola nad wyjazdami, na które rodzice zabierają dzieci w trakcie roku szkolnego. Wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer najpierw w Radiu Zet opowiadała o tym, że resort przygląda się sposobom na lepsze przestrzeganie obowiązku szkolnego. Potem w programie w Wirtualnych Mediach opowiadała, że w niektórych krajach rodzice, którzy pragną wyjechać na wakacje w roku szkolnym z dziećmi, zatrzymywani są nawet na lotniskach. To tak rozwścieczyło rodziców w Polsce, że ministerstwo na portalu X musiało to wszystko zdementować: „W tej chwili nie toczą się żadne prace legislacyjne, mające na celu wprowadzenie ograniczeń na wyjazdy dzieci w trakcie roku szkolnego. Nigdy nie mieliśmy w planach wprowadzenia w Polsce tego typu ograniczeń, które funkcjonują w innych krajach”.

Tymczasem przed polską szkołą stają właśnie gigantyczne wyzwania. Wiceminister edukacji Joanna Mucha zapowiedziała w czerwcu, że od 1 września Ukraińcy przebywający w Polsce zostaną zmuszeni do wysłania dzieci do polskiej placówki (dziś część uczy się zdalnie w ukraińskich szkołach), bo nie dostaną świadectwa „800+”. A to oznacza, że do polskich szkół trafi dodatkowo ok. 750 tys. dzieci z Ukrainy – gdyż szacuje się, że prawie połowa z nich nie uczęszczała do tej pory do naszych placówek. Szkoły nie zostały na to w ogóle przygotowane.

Samuraj Ripley



Piotr Gociek

„To był cud – mówił o swojej karierze aktora. – Nic w moim życiu mnie do tego nie predysponowało”. Stał się ikoną francuskiego kina. Zmarł Alain Delon



Bywało, że rekordowe wpływy częściej przynosiły filmy z Jeanem-Paulem Belmondo. Jean Gabin częściej wygrywał w plebiscytach popularności wśród francuskich widzów. Ale Alain Delon przebija ich obu, bo jako jedyny stał się symbolem. Czego? Na przykład ideałem mężczyzny lat 60. – co wydarzyło się zdecydowanie wbrew kontrkulturowym prądom epoki, które odrzucały już tradycyjnych macho. Symbolem indywidualizmu – wystarczy wspomnieć postacie, które kreował w filmach Jeana-Pierre’a Melville’a, ludzi osobnych, samotników skazanych na tragiczny los. Symbolem najlepszych czasów kina francuskiego. Symbolem kinowej charyzmy, której najlepszym przykładem była magnetyzująca rola Toma Ripleya u René Clémenta w „W pełnym słońcu” (wyśmienita ekranizacja powieści Patricii Highsmith). Dla mnie najbardziej zachwycający występ Delona na dużym ekranie.

Ale nie tylko uroda i charyzma, aktorem też był niezgorszym, zwłaszcza pod okiem wytrawnego artysty. Zygmunt Kałuziński tak opisywał scenę zamykającą „Zaćmienie” Antonioniego: „Jedno z najdłuższych, niezmiennających się ujęć w historii kina, w którym dosłownie nic się nie dzieje, a jednak robi wrażenie przejmującego przynęcenia. Oczywiście

tylko dlatego, że przedtem doznaliśmy dramatu Moniki Vitti i Alaina Delona, usiłujących się porozumieć, mimo że wiadomo było, że im to nie wyjdzie”.

Niemieckie media żegnają francuskiego aktora nagłówkami „Der eiskalte Engel ist tot” (Deutsche Welle czy „Die Zeit”). „Lodowaty anioł” – pod takim właśnie tytułem wyświetlano w Niemczech „Samuraja”, jeden z najsłynniejszych filmów Melville’a i Delona. No i przyjęło się, co mnie nie dziwi, bo te słowa doskonale oddają kinowe emploi Delona z najlepszych czasów.

NA FALI

Jakie to czasy? Podobnie jak w przypadku Belmonda – bez wątpienia lata 60. XX w. Zaraz bliżej przyjrzymy się tej dekadzie, najpierw odnotujmy z kronikarskiego obowiązku: Delon debiutuje w roku 1957 w filmie Yvesa Allégreta „Quand la femme s’en mêle” („Kiedy wmiesza się kobieta”). Gra młodego cyngla do wynajęcia. W pierwszych latach kariery gra gangstera, oficera i amanta, bożyszcze kobiet, niesforne go syna i szybko staje się ulubieńcem francuskiej publiczności. Ale to, co ważne, zaczyna się dziać od roku 1960, kiedy to do kin trafiają dwa filmy z Delonem. Wspomniany już „W pełnym słońcu” René Clémenta to jeden z najlep-

szych thrillerów psychologicznych w dziejach kina. „Rocco i jego bracia” Luchina Viscontiego to jedno z najważniejszych dzieł w historii kina włoskiego, w którym mieszają się społeczna krytyka, przemoc, melodramat i przypowieść o przyspieszonej modernizacji, którą przechodzi kraj głęboko podzielony na bogatą Północ i biedne Południe. Delon lśni w tytułowej roli. Właśnie takimi występami udowadnia się krytykom, że mają do czynienia nie tylko z gwiazdorem, lecz także z aktorem.

Delon wie, jak wykorzystać wzbierającą falę uznania i popularności. Nie oszczędza się: gra w filmach francuskich, włoskich, niemieckich, amerykańskich. Nie gardzi kinem popularnym, ale występuje także o największych. U Viscontiego znów pojawi się m.in. w „Lamparcie” (1963), rok wcześniej zagarnie go dla siebie Michelangelo Antonioni („Zaćmienie”, 1962). Przyczynia się do wskrzeszenia kina płaszcza i szpady w „Czarnym tulipanie”, jednym z największych francuskich hitów dekady. No i wreszcie gra u Jeana-Pierre’a Melville’a najpierw w „Samuraju”, potem w „W kręgu zła”, wreszcie w „Glinie” (to już rok 1972). „Samuraj» to – jak pisze w krótkiej biografii aktora Olivier Dazat – film decydujący dla jego kariery, dla jego życia”. Bo od tej kreacji Delon w wyobraźni publiczności staje



FOT. MIKE MORGAN/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

z orgii, do których miało dochodzić w rezydencji Delona. Co gorsza, jedną ze sfotografowanych kobiet miała być Claude Pompidou, żona późniejszego prezydenta Francji Georges'a Pompidou, który już wówczas publicznie rzucił wyzwanie urzędującemu de Gaulle'owi.

Zabójców Markovicia nigdy nie znaleziono, w sprawie zdjęć uznano, że chodziło o fałszerstwo i polityczny spisek ludzi ze służb specjalnych, ale reputacja Delona została potężnie zszargana. Aktor w wywiadach musiał tłumaczyć się ze znajomości z gangsterami. A było się z czego tłumaczyć, bo jego przyjaciel, korsykański gangster François Marcantoni, był oskarżany o zabójstwo Markovicia. Delon żył też w lęku, że sam stanie się celem kolejnej prowokacji. O swych obawach napisał publicznie w liście otwartym do prezydenta Pompidou opublikowanym w kwietniu 1970 r. na łamach „France-Soir”. Sprawa Markovicia stała się tematem popularnej powieści z kluczem „Goryl” (polskie wydanie 1991) napisanej przez serbskiego autora Dusana Savkovicia. W artykule o gangach z byłej Jugosławii opublikowanym w „New Yorkerze” w 2010 r. („The Pink Panthers: A Tale of Diamonds, Thieves, and the Balkans”) David Samuels cytuje jednego z mafiosów, wedle którego „Goryl” stał się kultową lekturą dla tamtejszych gangsterów. Chyba można mu wierzyć – wszak podobnie było z włoskimi gangsterami i „Ojcem chrzestnym” Maria Puzo.

Paradoksalnie wszystko to przyczyniło się jeszcze bardziej do ugruntowania jego wizerunku twardziela – na ekranie i poza ekranem. Publikacja uwielbiała złych chłopców. Tego wizerunku Delon nie pozbył się nigdy. W lutym tego roku prasę obiegła wiadomość o skonfiskowaniu w rezydencji aktora 72 sztuk broni, na którą nie miał zezwolenia, oraz ponad 3 tys. sztuk amunicji.

Wróćmy do kariery filmowej: jak czytamy w „Historical Dictionary of French Cinema”, Belmondo i Delon współtworzyli wzór męskości w kinie francuskim lat 70., „twardych, męskich, zbuntowanych playboyów”. Cóż, „wymięta gęba” Belmonda (słowa samego aktora) i piękna jak z reklamy twarz Delona dobrze się uzupełniały.

Sam Delon, po pierwsze, szybko stał się także producentem. „Skoro jedynym

produktem, którym dysponuję, jestem ja – tłumaczył – to powinienem mieć nad nim większą kontrolę”. Po drugie, próbował często wychodzić poza schemat i grać w filmach innego rodzaju. Najciekawszą częścią biografii Dazata (polskie wydanie 1992) jest obszerny wywiad z Delonem, w którym największe emocje aktora budzą właśnie te filmy, które okazały się kłopotami finansowymi. Publiczność miała kłopot: „Zemsta OAS” (1962), „Uwaga, dzieci patrzaj na nas” (1977), „Nasza historia” (1984).

KINO URATOWAŁO MU ŻYCIE

Lata 70. to czas z jednej strony odcinania kuponów od dawnej popularności i zarabiania na tradycyjnych „delonowskich” opowieściach, z drugiej – poszukiwań. Aktor gra dwa razy u Josepha Loseya – w „Zabójstwie Trockiego” i „Monsieur Klein”. Występuje w kolejnych filmach Jacques'a Deraya (z którym współpracę zaczął od świetnego „Basenu” w 1969 r.). Z biegiem czasu coraz trudniej znaleźć we wciąż rosnącej filmografii tytuły znaczące. Jest takim na pewno „Miłość Swanna” według Prousta. Delon gra w filmie Volkera Schlöndorffa barona de Charlus. A przecież gdyby dekadę wcześniej powstała planowana inna adaptacja, byłby Swannem w filmie Viscontiego.

Kino uratowało mu życie – gdyby nie to, że odkryto go w latach 50., wiódłby zapewne życie kolorowego ptaka paryskiego półświatka. Życia uczył się podczas wojny w Indochinach, choć wzorem żołnierza nie był (wojskowy areszt nie był mu obcy). Aktorstwa uczyć się nie musiał, bo miał instynkt i charyzmę. Doskonalił tylko pod opieką wybitnych reżyserów swoje wrodzone zalety. Przez feministki nazywany był seksistą i mizoginem, rozwścieczającym prawicę swą deklaracją o chęci poddania się eutanazji (2022), a lewicę – otwartym poparciem dla Frontu Narodowego (2013). Choć warto wspomnieć, że jeśli już przyznawał się do sympatii politycznych, to zwykle były one kierowane na prawo: de Gaulle, Chirac, Sarkozy, Fillon. Jeana-Marie Le Pena poznał jeszcze w latach 50., podczas służby w Indochinach. Delon zawsze był osobny i niezależny, a co gorsza – nie chciał za to przepraszać. Dziś już takich nie robią.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

się już na zawsze twardzielem pięknym i tragicznym, obsadzonym nieustannie w roli bandziora lub gliniarza. „Obsadzają mnie w rolach twardzieli, bo publiczność chce, bym był twardzielem” – opowiadał dziennikarzom. I jakże dobrze mu to wychodziło – spójrzmy nie tylko na filmy Melville'a, lecz także „Klan Sycylijszyków” (1969). W latach 1960–1970 Alain Delon zagrał w blisko 40 filmach. Gdyby nie wystąpił w żadnym ani wcześniej, ani później, już miałyby zapewnioną kinową nieśmiertelność.

ZSZARGANA REPUTACJA

Ale ciekawe rzeczy działy się też poza planem. Początek lat 60. to także głośny na cały świat romans Delona z Romy Schneider (związek rozpoczął się wcześniej, na planie „Christine” w 1958 r.). A końcówka tej dekady to afera polityczno-kryminalna znana jako „sprawa Markovicia”, choć złośliwi woleli mówić „sprawa Delona”. Stefan Marković był jednym z ochroniarzy Delona i zarazem jego dobrym znajomym. A także osobnikiem z przestępczego półświatka, jak kilku innych kumpi/goryli/wspólników (niepotrzebne skreślić) aktora. Cała ekipa tych dziwnych towarzyszy wywodziła się z ówczesnej Jugosławii. W samochodzie martwego Markovicia znaleziono zdjęcia



Remigiusz Włast-Matuszak

Nadchodzi 49. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Będzie się działo!

Tak zwana dyrektor artystyczna festiwalu, który odbędzie się w dniach 23–28 września, Joanna Łapińska wraz z koleżankami i Komitetem Organizacyjnym zakwalifikowali do konkursu 16 filmów fabularnych. Oczywiście znowu dyrekcja festiwalu nie raczyła podać, jakie filmy zostały zgłoszone do festiwalu (podobno miało ich być 52?!), a więc nie wiemy, jakie tytuły i kogo pominięto oraz jakie cztery filmy dołączył Komitet Organizacyjny.

Zobaczmy, który film tym razem Joanna Łapińska nachalnie zareklamuje przed rozpoczęciem FPFF. W ubiegłym roku wbrew zasadom wygłosiła porywający spicz zachwalający nudne, zupełnie nieudane i zlekceważone przez widzów „Sny pełne dymu” Doroty Kędzierzawskiej. Niech zgadnę, co Łapińska zapowie jako arcydzieło w tym roku. „Dziewczynę z igłą”, „Kobietę z...” czy pójdzie na całość i będzie reanimować „Zieloną granicę” Agnieszki Holland?

Drugim niezwykłym wydarzeniem będzie występ Tomasza Kolankiewicza, poprzedniego dyrektora artystycznego FPFF i nowego dyrektora FilMOTEKI Narodowej Instytutu Audiowizualnego, który zaprezentuje obowiązuający aktualnie kolor lakieru do paznokci. W zeszłym roku był to czarny, w tym roku pewnie zielony, jako symbol „uśmiechniętego festiwalu” i nadziei na długie lata powrotu do koryta. Reżyser Jerzy Skolimowski po 48. FPFF nazwał publicznie dyrektora artystycznego w wywiadzie (dostępnym na YouTube) szokująco brzydko. Nigdy bym się nie ośmielił polemizować z autorytetem filmowym, którym jest Jerzy Skolimowski.

CHORA POPRAWNOŚĆ POLITYCZNA

Z 16 filmów tylko trzy są znane krajowej publiczności z ekranów: „Biała odwaga” – Macieja Koszałki – 157 468 widzów, „Kobieta z...” Małgośki Szumowskiej – ledwie 14,5 tys. widzów! – przy koszcie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KONKURS GŁÓWNY



Lwy gdyńskie – złote, pozłacane i plastikowe

20 mln zł!) i „Zielona granica” Agnieszki Holland – 760 tys. widzów (głównie dzięki zmasowanemu nagłaśnianiu filmu przez polityków PiS).

„Biała odwaga” Macieja Koszałki to miłosny dramat „góralski” dziejący się tuż przed drugą wojną światową i w trakcie okupacji, gdy Niemcy na siłę chcą stworzyć kolaboracyjny Goralenvolk. Czytałem ze zrozumieniem scenariusz. Byłem na obu kolaudacjach. Udało się skrócić tę wielowątkową opowieść o ponad 30 minut. Reżyser dał się namówić na usunięcie scen baletowych w Krakowie, skrócenie wątku pięknej Żydówki ukrywającej się w Zakopanem, a także sceny z „wyzwoleńcą” Armią Czerwoną. Niebawem ma być emisja w TVP pięcioodcinkowego serialu „Biała odwaga” – zobaczymy Goralenvolk w pełnej krasie.

„Kobietę z...” Szumowskiej do znudzenia przedstawiałem na łamach „Do Rzeczy”. Zakwalifikowanie filmu do FPFF jest chorą poprawnością polityczną. Nudny pseudodokument – 2 h 20 min – o 53-letnim robotniku budowlanym zmieniającym płęć to typowy „smętny pierd” naszych filmowców. Na 64. Krakowskim Festiwalu Filmowym miała się odbyć premiera innego „dzieła” Szumowskiej – „All inclusive”, czyli „satyry” na Polaków bawiących w Maroku – na szczęście dyrekcja festiwalu znalazła w sobie odwagę, by filmu nie pokazać.

Zakwalifikowanie „Zielonej granicy” do konkursu to już jest potwierdzenie moralnego upadku i zwykłego tchórzostwa dyrekcji festiwalu. Film Holland został już skompromitowany na wszelkie sposoby. Wiadomo, że jest tendencyjną

fikcją i nie ma nic wspólnego z prawdą o konflikcie z „nachodźcami” przysyłanymi na granicę przez Rosję i Białoruś Łukaszenki. Agnieszka Holland jest propagandystką i kłamie jak Jerzy Urban czy Andriej Żdanow. Najgorsze jest to, że dyrekcja festiwalu i jury będą musiały przyznać Holland jakąś nagrodę pocieszenia, a ona zapewne ze sceny wezwie do rozliczenia PiS-owskiego MKiDN i wyrazi swoje rozczarowanie nowym MKiDN.

Oczywiście do konkursu nie zakwalifikowano filmu o bitwie pod Monte Cassino pt. „Czerwone maki” Krzysztofa Łukaszewicza, nie wspominając nawet o „Raporcie Pileckiego”, filmie rozpoczętym przez Wosiewicza, a cudem ukończonym przez Krzysztofa Łukaszewicza. Nie ma też „Samych swoich. Początek” czy „Akademii pana Kleksa” I części.

W konkursie znalazły się za to filmy ledwie poprawne warsztatowo, które być może nie znajdą nawet dystrybutorów, a już na pewno pominie je publiczność. „Lany poniedziałek”, „Pod wulkanem” (producentem jest słynny kiedyś redaktor z jądra „Gazety Wyborczej” Mikołaj Lizut – ten sam, który wkradł się w łaski prezesa Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polonijnych w Ameryce Południowej Jana Kobylińskiego. Przeprowadził z nim wywiad, który później wypaczył. Skończyło się to długoletnim procesem umorzonym z powodu przedawnienia), „Simona Kosak” czy poprawny politycznie do mdłości „Wrooklyn Zoo”.

Jakieś Lwy lub nagrodę za reżyserię trzeba będzie przyznać filmowi „Kulej. Dwie strony medalu” w reżyserii Xawerego Żuławskiego według scenariusza lewicowca Rafała Lipińskiego. Pomysł intrygi kryminalnej to praktycznie plagiat z filmu „Żądło” 1973 r. USA w reżyserii George’a Roya Hilla (siedem Oscarów) z Redfordem i Paulem Newmanem. Akcja została przniesiona do Warszawy z lat 60. W dodatku nie wiadomo, dlaczego mamy w filmie epizod nawiązujący do pogromu kieleckiego z 1946 r. i całe story o polskim narodowym antysemityzmie w Marcu ’68.

MAMY ARCYDZIEŁO!

Duży problem będzie z nagrodą dla Jana P. Matuszyńskiego za kameralny dramat pt. „Minghun” według scenariusza Grzegorza Łoszewskiego. Film jest na pewno intelektualnym majstersztykiem, który

zachwyci wybrane grono intelektualistów, ale do szerokiej publiczności nie dotrze.

Moim faworytem do nagrody Złotych Lwów, nagrody za reżyserię i do nagród aktorskich, jest ze wszech miar świetny dramat wojenny „Ludzie” Macieja Ślesickiego i młodego Filipa Hilleslanda. Unikam chwaleń twórców po nazwisku, gdyż w moim „wykonaniu” i na łamach „Do Rzeczy” byłaby to niedźwiedzia przysługa, a nawet „pocałunek śmierci” zawodowej. W przypadku reżysera Macieja Ślesickiego, artysty z uznanym dorobkiem, otoczonego legendą rodzinną, rektora Szkoły Filmowej, mogę spokojnie zachwycić się filmem.

Kolaudacja odbyła się jesienią 2023 r. w kinie Elektronik. W wielkiej sali znalazło się zaledwie kilka osób. Spodziewałem się zwyczajowej polskiej produkcji, a tu już po paru minutach mogliśmy oglądać syntetyczne światowe kino, jeden z lepszych dramatów wojennych, jakie widziałem. Z kilkunastu powstałych ostatnio filmów na temat wojny na Ukrainie mamy najlepszy i piszę to bez egzaltacji – mamy arcydzieło.

W dyskusji stwierdziłem, że otrzymaliśmy wybitny polski film, w dodatku mocno aktualny politycznie. Zaproponowałem, że skoro trzy dni wcześniej film „Chłopi” w reżyserii Doroty Kobieli-Welchman i Hugona Welchmana został zgłoszony do Oscara, to może „Chłopów” uściślijmy i zaznaczymy, że zgłaszamy do kategorii animacja, a „Ludzi” Ślesickiego do kategorii filmów fabularnych. Dalej uważam, że niezgłoszenie „Ludzi” do Oscara było błędem. Nawet gdyby Akademia odrzuciła zgłoszenie z przyczyn formalnych, to zawsze polski film „Ludzie” byłby nagłośniony w mediach całego świata i dzisiaj byłby już znany. Mam nadzieję, że nowa dyrektorka PISF, reżyser Karolina Rozwód, obejrzy film i zadecyduje, czy zgłosić go do Oscara w 2024 r.

KONKURS JEDEN DLA WSZYSTKICH

Jeszcze trzy lata temu Rada Programowa FPFF w Gdyni zbierała się fizycznie w kinie Rejs w podwórku MKiDN. Wchodzę w jej skład od lat ośmiu. Zawsze miałem swoje zdanie, a w zeszłym roku byłem jedynym, który nie poparł przyznania Platynowych Lwów Agnieszce Holland. Rada liczy 120 osób. Przewodniczącym rady został Jan P. Matuszyński. Merytoryczne posiedzenia rady odbywają się

teraz zdalnie, przez Internet. W ostatnim i jedynym przed 49. FPFF wzięło udział 18 osób, a do końca dotrwało 13. Jedyna i jednogłośnie decyzja to było przyznanie Platynowych Lwów Wojciechowi Marchewskiemu. Następne spotkanie ma się odbyć internetowo w trakcie FPFF.

Od wielu lat w ramach Rady Programowej (i do MKiDN) zgłaszałem pomysły reformujące przebieg FPFF. W tym roku w końcu nie będzie podziału na konkurs główny, grupę debiutów i na mikrobudżety. Konkurs nareszcie jest jeden dla wszystkich reżyserów.

Natomiast od lat domagam się też, by w jednym z kin festiwalowych w Gdyni i Gdańsku zaprezentować szerokiej publiczności całoroczny dorobek polskich filmowców i wyświetlić wszystkie filmy zgłoszone do konkursu FPFF. Niechaj ludzie, obywatele, podatnicy zobaczą, co jest finansowane z ich pieniędzy. Niechaj zostaną wciśnięci w fotel lub pod fotel intelektualnym dokonaniem, np. filmem „Próba łuku” Łukasza Barczyka i innymi „arcydziełami”.

W ramach FPFF odbywały się też pokazy cyklu „Polonica”, filmów powstałych jako koprodukcje z udziałem polskiej kinematografii, głównie PISF. Tym razem nie mogę ustalić, czy zrezygnowano z „Poloniców”. Martwię się, bo mieliśmy w 2023/2024 dwa świetne filmy powstałe w koprodukcji. Pierwszy to unikalny film polsko-izraelski zrywający z „pedagogiką wstydu” – „Wycieczka” („Delegacja”) w reżyserii Asafa Sabana i drugi, głośny, nagrodzony Oscarami film „Strefa interesów” Jonathana Glazera. Odbierając w Cannes Grand Prix, reżyser podziękował ze sceny koproducentowi Bartkowi Raińskiemu, a odbierając dwa Oscary w L.A., dedykował film polskiej dziewczynie, która pomagała więźniom w KL Auschwitz-Birkenau (czarno-białe sceny udzielania pomocy przeplatają akcją filmu). Film Glazera jest jednym z nielicznych pokazujących światowej widowni Polaków niosących pomoc więźniom KL i Żydom.

Namawiałbym gorąco minister kultury Hannę Wróblewską do wystąpienia na otwarciu i zamknięciu 49. FPFF w Gdyni. Podniosłoby to rangę tej upadającej, zasklepionej imprezy nazywanej Świętem Polskiego Kina, a przypominającej pochody pierwszomajowe z ostatnich lat PRL.



FOT. MATERIAL PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

max

Sława i niesława



★★★★★
REŻ. NANETTE BURSTEIN
„ELIZABETH TAYLOR: ZAGINIONE TAŚMY” („ELIZABETH TAYLOR: THE LOST TAPES”)
USA 2024

W 1964 r. Richard Meryman nagrał serię rozmów z Elizabeth Taylor na potrzeby biografii, którą wówczas przygotowywał. Materiał, który ostatecznie wszedł do książki, został uważnie przez aktorkę przycięty i autoryzowany. Sześć dekad później zapoznajemy się z Liz bez cenzury, szczerze opowiadającą o swoim życiu, karierze, mężach i depresjach. Opowieść aktorki uzupełniono archiwalnymi wypowiedziami jej przyjaciół i współpracowników. Od strony formalnej jest to rzecz wyczelowana niemal perfekcyjnie, czego zresztą można było oczekiwać od Nanette Burstein, doświadczonej i utalentowanej autorki dokumentów (m.in. głośny „American Teen” czy „To rola

dla niego” o producencie filmowym Robercie Evansie).

Skandale, romanse, liczne małżeństwa, głośne role – wszystko to nie jest tajemnicą. Czego nowego dowiadujemy się z tych wyznań? Poruszająca jest opowieść o miłości jej życia, którą był reżyser i producent Mike Todd. Byli parą niemal idealną, mimo różnicy wieku, głęboko w sobie zakochani, wspólnie podróżujący i wychowujący dzieci. Gdy Todd zginął w katastrofie lotniczej, zrozpaczona Taylor zaczęła romans z jego najbliższym przyjacielem, Eddiem Fisherem, by wkrótce go poślubić. Po latach mówi wprost, że łączyła ich tylko tęsknota za Toddem.

Ślubów i związków było wiele. Co je łączy? Gdy nieletnia Taylor zaczynała karierę (do szkoły

chodziła w studiu filmowym), jej ojciec był przeciwny. Aby się usamodzielnic, wyszła za mąż po raz pierwszy. To poszukiwanie akceptacji i bezpieczeństwa u starszego zwykle partnera okaże się powracającym wzorem w jej życiu. Uzależnienie od sławy – z jednej strony Taylor opowiada o tym, że jej największym marzeniem było być dobrą żoną i matką, z drugiej widać, że potwierdzenia własnej wartości szuka w ekranowym alter ego. Podobny był los Marilyn Monroe, także obsadzonej w filmach, w których nie miała ochoty grać, także niepotrafiącej połączyć życia prywatnego i zawodowego. Historia Taylor nie skończyła się tak źle – stawiam tezę, że to z powodu dzieci. Błądziła, ale zawsze miała dla kogo żyć. Film Burstein to fascynujący list z przeszłości Hollywood i intrygujący portret jednej z nielicznych gwiazd, której instynkt dawał więcej od lekcji aktorstwa. Już takich dziś nie ma. ©©



NOWE SERIALE: „ZBRODNI PO SĄSIEDZKU”

Czwarty sezon hitu Apple'a łączącego humor z intrygą kryminalną kontynuuje bezpośrednio wątki z finału trzeciego sezonu, kiedy to tajemniczy snajper zastrzelił kaskaderkę i dublerkę Charlesa (Steve Martin). Ale kto był prawdziwym celem? W obsadzie dużo nowych

nazwisk: Eva Longoria, Eugene Levy, Zack Galifianakis czy Melissa McCarthy. Wraca też Meryl Streep. ©©
Piotr Gociek

• sezon 4 „Zbrodnie po sąsiedzku” („Only Murders in the Building”), USA 2024

apple tv+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Paul Feig „Loteria!” („Jackpot!”), USA 2024 prime video
- reż. Julian Farino „Związek” („The Union”), USA 2024
- sezon 2 „Odwiłż”, Polska 2024 max
- reż. Samantha Jayne i Arturo Perez Jr. „Mean Girls”, USA 2024 sky

Niech żyje król!

KINO

Czy można być szczęśliwym, nie mając dostępu do Internetu, telewizora, komórki i ludowładztwa? Pytanie retoryczne, lecz mieszkańcy Bhutanu tak długo obywali się bez wykwitów zachodniej cywilizacji, że nie od razu dostrzegli ich użyteczność. W kraju odizolowanym od reszty świata rząd dusz posiadali konserwatywni buddyjscy mnisi. Na szczęście król zadekretował odgórną rewolucję. Urzędnicy ze stolicy ruszają w teren, by zorganizować próbne wybory i przekonać rodaków do zalet systemu partyjnego. A ci są jak dzieci. Odporni na bełkotliwe slogany („demokracja to ukoronowanie szczęścia narodowego brutto”) i zaskoczeni, że solą polityki

jest nienawiść do konkurenta. Agitatorzy muszą odpowiadać na pytania w rodzaju: „Czy wybory to jakaś choroba świń?”. Trzeba trafiać, święto demokracji zbiega się w czasie z wizytą obywatela USA. Niewiedza tubylców o potęgę dolara i pożytkach płynących z posiadania broni palnej na zmianę pomaga i przeszkadza mu w interesach. W dodatku miejscowy lama w sobie tylko znanym celu szykuje się do opuszczenia klasztoru. Reżyser „Lunany” ma patent na kręcenie filmów rozbrajających – dosłownie i w przenośni. Domyślamy się, że prawdziwy Bhutan nie był, nie jest i raczej nie będzie ziemskim rajem, ale pomarzyć można. © © **Wiesław Chełmniał**



★★★★★
REŻ. PAWO CHOYING DORJI
„MNICH I KARABIN” („THE MONK AND THE GUN”)
BHUTAN/FRANCJA/TAJWAN/USA/HONGKONG 2023

wyst. Tandin Wanchug, Deki Lhamo, Pema Zangmo Sherpa



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PAJĄK W MAJTKACH

max

Coś na letnie upały: piękni, młodzi, zakochani, a w tle Australia z turystycznej reklamy. Twórcy filmu zadbali również o alibi, sygnalizując, że ich priorytetem było uwspółcześnienie spektaklu z długą siwą brodą. U Szekspira Beatrycze i Benedick stali się parą dzięki dworskiej intrydze. Ich współczesne awatary, Bea i Ben, są duetem pechowców niebezpiecznym dla siebie i otoczenia. Amerykanie lubują się w sentymentalno-obscenicznych komediach. Listkiem figowym jest postać sympatycznej czarnoskórej lesbijki. To znak, że twórcy opowiadają się przeciw rasowym i obyczajowym przesądom. Skoro portretują dwa pokolenia ludzi bogatych, lecz umysłowo odczęzanych, to muszą też być szczerymi demokratami. To, że w tej opowieści nic się nie klei, ma trzeciorzędne znaczenie. Liczy się kasa. Tylko z tytułu rozpowszechniania w kinach film Glucka zarobił ponad 200 mln dol. Szykujcie się na sequel. © ©



★★★★★
REŻ. WILL GLUCK
„TYLKO NIE TY” („ANYONE BUT YOU”)
USA 2023

wyst. Sidney Sweeney, Glen Powell, Alexandra Shipp

(NIE)MOŻLIWOŚĆ WISPY

KINO

Czarna komedia z socjalistycznym przechylem. Dla zmylenia i oszukania akcja rozgrywa się w 1918 r. Amerykę nęka grypa hiszpanka. Lockdown jednych dołuje, innym stwarza szansę na życiowy przełom. Do tych drugich należy Floyd Monk, nowy kucharz w rezydencji bogatego publicysty i polityka in spe. Mr Horton (znajomek samego Uptona Sinclaira) namiętnie zwalcza prezydenta Wilsona i pozuje na postępowca, w rzeczywistości będąc tęgim hipokrytą. Pozwala służbie korzystać z biblioteki, ale już nie z basenu. Floyd, beczelny jak Magda Gessler, wznieca bunt. Pacyfista w okularkach w starciu z charyzmatycznym proletariuszem nie ma szans, znamy to choćby z „Matni” Polańskiego. Wywrotowość „Kuchennej rewolucji” jest jednak pozorna. To nie „Parasite”. Za kamerą stanęli ludzie wiedzący, w którym miejscu trzeba się zatrzymać, by oszczędzić widzom dyskomfortu. Cóż, kto boi się ryzyka, ten rzadko wygrywa. © ©



★★★★★
REŻ. JOSEPH SCHUMAN, AUSTIN STARK
„KUCHENNA REWOLUCJA” („COUP!”)
USA 2023

wyst. Peter Sarsgaard, Billy Magnussen, Sarah Gadon

Wiesław Chełmniał

GRA TYGODNIA: „WORLD OF GOO 2”

Wiem, jak to zabrzmi, gdy napiszę, że głównymi „bohaterami” tej gry są tytułowe „gluty”. Ale jeśli dodam, że zadaniem gracza jest tworzenie konstrukcji poprzez łączenie lepkich kulek, że na konstrukcje te działają prawa fizyki, że poziom trudności

rośnie i w pewnym momencie trzeba wysilić szare komórki – to może namówię państwa, aby dać tej grze szansę. Bo naprawdę warto. Druga część hitu sprzed lat zaskoczyła, bo się jej nie spodziewaliśmy. Tak jak zaskoczyła nas część pierwsza. No bo jak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
można zrobić dobrą grę o „glutach”? Można. © ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** logiczna
• **Platforma:** PC, Switch
• **Producent; wydawca:** 2D Boy; Tomorrow Corporation

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sekrety Kossakówki

Najciekawszy z wątków „Wachlarza”, najnowszej książki Joanny Jurgały-Jureczki, jak wiele poprzednich przez nią napisanych poświęconej sławnej rodzinie Kosaków, dotyczy Teresy Starzewskiej primo voto hr. Plater-Zyberk, secundo voto Burignat, zmarłej w 2017 r. córce Magdaleny Samozwaniec, wnuczce Marii i Wojciecha Kossaków.

O jej losach, odkąd jako 20-latką wyszła za mąż, niczego nie wiemy na pewno, a aura tajemniczości ją otaczająca sprzyjała powstawaniu najróżniejszych, często dramatycznych opowieści dziwnie wpasowujących się w historię rodu, w której i tak od skandali, zdrad i romansów aż się roi. Mimo to jednak wyjście za mąż przez matkę Teresy za człowieka, który starał się o jej córkę, i na takim tle się wyróżnia. Ale znacznie poważniejsze były konsekwencje związku córki Magdaleny Samozwaniec z Henrykiem Platerem, czującym się Niemcem i dla Niemców pracującym. To on miał wyjawiać hitlerowcom prawdziwe nazwisko Zofii Kossak, znanej pisarki, córki Tadeusza Kossaka, bliźniaczego brata Wojciecha, wydając na nią wyrok śmierci. Jaką rolę odegrała w tym Teresa? Jej małżeństwo się rozpadło, ale zdążyli pracować razem w jednej z rezydencji Hermanna Göringa, zajmując się dziełami sztuki.

„Wachlarz” to powieść dziejąca się w dwóch planach: historycznym i współczesnym. Pozwala to Joannie Jurgale-Jureczce powiedzieć więcej, niż mogłaby to uczynić w pracy naukowej, a nawet w biografii. Nie nadużywa jednak tej możliwości, czerpiąc z dokumentów epoki, listów, pamiętników i wspomnień, nie kryjąc zresztą specjalnie, że wie więcej o drażliwych sprawach, którymi się zajmu-



FOT. FACEBOOK.COM/JOANNAJURGAŁAJURECZKA

je, nie wszystko jednak nadaje się do upublicznienia, z czym należy się zgodzić.

Autorka „Wachlarza” powraca także do opisanego już w „Tangu” romansu Wojciecha Kossaka i żony Ferdynanda Hoesicka, wydawcy, prozaika i felietonisty – Zofii z Lewentalów, skupiając się na sprawie córki Hoesicków, Wandy. „Lekkim tonem – czytamy – w liście do dorosłej już Lilki [poetki Marii Pawlikowskiej – przyp. K.M.] Wojciech Kossak skwitował plotki krążące po Krakowie, że jest ojcem tej dziewczyny. Nie przyznał się do niej i oskarżenia żony na ten temat nazwał fantazjami, ale jednocześnie zażartował, że jego rycerskość wobec dam powoduje, że spotyka młodych ludzi uważających się za jego dzieci. Dzięki temu ma sporo przydatnych w życiu znajomości.

Lubował się w niedomówieniach, prowokacjach i flircie. Podarowanie Zofii wachlarza, na którym wymalował najstojniejszy miłosny trójkąt, było tego wyrazem. Scena z parkiem w tle, z Kolombiną siedzącą na balustradzie w objęciach Arlekina i patrzącą na to wszystko z zazdrosnym Pierrotem, była tak czytelną aluzją, że Ferdynand mógł się albo uśmiechnąć, albo zrobić Kossakowi awanturę”. „Nie było awantury, był wystudiowany uśmiech”.

W książce pojawiają się i inne znane postaci II Rzeczypospolitej,

a i lat wcześniejszych, naturalnie z córkami Wojciecha Kossaka – Marią Pawlikowską-Jasnorzewską i Magdaleną Samozwaniec na czele. I z ich matką – Marią Kossak, o której autorka „Wachlarza” wielokrotnie mówiła, że nie zasłużyła na lekceważenie, z którym się spotykała, na wzdorliwą etykietę żony swego sławnego męża. Nie kto inny, a ona była mocnym spoiwem łączącym rodzinę i sprawiającym, że Kossakówka była tym, czym była na mapie kultury polskiej. Po jej śmierci w 1943 r. krakowski dworek już tylko podupadał.

Ostatnie zdania powieści są następujące: „Kossakówka opustoszała. Maria nie wyjdzie gościom naprzeciw, nie zapyta męża o nowe obstalunki. Wojciech nie wróci z pracowni i nie wbiegnie na ganek. Lilka nie wyjdzie na balkon, Madzia się nie zaśmieje.

Ale przecież wciąż można dopasować porzucone rękawiczki, zapalić lampę z abażurem, poprawić różę przy sukni, wpisać swoje imię w balowym karnecie. I wziąć do ręki wachlarz i rozłożyć. Przysłonić nim twarz. Spójrzeć. Spojrzeniem powiedzieć:

– Pamiętam”.

Joanna Jurgała-Jureczka bada życie i twórczość artystów z rodziny Kossaków już ponad ćwierć wieku. Kierowała Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej w Górkach Wielkich, wydała takie książki jak: „Zofia Kossak. Opowieść biograficzna”, „Kobiety Kossaków”, „Kossakowie. Biały mazur” i „Kossakowie. Tango”. Teraz przyszedł czas na „Wachlarz”, z pewnością nie ostatni tytuł tej autorki traktujący o rodzinie, która może jak żadna inna tak silnie zaznaczyła swą obecność w dziejach polskiego malarstwa i literatury. ©



★★★★★
JOANNA JURGAŁA-
JURECZKA
„KOSSAKOWIE.
WACHLARZ”
ZYSK I S-KA,
POZNAŃ 2024



PIOTR GOCIEŁ

POCZYTANKI

Bo ja wiem...

W odróżnieniu od wielu postaci światła kina, którym ofiarowuje się rubryki na łamach poczytnych magazynów tylko dlatego, że znają „łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy” (vide: Maciej Stuhr), Jiří Menzel zasłużył sobie na uwagę. Można jego twórczość cenić lub nie, ale „Pociągi pod specjalnym nadzorem” to film wybitny, inne liczne ekranizacje prozy Hrabala – intrygujące, a „Skowronki na uwięzi” – dzieło przejmujące.

Zmarły w 2020 r. reżyser i scenarzysta w ostatniej dekadzie swego życia pracował z rzadką, oddając się głównie życiu rodzinnemu. Wcześniej przez parę lat pisywał felietony do pisma „Story”, wydane później w książkach „Tak nevim” czy „Tak nevim podruhé”. Teraz Andrzej S. Jagodziński zaproponował polskiemu czytelnikowi własny wybór (i przekład) tych tekstów w tomie „No, nie wiem...”. Dostajemy ich 52 – często opatrzone bezczelnym i zabawnym tytułem („Świat jest zorganizowany przez impotentów, a rządzi nim stare dziady” albo „Obiad był zabawny, bo pan prezydent je niedużo, pani ambasador jest na diecie, a ja nie przepadam za rybami”).

Znamy ten ton, ten specyficzny czeski rodzaj humoru, który sam Menzel próbuje zdefiniować

w pierwszym felietonie o bardzo długim tytule „No, nie wiem... Ten zwrot to specyficznie czeski modus dubitandi. Dubito ergo sum – wątpię we wszystkie prawdy i wartości – więc jestem i żyję”. To nie Menzel wymyślił powyższe zdania, on zaczerpnął je tylko z książki Pavla Eisnera o języku czeskim. Gdyż zakochał się w wyjaśnieniu: „No, nie wiem...” to wybitnie czeskie osiągnięcie – „to życiowa mądrość narodu doświadczanego, ergo doświadczonego. Życiowy optymizm utemperowany przez sceptycyzm”. Odpowiadając jednym z moich ulubionych polskich sformułowań: „Bo ja wiem...”.

O ba zwroty są dla mnie pamiątką po życiu narodów doświadczanych nieustannymi okupacjami, po czasach, kiedy wyraźna opinia, jasne przekonanie, ostry pogląd bywały najczęściej przepustką do więzienia albo na stryczek. Ale nie w rozważaniach językowych tkwi siła rozważań Menzla. Wtórny jest,

gdy wpada w znany z polskich salonów kulturalnych ton narzekania na kapitalizm, brudną politykę i głupotę nowych czasów. Za to znakomity tam, gdzie przytacza anegdoty z własnego życia lub pokipiwa sobie ze skomplikowanych relacji damsko-męskich. Nie każdy musi być filozofem. Rola kronikarza najczęściej wystarcza. ©

Jiří Menzel
No, nie wiem...

★★★★★
JIRÍ MENZEL
„NO, NIE WIEM...”
SŁOWO/OBRAZ
TERYTORIA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Męczeńska śmierć ks. Józefa Stanka. Ofiara o. Michała Czartoryskiego. Heroizm błogosławionej matki Elżbiety Czackiej. Długo by wymienić. Bezmiar tragedii Warszawy i bezmiar poświęcenia – nowe fakty, poruszające wspomnienia.



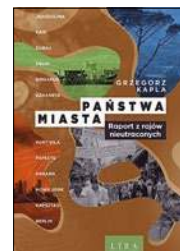
AGATA PUŚCİKOWSKA
„ŚWIĘCI 1944.
BĘDZIESZ
MIŁOWAŁ”
ZNAK

Intrygująca książka brytyjskiej filozofki to nie podróż do świata antyku, lecz analiza fenomenu przekonań, które rządzą masową wyobraźnią: mit postępu, umowy społecznej i omnipotencji nauki. Lektura obowiązkowa.



MARY MIDGLEY
„MITY W NASZYM
ŻYCIU”
PIW

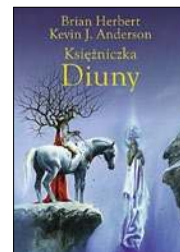
Dookoła świata w 11 rozdziałach, od Kairu do Dżakarty i od Nowego Jorku do Kapsztadu. Książka autora znanego z facebookowego profilu „Kapla w drodze”. Raczej zapiski z podróży niż typowe reportaże.



GRZEGORZ KAPLA
„PAŃSTWA
MIASTA”
LIRA

Syn Franka Herberta wspomagany przez weterana rozrywkowej fantastyki proponuje kolejną opowieść ze świata „Diuny”: oto dzieje księżniczki Irulany i Fremenki Chani dwa lata przed początkiem słynnej powieści.

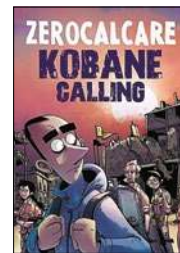
recenzuje Piotr Gocieł



**BRIAN HERBERT,
KEVIN J. ANDERSON**
„KSIĘŻNICZKA
DIUNY”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „KOBANE CALLING”

Za pseudonimem Zerocalcare kryje się włoski autor komiksów Michele Rech, najbardziej znany z albumu „Przepowiednie pancernika”, wedle którego Netflix zrealizował serial animowany. „Kobane Calling” to rysunkowa opowieść z wypraw na pogranicze syryjsko-tureckie, gdzie siły kurdyjskie walczyły z terrorystami z ISIS. To



ZEROCALCARE
„KOBANE
CALLING”
MANDIOCA 2024

także pierwsza w dziejach powieść graficzna, którą zaadaptowano na potrzeby teatru (sceny w Luccie i Neapolu).

Piotr Gocieł



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Helsińska szkoła

Wystawa prac dziewięciu artystów współtworzących fenomen Helsińskiej Szkoły Fotografii.

Różnorodność treści i formy (prace wielkoformatowe, małe formaty wymagające uważności, wideo). Nazwiska takie jak Sanna Kannisto, Elina Brotherus czy Niko Luoma są nad Wisłą mało znane. Mało popularna i rozpoznawalna jest u nas sztuka Finlandii. Tym bardziej

warto zwrócić uwagę na wystawę „Obrazy, które spadają z nieba. Helsińska szkoła fotografii”, przybliżającą ikoniczne prace HSF.

Helsińska Szkoła Fotografii jest bowiem – obok szkoły düsseldorfskiej czy charkowskiej – jednym z fundamentalnych kierunków rozwoju współczesnej fotografii. „Połączenie refleksji nad naturą medium, zanurzenie w tradycji sztuki konceptualnej i wielowarstwowa, bogata wizualność fotografii fińskiej zwróciły uwagę krytyków i kuratorów na początku wieku, by z czasem zyskać uznanie także kolekcjonerów i szerokiej publiczności galerii sztuki na świecie” – piszą autorzy wystawy. ©©

GDZIE? Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie

KIEDY? do 6 października



FOT. PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI W SOPOCIE



FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WISŁENIACH

SZTUKA OKOPOWA

Jeszcze tylko w tym tygodniu można obejrzeć wystawę niemal 300 eksponatów z prywatnej kolekcji dr. hab. Wiktora Szymborskiego. Pamiątki i artefakty sztuki użytkowej stworzone z przedmiotów pozyskanych w okopach podczas konfliktów zbrojnych, np. pióra z łusek karabinowych, lampki i wazon z pocisków artyleryjskich, biżuteria, zabawki dla dzieci. Eksponaty nawiązują do obu wojen światowych oraz do trwającej wojny na Ukrainie. ©©

GDZIE? Muzeum Niepodległości w Myślenicach

KIEDY? do 1 września

NA SŁUCH

Dawno temu w Ameryce

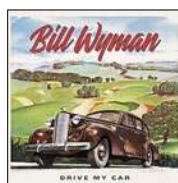


GRZEGORZ BRZozowicz

Był najstarszym Rolling Stonesem (dziś ma 87 lat), był pierwszym z nich, który nagrał solowy album (1974) i jedynym z oryginalnego składu, który z własnej woli opuścił zespół (1933). Bill Wyman urodził się 24 października 1936 r. jako William Perks. Zaczął brać lekcje gry na pianinie, gdy miał dziewięć lat, a jego zainteresowanie rock and rollem rozbudziły audycje American Armed Forces Network.

Wyman dawno już przekroczył wiek, w którym musi robić cokolwiek poza tym, co mu sprawia przyjemność. Na wydanym po dziesięcioletniej przerwie albumie udowadnia, że ma w sobie wciąż na tyle energii, by z lekkością grać korzennego rhythm and bluesa.

Wystarczy spojrzeć na okładkę płyty, by być pewnym, że przeniesiemy się do Ameryki lat 50. Niektóre rockowe głosy tracą z wiekiem swoją charakterystyczną głębię, ale w przypadku Billa Wymana jego chropowaty charkot ma w sobie coś dziwnie pociągającego i doskonale pasuje do tych opowieści. Album otwiera utwór tytułowy autorstwa samego Wymana, który wprowadza nas w nastrój doskonale nam znany z albumów J.J. Cale'a. I właśnie takie leniwe boogie dominuje na płycie, na której oryginalne utwory mieszają się z coverami. A jeśli ktoś chce więcej się dowiedzieć o emerytowanym basiście Rolling Stones, to można sięgnąć po jego ubiegłoroczną autobiografię „Bill in the Wars”. ©©



★★★★★
BILL WYMAN
„DRIVE MY CAR”
BMG



★★★★★
ELLES BAILEY
„BENEATH THE NEON GLOW”
COOKING VINYL

Też pochodzi z Anglii

i też kocha muzyczną Amerykę. Gitara hawajska miesza się z grzechoczącymi werblami, fortepianem Rhodes i trąbkami. Bailey z lekkością łączy współczesnego country bluesa z brzmieniem Fleetwood Mac. ©©



★★★★★
CHRYSTABELL / DAVID LYNCH
„CELLOPHANE MEMORIES”
SACRED BONES

Po śmierci kompozytora Angela Badalamenti i wokalistki Julee Cruise reżyser David Lynch nagrywa płyty z Chrystą Bell. Jej chropowaty głos idealnie pasuje do pełnych marzycielskiego smutku piosenek. Jak to u Lyncha, nic w tych utworach nie jest oczywiste. ©©

Szczerość artysty



Krzysztof Masłowski

Był bardem wyjątkowym. Nie tylko dlatego, że jego atrybutem nie stała się gitara, lecz fortepian. Uwodził słuchaczy niepowtarzalnym głosem, romantyzmem swoich kompozycji, pięknem tekstów mówiących o tym, co dla nas najważniejsze: o naszym życiu, o sztuce, o miłości. I o prawdzie.

Dla niego to nie były puste słowa, więc kiedy Jolanta Drużyńska i Stanisław Jankowski w 2006 r. wydali „Kolację z konfidentem”, ujawniając inwigilowanie Piwnicy pod Baranami przez Służbę Bezpieczeństwa i rolę, którą odgrywał w tym procederze ściśle związany z kabaretem Michał Ronikier, nie tylko odmówił swego podpisu pod listem pióra Krystyny Zachwatowicz, biorącym w obronę wieloletniego agenta, lecz także krytycznie odniósł się do całej tej medialnej odsieczy, do której zaangażowano nawet zmarłego Skrzynecznego – piwnicznego guru z całym jego autorytetem, bo rzekomo „Z pewnością Piotr wybaczyłby...”. I z dnia na dzień został Długosz przez swoje, zdawałoby się, naturalne środowisko (był w Piwnicy pod Baranami od 1964 do 1978 r.) może nie wyklęty, ale obdarzony etykietą prawicowca, kaczysty i pisiora. Jego polityczne wybory, opowiedzenie się za Lechem Kaczyńskim w wyborach prezydenckich i kandydowanie

do Senatu z poparciem Prawa i Sprawiedliwości zostały oczywiście uznane przez salony – krakowski i warszawski – za wyjątkowo naganne.

Na szczęście pozostali mu wierni słuchacze, nie tylko nie odwracając się od niego, lecz także wyrażając swoje poparcie i szacunek dla artysty otwarcie przedstawiającego swoje poglądy i broniącego ich.

Wbrew obiegowej opinii nie śpiewał wyłącznie własnych utworów. Owszem, komponował muzykę, ale do tekstów zarówno własnych, jak i tak uznanych poetów jak Jerzy Liebert („Jurgowska karczma”), Julian Tuwim („Berlin 1913”), Stanisław Baliński („Jaka szkoda”) czy Andrzej Bursa. Ten ostatni był mu chyba w młodości szczególnie bliski, napisał bowiem muzykę do „Prowadziły nas lata tamtego niedziele” i „Z gier i zabaw dziecinnych”, do „Ogniska domowego i „Ja chciałbym być poetą”. Ten ostatni wiersz tak zrósł się z postacią Leszka Długosza, że musiał przekonywać swoich słuchaczy, że to naprawdę nie on go napisał:

*Ja chciałbym, chciałbym być poetą.
Bo dobrze, dobrze być poetą,
Bo u poety nowy sweter,
Zamszowe buty, piesek seter
I dobrze być na świecie.
Ja chciałbym, chciałbym być poetą,
Bo byczo, byczo u poety,
Bo u poety cztery żony,
A z każdą dawno rozwiedziony,
A ja lubię kobiety.*

Etykieta barda nieco go uwierała. Przypominał więc czasem, że napisał znacznie więcej tomów poezji, niż nagrał płyt. Rzeczywiście,

było ich sporo, od debiutanckich „Lekcji rytmiki” z 1973 r. począwszy. A potem, już regularnie, ukazywały się takie zbiory jak m.in.:

„Wywoływanie wilka z lasu” (1980), „Śpiewnik ilustrowany” (1984), „Pewnego dnia, pewnego dnia...” (1988), „Album krakowski” (1993), „Po głosach, po śladach...” (1996), „Na rynku usiąść w Kaziemierzu” (2004), „Podróżne” (2008), „Do szkiełka z Muzeum Czartoryskich” (2020). A w 2003 r. ukazał się może najbardziej charakterystyczny dla Długosza tom „Dusza na ramieniu”, nieprzypadkowo wydany wraz z płytą, gdyż książka zawierała i wiersze, i piosenki. Zresztą u niego, jak u Stachury, „wszystko jest poezją”.

A jeszcze inny zbiór wierszy dawnych i nowych „Ta chwila, ten blask lata cały...” (2016) otwiera niejako proroczy utwór „Wyjechałem i mnie nie ma”:

*Wyjechałem i mnie nie ma
I na Rynku, i na Brackiej.
To się może przedłużyć
Może nawet na zawsze?
Ani głos mój się odzywa
Tu, wprost brzmiały.
Nic nie spieszo moim krokom
Na Gołębiej i na Brackiej
Cień się zabrał razem ze mną
Nie ma nas tu przykładnie.*

Janusz R. Kowalczyk w książce „Wracając do moich Baranów” odnotowuje taką wypowiedź Leszka Długosza: „Artyście pozostaje być artystą. Udowodnić, że ma prawo nim być. Że stwarza coś, co jest wartością, która się wcześniej czy później obroni. Kwestia cierpliwości. Być może moja wiara jest



FOT. WOLFF KUBIK / ESET NEWS

nazbyt idealistyczna, ale inaczej myśleć nie potrafie. Rola artysty jest czuć się nim autentycznie, jeśli tylko ma coś do powiedzenia, to powinien to robić w sposób jak najbardziej uczciwy, prawdziwy i tak zaciekle, jak tylko potrafi”.

Kiedy indziej wyznał: „Nigdy bym tego w życiu nie robił, gdyby nie własna przyjemność. Ot, szczerość bezzcelna”. Bezzcelna? Od lat jego wiersz otwiera miesięcznik „WPiS”. W najnowszym (sierpień–wrzesień 2024 r.) numerze pisma jest to „Szczerość”:

*Nie ma najlepszych koligacji
Spokrewniona zaledwie z Poczciwością
Kuzynka Naiwność też jej respektu
zbyt mało
Nie przysparza.
Owszem, ozdobą jest dzieciństwo
(Do twarzy jej z tym niezmąconym
wejściem
Chabrowych zwłaszcza oczu)
Lecz potem?
Gdy już Dojrzałość na wyższych
piętrach
Kramy światowe porozkłada
Cóżże tam wtedy po niej?*

Leszek Długosz – Kawaler Orderu Orła Białego – zmarł 23 marca 2024 r. w Krakowie. Za trzy miesiące skończyłby 83 lata. ©



Robert Bogdański

Czy Rosja naprawdę nie może użyć broni nuklearnej, gdy Ukraińcy wdarli się na jej terytorium? I czy w ogóle chcemy to sprawdzać?

Jednym ze sportów, które z upodobaniem uprawiają ukraińscy specjaliści od operacji propagandowych i psychologicznych, jest drażnienie niedźwiedzia. Są w tym mistrzami przynajmniej od czasu słynnej odzywki dowódcy garnizonu z Wyspy Węży. „Russkij wojennyj korabl, idi na ch.j!” (kto z nas nie udostępnił tego znajomym, niech pierwszy rzuci kamieniem). Krążownik „Moskwa” awansowany na okręt podwodny, Królewiec przyłączony do Czech, praktycznie każda bardziej znacząca operacja obfituje w internetowe wirale. Ukraińcy odrobili lekcję nowoczesności i wiedzą doskonale, że sukces na froncie nie istnieje bez przekazu. Ba! Czasem przekaz może sukces zastąpić, a przynajmniej powiększyć. Dobrze to widać przy okazji ostatniej operacji pod Kurskiem. Gdyby wierzyć memom i filmikom, to miejscowi powołali tam Republikę Kurską, która poprosiła o włączenie do Ukrainy.

NIEBEZPIECZNA KPINA

To są jednak zwyczajne metody propagandowe, które mają służyć u siebie podbudowaniu morale, a u wroga wywołaniu paniki. Do tych zwyczajnych metod został wszelako dodany element co najmniej niebezpieczny: kpina z Rosji jako mocarstwa atomowego. Pojawił się np. mem z mapą świata z wyróżnioną Ukrainą i podpisem, że na rysunku przedstawione są wszystkie państwa, które okupowały terytoria mocarstw atomowych. Jedno z kont na platformie X opublikowało klepsydre „drabiny eskalacyjnej” następującej treści: „Zarządzanie Eskalacyjne, ukochane dziecko wielu zachodnich analityków, zmarło 6 sierpnia 2024 r. od ran poniesionych w obwodzie kurskim”. Wpis ten udostępnił m.in. były prezydent Estonii. Informacja dla świata i dla Rosjan jest prosta: cała ta wasza

nuklearna mocarstwowość jest o kant d... pothuc. Cała gadanina, że w obronie „świętej rosyjskiej ziemi” nie zawahacie się użyć Bomby, to czcze przechwałki. Weszliśmy na tę ziemię, okupujemy kawałek Rosji. I co? I nic!

Ten triumfalizm budzi niepokój. Zwłaszcza że jest skierowany tam, gdzie Rosjanie mogą podjąć działania. I wielokrotnie dawali takie sygnały, także ostatnio. Może się zdarzyć, że będzie miało to charakter podobny do rozprawy z Prigożynem: odłożony w czasie.

Rosjanie zastosowali teraz coś w rodzaju „sygnalizacji eskalacyjnej” i zrobili to w dość interesujący sposób. Po pierwsze, wpuścili w swoje kanały informacyjne cytaty z rozmowy z prawosławnym kapłanem, Konstantinem Tatarincewem, który akurat teraz uznał za stosowne, aby wypowiedzieć się na temat błogosławienia broni jądrowej. Nie jest to temat w moskiewskim patriarchacie nowy, kilka lat temu rozważano nawet zabronienie takich praktyk, ale dziś czasy są już inne i Tatarincew nie ma wątpliwości, że błogosławić można, o ile taka broń służy obronie ojczyzny. A nikt przecież nie ma wątpliwości, że służy.

Do zwyczajnych metod propagandowych dodano element niebezpieczny: kpinę z mocarstwa atomowego

Drugi sygnał przyszedł z Londynu, ale jeśli się bliżej przyjrzeć, to także z Moskwy. „Financial Times” opublikował tydzień po rozpoczęciu ofensywy w obwodzie kurskim tekst napisany na podstawie materiałów z „przecieku” o tym, jaka jest lista celów rosyjskiej floty wojennej, którą mogą zbombardować rakietami zdolnymi do przenoszenia głowic nuklearnych. Szczególnie duże wrażenie robiły w tym tekście mapy z zaznaczonymi celami w Europie: od Szczecina do Bergen i Barrow-in-Furness czy Dieppe. Robiły wrażenie cytaty z ekspertów, np. z Jeffreya Lewisa wykładowego temat kontroli zbrojei na uniwersytecie w Monterrey, który powiedział: „Ich koncepcja wojny to

wojna totalna. Oni postrzegają taktyczne głowice jądrowe jako narzędzie do wygrywania wojny”.

Biorąc pod uwagę, że tekst powstał w moskiewskim biurze gazety, nie ma wątpliwości, skąd pochodził „przeciek”. Nie ma też żadnych informacji o tym, aby ktoś został zatrzymany za publikowanie tych rewelacji, a przecież wiadomo, że aresztowanie zachodnich dziennikarzy to chleb powszedni rosyjskich służb. Wniosek nasuwa się sam: „przeciek” był kontrolowany i publikacja tego tekstu akurat teraz była wyraźnym sygnałem, żeby nie igrać z ogniem. Wolno przy tym sądzić, że sygnał został na Zachodzie przyjęty. Bo przecież o tak ważnych publikacjach w cywilizowanych krajach rozmawia się z „friends in high places”...

Był to jeden z wielu sygnałów, które wydała z siebie „kolektywna Rosja” lub – jak kto woli – „kolektywny Putin” w ostatnich dwóch latach. Począwszy od słynnego artykułu Siergieja Karaganowa, intelektualisty bliskiego Władimirowi Władimirowiczowi, z czerwca 2023 r., gdy wzywał do prewencyjnego uderzenia jądrowego na kraje NATO (wymieniał przykładowo oczywiście Polskę), aby zatrzymać pomoc wojskową dla Ukrainy, aż do ostatniego wywiadu Aleksandra Dugina, zapowiadającego rozpowszechnienie broni jądrowej wśród krajów globalnego Południa, które zechcą stanąć wspólnie z Rosją do walki o nowy porządek światowy.

Karaganow w jednym ze swoich tekstów napisał tak: „Polityka rosyjska powinna opierać się na założeniu, że NATO i wrogi blok, który swoimi działaniami dowiódł swojej agresywności, prowadzą de facto wojnę z Rosją. Dlatego jakiegokolwiek atak nuklearny na NATO, także wyprzedzający, jest politycznie i moralnie usprawiedliwiony”. Kwestie moralne są w ogóle bardzo ważne w jego publicystyce i wielokrotnie ubolewa on, że proponowane przezeń działania mogą się spotkać z moralnym potępieniem. Wszystko to jednak błędnie wobec wizji, w której, gdy już wojna nuklearna zbuduje nowy porządek, dzieci zdobywców będą żyły w świecie „wielokolorowym, wielokulturowym i o wiele bardziej sprawiedliwym”.

Czy warto słuchać ludzi, których poglądy znajdują się daleko za granicą

szaleństwa? Moim zdaniem tak. Jeżeli Karaganow wygłasza jakieś poglądy publicznie i publikuje je w ważnym czasopiśmie posiadającym wersję angielską, to znaczy, że jego poglądy powinny znaleźć się w palecie pomysłów, wśród których można wybierać. Inaczej po prostu zabroniono by publikacji, a Karaganow udałby się na zasłużoną emeryturę. Tak nie jest i Kreml może się teraz do nich nie odnosić, może się nawet od nich dystansować, ale może w pewnym momencie uznać, że te właśnie pomysły od zawsze były mu najbliższe. To stara metoda sowiecka. Gdy istniał zapis cenzorski

Nie jest wykluczone, że używając taktycznego ładunku na froncie, Rosja sygnalizowałaby, że status mocarstwa jest faktem

otrzymał pytanie sformułowane następująco: „Czy dobrze zrozumieliśmy, że świat w obiektywny sposób zmierza do użycia broni jądrowej na polu walki?”.

Trienin odpowiedział z dystansem godnym myśliciela: „Jest taki punkt widzenia, wedle którego broń nuklearna o niskiej mocy może rozwiązać problemy na polu walki, nie powodując zagrożenia dla istnienia ludzkości”. Zaraz jednak

nictwo chińskie, zapewniając zachodnich polityków, że jest przeciwne eskalacji nuklearnej i w tym duchu rozmawia z Putinem, były fałszywe.

Tylko że związek polityczny Pekinu z Moskwą, która jest niewątpliwie w tej parze partnerem słabszym, nie oznacza całkowitej podległości. Co więcej, technologie nuklearne są jedną z nielicznych dziedzin, w których Rosja ma nad Chinami przewagę. W dodatku Chiny w ostatnich latach intensywnie zwiększają swój arsenał nuklearny, chcąc w najbliższych latach osiągnąć parytet z Rosją i ze Stanami Zjednoczonymi, bo w tej chwili znajdują się pod tym względem nieco powyżej Francji i Wielkiej Brytanii. Nie jest zatem wykluczone, że używając taktycznego ładunku na froncie europejskim, Rosja sygnalizowałaby nie tylko Zachodowi, lecz także Chinom, że jej status jako mocarstwa jest faktem i mimo różnych słabości nie wolno jej lekceważyć.

Chiny natomiast mogłyby uznać złamanie tabu nuklearnego za korzystne ze swojego punktu widzenia jako mocarstwa szybko się zbrojącego i pragnącego odepchnąć Stany Zjednoczone od położonych wzdłuż swojego wybrzeża mórz, które uznają za swoją wyłączną domenę. Gdyby broń jądrowa – dzięki działaniu Putina – weszła do militarnego użycia po prawie 100 latach przebywania w moralnym czyścisku Hiroszimy, byłoby Chinom łatwiej zniszczyć przy pomocy eksplozji nuklearnej wrogi lotniskowiec płynący w odległości kilkuset mil od własnego terytorium i obronić to przed światową opinią niż Amerykanom uderzyć w cele znajdujące się na terytorium Chin, a to musieliby zrobić w odwecie.

Może się więc okazać, że autorzy triumfalistycznych memów radujących się z okupowania „mocarstwa atomowego” obudzą się niedługo w zasadniczo innej rzeczywistości, w której zmiany będą o wiele dalej idące, niż sądzili. Myślę, że nie warto tego sprawdzać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą i prowadzi podcast „Coistotne”.

Drażnienie nuklearnego niedźwiedzia

na jakąś informację, ale w końcu tak się zdarzało, że o sprawie wszyscy zaczęli mówić i trzeba było o niej powiedzieć oficjalnie, ukazywał się tekst agencji TASS zaczynający się od słów: „Jak powszechnie wiadomo...”. Zatem moim zdaniem myśl Karaganowa powinna znaleźć się z naszego punktu widzenia w kategorii „powszechnie wiadomo” i tak powinniśmy ją traktować.

Inny rosyjski intelektualista zajmujący się sprawami międzynarodowymi, Dmitrij Trienin, który rok temu należał do poważnych krytyków tez Karaganowa, zmienił front i pozostając bardziej umiarkowany, zaczął snuć akademickie rozważania na temat możliwości użycia broni jądrowej. W pewnym wywiadzie

dodał, że według innego punktu widzenia jakiegokolwiek użycie broni nuklearnej będzie w sposób nieunikniony prowadzić do eskalacji i do zagłady.

CZY PEKIN ZABRANIA?

Jednym z koronnych argumentów zwolenników tezy, że Kreml w żadnym razie nie użyje broni jądrowej, jest to, że „zabrania mu tego Xi”, bez którego rosyjska gospodarka nie ma szans przetrwać. Z pewnością coś w tym argumentie jest. Chinom nie zależy na destabilizacji, tylko na rozwijaniu handlu i spokojnym podporządkowywaniu sobie innych krajów, w tym Rosji, poprzez więzi ekonomiczne i finansowe. Nie ma powodu, aby nie wierzyć, że informacje o tym, iż kierow-

Dlaczego Jej nienawidzą?



„Pieta” wykonana przez Michała Anioła w bazylice
św. Piotra w Rzymie FOT. MARKO RUPENA



Krystian Kratiuk

„Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia, gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny” – powiedziała o sobie Maryja, Matka Chrystusa, w swej najdłuższej utrwalonej na kartach Ewangelii wypowiedzi. Czy obecne, młode pokolenie naszych rodaków również zechce być wierne Tej, którą od wieków nazywamy Królową Polski?

My nazywamy ją naszą Królową. Ale przecież czczona jest w całym Kościele jako Królowa wyznawców, dziewic, apostołów, Królowa rodzin, Królowa pokoju, Królowa wszystkich świętych. Czczona pozostaje również wśród prawosławnych, a szacunek względem niej okazują nawet niektórzy muzułmanie. Mimo tego coraz częściej atakowana jest przez ludzi Zachodu. Dlaczego?

„ZWYKŁA DZIEWCZYNA”

W lipcu tego roku katolików w Europie zbulwersowała figura wystawiona w katedrze w Linzu. Przedstawiała, w sposób niezwykle naturalistyczny, kobietę podczas porodu. Głowa przedstawionej kobiety otoczona była aureolą, a władze katedry oraz autorzy „dzieła” twierdzili, że rzeźba obrazuje Maryję podczas porodu. Tak ordynarnie ginekologiczne zobrazowanie jednego z najważniejszych momentów w dziejach świata – a więc Bożego Narodzenia – musiało wzbudzić skrajne emocje, których efektem stały się nie tylko lawina internetowego oburzenia, lecz także zniszczenie figury przez jednego z poruszonych austriackich wiernych.

Wśród komentarzy oczywiście od razu ujawnili się obrońcy tego „wyrazu artystycznej ekspresji”, nigdy niedostrzegający niczego złego w tego typu wyskokach. Uzewnętrznienie fizjologii w kościelnej kaplicy uznali za przejaw słusznej feministycznej nowoczesności. Nie przekonywa-

ły ich żadne argumenty – ani te estetyczne, ani religijne, ani cywilizacyjne. Kościół katolicki od dwóch tysięcy lat próbuje bowiem ludzi uwznioślać, kierować ich ku Niebu, od pewnego czasu jednak część spośród jego przedstawicieli próbuje wszystko równać ku dołowi – również Matkę Boga. Skoro w myśl nauczania dzisiejszych hierarchów była ona „zwykłą dziewczyną” (a już nie, jak kiedyś, „łaski pełną” oraz „błogosławioną między niewiastami”), to i jej poród musiał być zwykły. I dlaczego by go nie pokazać?

Do apologetów wszystkiego, co obrzydliwe, nie trafiały też sugestie, że święci – w tym Chrystus – mimo swego człowieczeństwa nigdy nie byli ukazywani podczas czynności fizjologicznych. O poszanowaniu przez zwolenników odpychających nowinek dla starożytnej chrześcijańskiej tradycji, wedle której poród Najświętszej Maryi Panny mógł wyglądać inaczej niż inne i przebiegać bezboleśnie, tym bardziej nie mogło być mowy.

PRZYKŁAD ZE ŚWIATA

Skąd w Kościele ten brak szacunku do Matki Boga? Do postaci czczonej jednocześnie jako Matka Kościoła? Można by o tym napisać całe tomy opatrzone licznymi przypisami, ale na potrzeby tego tekstu odpowiadamy krótko – otóż proces desakralizacji Maryi w Kościele wynika z dostosowywania się tegoż Kościoła do świata. Świata, który każdego dnia, im bardziej rzekomo promuje kobiecość, tym bardziej musi pohańbić... najważniejszą kobietę w dziejach świata.

Przykładów można by wyliczać bez liku. Zaczniemy od końcówki poprzedniego stulecia, kiedy to brytyjski „artysta” Chris Ofili wystawił w Brooklyń Museum w Nowym Jorku rzeźbę Bożej Rodzicielki w otoczeniu wycinków z pism pornograficznych, w dodatku z wykorzystaniem łajna słonia, argumentując, że w kulturach afrykańskich łajno słonia jest symbolem płodności.

W 2001 r. Muzeum Sztuki Ludowej w Santa Fe (Nowy Meksyk) zaprezentowało wizerunek Matki Bożej z Guadalupe, przedstawiając ją niemal naga, ubraną jedynie w różane stringi.

W 2005 r. niejaki Damien Hirst stworzył rzeźbę przedstawiającą naga, ciężarną kobietę, w połowie obdartą ze skóry. Pomnik nosił nazwę, a jakże, „Virgin Mother”.

W 2013 r. na Broadwayu wystawiono sztukę opartą na powieści irlandzkiego pisarza Colma Toibina „Testament Maryi” – zdeklarowanego homoseksualisty, który swego czasu nie odnalazł się w seminarium duchownym. Sztuka była monologiem Maryi, odrzucającej wiarę w Chrystusa, wierzącej w Artemidę, kpiącej z ofiary Syna oraz z wiary apostołów w to, że Ewangelia zmieni świat. Inscenizacja doczekała się licznych nagród branżowych.

W tym samym roku meksykańska „artystka” Alma Lopez uznała za stosowne pokazać Matkę Bożą z Guadalupe nagą, przykrytą gdzieniegdzie kwiatami, czym twórczyni nawiązywała do poprzedniego swego dzieła z roku 1999, a mianowicie do obrazu, na którym Maryja... obmacuje nagą syrenę.

W 2016 r. w Oklahomie grupa satanistów nazywających siebie artystami przeprowadziła rytuały, w których zbezczeszczono figurę Matki Bożej poprzez użycie siarki, krwi menstruacyjnej i innych elementów okultystycznych.

Nie bez powodu podaję głównie wydarzenia ze Stanów Zjednoczonych – to tam bowiem najczęściej eksponowane są bluźniercze, antymaryjne „dzieła sztuki”. Symbolem tamtejszej popkultury ostatnich dekad jest wszak piosenkarka o pseudonimie... Madonna, wielokrotnie stylizująca się w swych występach czy sesjach zdjęciowych w sposób kpiący z Matki Bożej.

Ale oczywiście do takich bezeceństw dochodzi nie tylko w USA. We Francji np. „artysta” Soasig Chamaillard postanowił zaistnieć poprzez przerabianie figurek Matki Bożej na rozmaite sposoby – doklejanie im włosów lub wsadzanie w dłoń butelki wódki to tylko najmniej burzające z nich. Z Matki Bożej zrobił już kucyka, Barbie, Hello Kitty czy wampira. Jego prace cieszyły się uznaniem podczas organizowanego w Stanach festiwalu Blasphemy Day (Dzień Bluźnierstwa).

NARÓD, KTÓRY ŻYJE DLA JEJ CHWAŁY?

Wraz z postępującą okcydentalizacją polskiego społeczeństwa, którego elity jeszcze kilka pokoleń temu nazywały siebie sługami Maryi, zachodni „postęp” zasiewa ziarno bluźnierstwa i profanacji także w naszym kraju. I dotyczy to zarówno Chrystusa, Jego świętego Krzyża, jak i Jego Najświętszej Matki, wciąż czczonej

przecież w naszych kościołach jako Królowa Polski.

Dzieje się tak mimo świadomości tego, kim dla Polaków Matka Boża pozostaje od wieków. Dość przypomnieć, że pierwszy utwór traktowany jako nasz hymn, „Bogurodzica”, poświęcony jest właśnie Jej. To Jej sanktuarium chronili Polacy podczas szwedzkiego potopu i to Jej rok później śluby w imieniu narodu składał polski monarcha. Polska epopeja narodowa, „Pan Tadeusz”, rozpoczyna się inwokacją, której by nie było, gdyby autor nie został przez Pannę Świętą, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie, do zdrowia przywrócony cudem, gdy od płaczących rodziców pod jej opiekę został ofiarowany. Po Bitwie Warszawskiej nawet sowieccy żołnierze twierdzili, że to ona chroniła Polaków. W końcu to Jej oddani całkowicie byli najświętniejsi Polacy XX w. – Karol Wojtyła, Stefan Wyszyński, Maksymilian

Dlaczego Matka Boża jest atakowana? To oczywiste – dlatego że trwa wielka antychrześcijańska rewolucja

Kolbe, a nawet Lech Wałęsa; każdy z nich modlił się, śpiewając o „narodzie całym, który żyje dla Jej chwały”. W niemal każdym polskim mieście ufundowano kościół jej imienia, trwa Ona również w polskich tradycjach ludowych, wszak w wielu regionach kraju nadal obchodzone są święta maryjne, takie jak Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny (Matki Boskiej Zielnej) czy święto Matki Bożej Gromnicznej. Na przełomie roku od wieków Polacy śpiewają kolędy, których nie miała, najbardziej wzruszająca naszą polską duszę część poświęcona jest właśnie Jej.

A jednak bezbożna propaganda robi swoje.

Najśłynniejszym polskim aktem bluźnierstwa przeciwko Maryi pozostaje oczywiście niesławne wpisanie w jej nimb (czy jak chcą niektórzy – w aureole) kolorów tęczy charakterystycznych dla ruchów LGBT. Sugerowanie, że Matka Boża mogłaby popierać postulaty opierające się na zanegowaniu chrześcijańskich wartości, na pozostającej grzechem wołającym o po-

mstę do nieba sodomii oraz na uznaniu, że Bóg wcale nie stworzył ludzi jako kobiety i mężczyzny, było doprawdy hańbiące. A warto dodać, że aktywistki tego ruchu nie tylko zademonstrowały ów obraz, lecz także wyprodukowały naklejki z bluźnierczym wizerunkiem i umieszczały je np. na toaletach. Od kilku lat wizerunek ten towarzyszy różnym imprezom środowisk homoseksualnych i feministycznych.

Doczekaliśmy się również kilku prowokacji w teatrach. I tak np. reżyser spektaklu „Kora. Boska” w Teatrze Nowym Proxima pisała w 2021 r.: „Matki Boskie Proximowskie to zabawa formą, która przy odrobinię otwartości na różnorodność stanowi całkiem przyjemną równowagę dla arcyważnego kultu maryjnego w kulturze polskiej”. Tak uzasadniała obsadzenie w roli Matki Bożej... osoby na co dzień identyfikującej się jako drag queen.

Wcześniej, bo w roku 2017, w Warszawie wystawiano spektakl „Kłątwa”, pełen obscenicznych i bluźnierczych scen. Oprócz Chrystusa i Jana Pawła II autorzy wzięli na celownik także Maryję, wykorzystując jej wizerunek w kontekście seksualnym.

Jeszcze wcześniej, w roku 2015, w wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej Jej poronione oblicze jakaś niewarta wspomnienia z nazwiska „artystka” zastąpiła głową kury (a twarz Chrystusa głową kurczęcia). Obraz wystawiono w Świnoujściu. Ten sam wizerunek Czarnej Madonny z Jasnej Góry został przerobiony w bieżącym roku na pewnym plakacie, tym razem twarz Maryi zamieniono na trupa czachę. Tak promowała swoje koncerty jedna z grup blackmetalowych.

Matka Boża stała się także celem dla redaktorów „Gazety Wyborczej” – do jednego z dodatków gazety w 2020 r. dołączono plakat przedstawiający Maryję z czarną parasolką i obleczoną w maseczkę z błyskawicą, symbol proaborcyjnych protestów. Sugerowanie Tej, która zrodziła Syna Bożego, że popiera dzieciobójstwo, zakrawa na coś znacznie więcej niż bezczelność.

Polskojęzyczni „artyści” tak często „mierzą się” z wizerunkiem Matki Bożej, że... trafiają na aukcje. Nie dalej niż w tym roku bowiem Jerzy Owsiak, szef Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, uznał za stosowne wystawić w swej charytatywnej zbiórce także obraz przedstawiający Matkę Bożą trzymającą na rękach Kermita

Żabę, postać z „Muppet Show”. A skoro takim brakiem szacunku wobec tej, którą wielu Polaków wciąż nazywa Królową, wykazują się naczelny autorytet moralny III RP oraz pseudoartyści poszukujący rozgłosu poprzez hańbienie Maryi właśnie, to nie może dziwić, że i prosty lud bierze sprawy w swoje ręce.

Tylko w ostatnich latach doszło więc w Polsce do aktów profanacji wizerunku Maryi z rąk antykatolickich wandal. Do niedawna działa się to rzadko, przypadek ataku na obraz na Jasnej Górze w 2012 r. lub wycięcie ust Maryi z otoczonego kultem obrazu ze Skoczowa w 2014 r. były wyjątkami. Dziś jest inaczej. Niech państwo spojrzą sami na to niechlubne kalendarium:

2020 r. – na terenie wsi Wilczyce uszkodzono i pomalowano czarną farbą figurę Matki Bożej. Znajdowała się ona na terenie prywatnym i ogrodzonym. Wandale pozostawili na miejscu róg zwierzęcy, co może wskazywać na motywy satanistyczne lub okultystyczne;

2021 r. – nieznani sprawcy obalili figurę Matki Bożej ustawioną w ogrodzie domu zakonnego Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w warszawskim Aninie. O celowości działania świadczy fakt obwiązania statui kablem telefonicznym;

– w parku Uzbornia w Bochni doszło do zniszczenia figurki Matki Boskiej. Sprawcy wyrwali figurę z postumentu, a następnie rozbili ją o ziemię;

– na terenie parafii śś. Pierwszych Męczenników Polski w Częstochowie doszło do profanacji figury Matki Bożej. Nieznani sprawcy zdewastowali wizerunek Najświętszej Maryi Panny, urywając jej dłonie;

– w Szczecinie nieznani sprawcy sprofanowali figury Najświętszej Maryi Panny znajdujące się na terenie parafii pw. Matki Bożej Jasnogórskiej. Wymalowane na figurach znaki (odwrócony krzyż i pentagram) stanowią element symboliki satanistycznej;

2023 r. – „nieznani sprawcy” zniszczyli figurę Matki Boskiej Fatimskiej z kapliczki na terenie ursynowskiej parafii św. Katarzyny;

– na terenie domu Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety w Strzegomiu doszło do profanacji wizerunku Matki Bożej. Figura Maryi została zabrana z przyklasztornej groty i powieszona niczym wisielec na pobliskim rusztowaniu;

Oni nienawidzą macierzyństwa.

Maryja jest Matką i dzięki temu właśnie, że matką się stała, została wywyższona ponad wszystkich innych

– w kościele pw. Matki Bożej Fatimskiej w Koziegłowach dokonano aktu wandalizmu – przewrócono figurę Matki Bożej, przez co pękła i odpadła jej dłoń, a także zdewastowano żłóbek;

– w Uściu Solnym zdewastowano kapliczkę, zniszczono figurkę Matki Bożej, odcinając jej głowę i nogi;

– nieznani sprawcy dokonali profanacji kapliczki Matki Bożej w Żuklinie. Wandale zniszczyli figurki Matki Bożej i Jezusa Chrystusa poprzez przypalenie oczu prawdopodobnie papierosami.

Wymieniłem tu tylko część antykatolickich ataków, do których doszło w Polsce w ostatnich latach. Do tego zbioru z pewnością dołączyć można także wyjątkowo wulgarny popis Moniki Strzępki, która przez jakiś czas pełniła stanowisko dyrektora Teatru Dramatycznego w Warszawie. To ona w 2022 r. wprowadziła do teatru – w uroczystości do złudzenia przypominającej polskie, ludowe peregrynacje figur Matki Bożej – rzeźbę ogromnej... waginy, nazwanej „Wilgotną Panią”, otoczoną złotym płaszczem, w swym kształcie stylizowaną na figury doskonale znane z kościołów...

POWODY SĄ JASNE

Dlaczego Matka Boża jest atakowana? To oczywiście – dlatego że trwa wielka antychrześcijańska rewolucja, rewolucja antymoralna, a Matka Boża w wielu miejscach świata wciąż pozostaje symbolem chrześcijaństwa. A z całą pewnością pozostaje symbolem katolicyzmu (protestanci w większości nie otaczają Maryi podobnym kultem jak my), którego zniszczenie wciąż jest głównym celem światowej rewolucji.

Matka Najświętsza pozostaje zaś symbolem wszystkiego, co przeciwne rewolucji. Wszystkiego, czego rewolucjoniści nienawidzą. Przykład?

Oni nienawidzą Kościoła – pragną jego zniszczenia, totalnej destrukcji lub przynajmniej solidnej dekonstrukcji, gdyż katolickie nauczanie (oraz, na głębszym poziomie, sakramenty) stoi na przeszkodzie rewolucji. A Maryja? Ona jest Matką Kościoła – gdyż jest Matką Chrystusa, a Kościół to przecież Jego Mistyczne Ciało.

Oni nienawidzą kobiet – mimo że mówią coś zgoła innego, oczywiście jest, iż chcą zniszczyć kobiecość w normalnym rozumieniu tego słowa. A Maryja? Maryja jest kobietą. Jest najdoskonalszą istotą stworzoną przez Boga – koroną stworzenia. Jedynym człowiekiem wziętym do nieba przez Boga razem z ciałem. W niej zamieszkał Bóg.

Oni nienawidzą macierzyństwa – promują aborcję, antykoncepcję, sterylizację i inne metody zmierzające do wygodnego rzekomo, pozbawionego obowiązków życia. A Maryja? Jest Matką i dzięki temu właśnie, że matką się stała, została wywyższona ponad wszystkich innych.

Oni nienawidzą czystości – promują kulturę rozwiązłości i wulgarności, seksualizują dzieci od przedszkola, produkuje ogromną liczbę pornografii, pragną kultury seksu bez zobowiązań, wolnej miłości i innych bezceństw. A Maryja? Ona jest czysta. Pozostaje wręcz wzorcem czystości. Pozostaje czysta nawet mimo małżeństwa i mimo rodzicielstwa.

Oni nienawidzą wiary – uważają, że światem rządzą materia i racjonalizm. Kpią sobie z istnienia Boga, z jakiegokolwiek duchowości wykraczającej poza parabuddyjską medytację przyrody. A Maryja? Jest wierząca i jest wierna. Jest wierząca do tego stopnia, że oddaje swoje życie Bogu, że staje się pierwszą pośredniczką między ludźmi a Chrystusem na kartach Pisma Świętego, gdy w imieniu weselników prosi, by w Kanie nie zabrakło wina, a potem sugeruje im, by czynili wszystko, cokolwiek On im powie.

I to do niej do dziś udają się z prośbami ci spośród ludzi, których od wiary nie udało się jeszcze oderwać.

I tak będzie jeszcze długo.

A potem ukaże się wielki znak na niebie: Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu.

Lex nonsens



Łukasz Warzecha

„Lex Kamilek”, jak nazwano ustawę stworzoną po głośnej sprawie śmierci dziecka zakatowanego przez opiekunów, to skrajny przykład patologicznego i demagogicznego aktywizmu prawnego

Ustawa „lex Kamilek” nakłada na setki tysięcy ludzi i podmiotów liczne absurdalne obowiązki, a jej ubocznym skutkiem będzie destrukcja normalnych relacji między ludźmi i umocnienie lewicowej agendy. Nie jest to wytwór obecnej władzy, ale poprzedniej. Akt powstał w Ministerstwie Sprawiedliwości pod kierownictwem Zbigniewa Ziobry. Jak na ironię,

gdyby ustawa była już w mocy, nijak nie pomogłaby przywoływanemu w jej potocznej nazwie Kamilkowi.

Sprawa Kamilka z Częstochowy rozegrała się w pierwszej połowie ubiegłego roku. Chłopiec miał osiem lat. Był dręczony i katowany przez swojego ojczyma. Gdy pomoc wezwał w końcu biologiczny ojciec chłopca – pozbawiony praw rodzicielskich – było już za późno. Ośmiolatek

zmarł 8 maja 2023 r. w szpitalu. Rodzina była pod nadzorem ośrodków pomocy społecznej; zajmowały się nią sądy rodzinne w Częstochowie i Olkuszu. Skoro mimo to doszło do tragedii, to wydawałoby się, że logiczną konsekwencją powinno być sprawdzenie, co i dlaczego nie zadziałało w już istniejących procedurach. To jednak jest zawsze dla polityków bardziej kłopotliwe i przede wszystkim mniej efektywne niż przygotowanie nowego prawa, którym mogą się pochwalić.

Po śmierci Kamila w Ministerstwie Sprawiedliwości powstał błyskawicznie projekt Ustawy o zmianie ustawy – Kodeks rodzinny i opiekuńczy – oraz niektórych innych ustaw, zwany właśnie „lex Kamilek”. Ustawę Sejm uchwalił już 13 lipca, co pokazuje, w jak stachanowskim tempie pracowano nad aktem, któ-

rego zakres oddziaływania jest bardzo szeroki. W Sejmie przeciwko ustawie opowiedziały się jedynie ówczesne koła Konfederacji i Wolnościowców. Wstrzymał się jeden poseł niezależny, cała reszta – 441 osób – głosowała za. Presja była ogromna, bo przecież do głosującego przeciwko z automatu przypinano łatkę „obrońcy pedomilów” i „obrońcy gnębicieli dzieci”. Klasyka legislacyjnej demagogii.

Ustawa wprowadza zmiany dotyczące postępowania wobec dzieci w Kodeksie postępowania cywilnego, Kodeksie postępowania karnego czy w Kodeksie karnym wykonawczym. Nie te jednak regulacje są najważniejsze.

MAGICZNE PODEJŚCIE I BIUROKRACJA

Pierwszą zmianę, wskazującą, z jakiego typu sposobem myślenia mamy do czynienia, wprowadzono w Ustawie o przeciwdziałaniu przemocy domowej. Pracownik socjalny ma teraz obowiązek wypełniania kwestionariusza szacowania ryzyka zagrożenia dla życia lub zdrowia dziecka. Najwyraźniej ustawodawca doszedł do wniosku, że jeśli dorzuci pracownikom socjalnym kolejny biurokratyczny element, czyli kolejny papier do wypełnienia, to w magiczny sposób sprawi to, że skończą się zaniedbania. Trudno pojąć, co ma zmienić kwestionariusz, skoro przecież dotychczas pracownik socjalny i bez kwestionariusza powinien był stwierdzić, że zdrowie albo życie dziecka jest zagrożone, i zadziałać w odpowiedni sposób.

Identycznie magiczne podejście odnajdujemy w zmianach w Ustawie o przeciwdziałaniu zagrożeniom przestępczością na tle seksualnym. „Szczególnymi środkami ochrony małoletnich” mają być standardy ochrony małoletnich – to jeden z najgorszych i najbardziej brzemiennych w fatalne skutki elementów ustawy – oraz, uwaga, Krajowy Plan Przeciwdziałania przemocy na Szkodę Małoletnich oraz Krajowy Plan Przeciwdziałania Przestępstwom Przeciwko Wolności Seksualnej i Obyczajności na Szkodę Małoletnich. Tutaj mamy już pełny powrót do mentalności PRL-owskiej: dzieci mają chronić wypracowywane w jakimś ministerialnym departamencie „krajowe plany”.

A skoro będą obowiązkowe krajowe plany, to przecież coś trzeba będzie

w nich umieścić. Co? Czy urzędnicy zaczną planować, ile dzieci w danym roku ma paść ofiarami przestępców? Czy może będą planować następne obostrzenia i zakazy? Co w ogóle można „planować”, jeśli ustawodawca tworzy właśnie teoretycznie doskonałe narzędzie walki z dręczeniem dzieci? Przypuszczam, że tego nie wiedzieli sami twórcy ustawy, ale włożyli do niej ten punkt, bo „Krajowy Plan Tego i Owego” (koniecznie pisany wielkimi literami) brzmi wystarczająco poważnie i dostojnie.

To jednak najmniejszy wynikający z ustawy problem. Największym jest absurdalnie szeroki zakres osób, które zostają objęte wynikającymi z ustawy obowiązkami oraz ograniczeniami. Dotyczy to pracodawców i organizatorów, pracowników oraz wszelkich innych osób dopuszczających do działalności związanej z wychowaniem, edukacją, wypoczynkiem, leczeniem, świadczeniem porad psychologicznych, rozwojem duchowym, uprawianiem sportu lub realizacją innych zainteresowań przez małoletnich lub z opieką nad nimi.

Mało tego – obowiązek stworzenia standardów ochrony małoletnich dotyczy placówek i organizatorów działalności oświatowej, opiekuńczej, wychowawczej, resocjalizacyjnej, religijnej, artystycznej, medycznej, rekreacyjnej, sportowej lub związanej z rozwijaniem zainteresowań, do której uczęszczają albo w której przebywają lub mogą przebywać małoletni, a także wszelkie podmioty świadczące usługi hotelarskie, turystyczne i zakwaterowania zbiorowego.

MILIONY DO BUDŻETU

W praktyce ustawą zostały objęte dziesiątki tysięcy podmiotów, nie tylko tych, które z zasady są przeznaczone dla dzieci, lecz także tych, gdzie „mogą przebywać małoletni”. Konsekwencje takich zapisów są gigantyczne. Ustawa objęła nie tylko, co oczywiste, wszelkie placówki edukacyjne, lecz także: uniwersytety (mogą być studenci niepełnoletni), wszelkiego rodzaju domy kultury, koła zainteresowań, inicjatywy parafialne, ogniska muzyczne, muzea, placówki kultury (przecież nawet filharmonie się tu łapią!), sale zabaw, kina i teatry. Wszystkie te podmioty muszą teraz mieć swoje standardy ochrony małoletnich, a więc powstaje ogromny rynek

na tworzenie fikcyjnych dokumentów i organizowanie szkoleń. Rynek wart grube miliony złotych.

Na „lex Kamilek” zarobi też spore pieniądze budżet państwa, ponieważ radykalnie zwiększa się grupa ludzi, od których wymaga się przed przyjęciem do pracy albo przed dopuszczeniem do pracy z niepełnoletnimi zaświadczeń z Krajowego Rejestru Karnego; pracodawca lub organizator muszą natomiast sprawdzić te osoby w rejestrze przestępców na tle seksualnym. Ten ostatni obowiązek pracodawcy zaczęli zresztą wbrew ustawie zrzucac na pracowników. Zaświadczenie z KRK kosztuje 20 zł w przypadku pobierania on-line i 30 zł w formie papierowej.

W Polsce jest blisko 100 tys. samych nauczycieli akademickich, prawie 1 tys. muzeów – a w każdym z nich zapewne przynajmniej pięć osób mających kontakt ze zwiedzającymi, a więc również z dziećmi; niemal 4 tys. domów kultury, z których w każdym jest prawdopodobnie przynajmniej kilka osób mających rutynowo kontakt z dziećmi. Mówimy więc o przychodach resortu sprawiedliwości z wydawania zaświadczeń o niekaralności liczonych prawdopodobnie w dziesiątkach milionów złotych. Według relacji osób zobowiązanych do przedstawiania zaświadczeń na korytarzach sądów ustawiają się w tej sprawie gigantyczne kolejki.

Jak to zwykle bywa w takich wypadkach – dokładnie z tym samym zjawiskiem mieliśmy do czynienia w przypadku RODO – w Polsce panuje niebezpieczne przeświadczenie o konieczności posiadania duplikaty. To oznacza, że przyjmuje się radykalnie rozszerzającą interpretację każdego przepisu. Dlatego okazuje się, że zaświadczenia muszą dostarczać nie tylko osoby z zasady mające kontakt z dziećmi, lecz także np. sędziowie sportowi (bo przecież sędziują także mecze z udziałem niepełnoletnich), wolontariusze w hospicjach czy nawet szatniarze w domach kultury.

Komentarz jednego z widzów mojego kanału: „W niedzielę rozmawiam z proboszczem parafii, w której wraz z kilkoma rodzicami prowadzimy zespół muzyczny dla dzieciaków. Jako wszyscy prowadzący musimy przedstawić zaświadczenia o niekaralności.

■ Pani Maria, emerytka, która opiekuje się kościołem, dba o świeże kwiaty, aby komże ministranci odkładali na miejsce – zaświadczenie o niekaralności. Pełnoletni ministranci – zaświadczenie o niekaralności”.

Inny widz: „Pracuję w korporacji, która współpracuje z fundacją wspomagającą rozwój młodzieży. W związku z tą współpracą od czasu do czasu odwiedzają nas dzieciaki w różnym wieku. Ostatnio, tuż przed wakacjami, mieli nas odwiedzić ósmoklasiści, żeby zobaczyć, jak wygląda praca w międzynarodowej korporacji zajmującej się inwestycjami. Jako osoba oprowadzająca musiałem przedłożyć dyrekcji szkoły zaświadczenie o niekaralności”.

Pracownik jednego z państwowych muzeów – bynajmniej nie o dziecięcej tematyce – opowiada mi, że w ramach dość szczupłego zespołu trzeba będzie teraz wydzielić „specjalistę” od spraw małoletnich, którego z kolei trzeba będzie posyłać na szkolenia. Ktoś inny musi stworzyć na odczepnego standardy, których wymaga ustawa, więc zamiast zajmować się pracą merytoryczną, będzie musiał poświęcić godziny pracy na konstruowanie dokumentu, który i tak niczego nie zmienia.

Ustawa nie oszczędza też obywateli. Ci mają przedstawiać zaświadczenia z rejestrów karnych własnych państw. Mało tego – jeśli dana osoba, czy to Polak, czy obywatel, zamieszkiwała w ciągu ostatnich 20 lat w innych krajach niż Polska, to musi przedstawić zaświadczenia z rejestru każdego z tych krajów.

BURZENIE RELACJI

Jak widać, budowany jest gigantyczny system fikcyjnego, za przeproszeniem, dupokrycia, który będzie mieć fatalne skutki. Wiele instytucji wycofa się z pracy z dziećmi lub zakaze im wstępu. Skoro generuje to absurdałne dodatkowe obowiązki, a dana instytucja, fundacja czy ośrodek nie są specjalnie skierowane do niepełnoletnich, a jedynie okazjonalnie mogą tam oni przebywać, to najprościej jest zabronić im wstępu i mieć kłopot z głową.

Choć większość przepisów obowiązuje od lutego, to obowiązek dotyczący tworzenia standardów ochrony małoletnich wszedł w życie 15 sierpnia. Wiele

placówek edukacyjnych opracowało je wcześniej – a lektura robi przynębiające wrażenie. Wątpliwe, aby projektodawcy „lex Kamilek” – teoretycznie przecież wywodzący się z „prawicy” – rozumieli, jakie będą skutki ich twórczości.

Tymczasem standardy w większości przypadków burzą normalne relacje między dziećmi a dorosłymi. Powtarzają się w nich takie postanowienia jak: zakaz kontaktowania się z dziećmi z prywatnego telefonu dorosłego, a nawet prywatnego adresu e-mailowego – a więc wychowawca klasy nie może napisać do ucznia czy do niego zadzwonić, bo przecież nauczyciele nie mają służbowych telefonów, a trener drużyny sportowej

Przez nowe prawo wiele instytucji wycofa się z pracy z dziećmi lub zakaze im wstępu

nie może utworzyć grupy na WhatsAppie ze swoimi niepełnoletnimi zawodnikami; zakaz wchodzenia z dzieckiem w kontakt fizyczny – a więc wychowawcy nie może już w podstawówce przytulić zestresowanego pierwszaka (nie wiadomo, co z przedszkolami); zakaz przebywania dorosłego z dzieckiem sam na sam w zamkniętym pomieszczeniu – czyli aby przepytac poprawkowo ucznia w szkole, nauczyciel musi mieć świadka albo pracować przy otwartych drzwiach. W niektórych standardach łaskawie zezwolono na kontakt fizyczny, np. w przypadku konieczności rozdzielenia bijących się uczniów.

Standardy idą w kierunku najgorszych wokeistowskich, lewackich wzorców. Nie tylko radykalnie przeregulują to, co powinno być oparte na naturalnie tworzonej relacji, zdrowym rozsądku, obyczajowi, lecz także na domiar złego wtłaczają ludziom do głów podejrzenie, że każdy kontakt dziecka z dorosłym jest z samej swojej natury podejrzany, skoro trzeba go obwarowywać takimi zakazami. Stworzone przez rząd Zjednoczonej Prawicy „lex Kamilek” w ciągu niecałego roku osiągnęło to, na co lewactwo pracowało latami – dotąd bezskutecznie.

Rodzynkiem na torcie są obowiązki, które narzucono wszelkim podmiotom prowadzącym usługi zakwaterowania. W ramach obowiązkowych standardów muszą one stworzyć „zasady i procedury identyfikacji małoletniego przebywającego w obiekcie hotelarskim i jego relacji w stosunku do osoby dorosłej, z którą przebywa w tym obiekcie”. Ustawa nie różnicuje obiektów, więc dotyczy to również wszelkich kwater, gdzie dostęp dla gościa jest bezkontaktowy. Nie ma recepcji, klucze odbiera się ze skrytki. Nie wiadomo, jak tego typu obiekty miałyby zrealizować ustawowy wymóg.

Z zapisu wynika, że przyjmujący, a więc np. recepcjonista w hotelu, ma wypytywać gościa o jego relację z towarzyszącymi dziećmi. Tyle że pracownik hotelu nie ma do tego żadnej legitymacji, jest prywatną osobą, goście odbierają to jako wkraczanie w ich prywatność, a ustawa oczywiście nie mówi, co zrobić, jeżeli gość takiej informacji nie udzieli. Być może trzeba wezwać policję.

Cały ten bałagan można by skwitować stwierdzeniem, że dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło. Jednak sprawa jest wbrew pozorom poważna, a skutki ustawy daleko idące. To nie tylko zaprzęgnięcie setek tysięcy, może nawet milionów ludzi do całkowicie zbędnych zadań – to przede wszystkim instytucjonalne zasianie przekonania, że w stosunkach pomiędzy dziećmi a dorosłymi z samej zasady jest coś podejrzanego i dlatego trzeba je od A do Z uregulować.

Jak na ironię dokładnie w momencie, gdy wszedł w życie wymóg stworzenia standardów ochrony małoletnich, w pensjonacie w Białym Dunajcu ojciec zamordował swojego 14-letniego syna. Żadna z regulacji zawartych w ustawie nie mogłaby temu zapobiec, a właścicielka pensjonatu zachowała czujność po prostu na podstawie swojej intuicji i zdrowego rozsądku, bez jakichś standardów czy regulacji.

Nie trzeba być profetą, żeby wiedzieć, że „lex Kamilek” niczego nie zmienia. To podobnie jak z ustawową walką z alkoholizmem: alkoholik zawsze sobie poradzi i podobnie tutaj – pedofil czy dziecięcy kat zawsze osiągną cel. Niestety, wówczas politycy zapewne stwierdzą, że trzeba uchwalić „lex Kamilek 2”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Różne upamiętniania

Warszawa w latach 1939–1945 przechodziła różne koleje losu. Bohaterska obrona we wrześniu 1939 r. najbardziej została upamiętniona na Ochocie, gdzie powstrzymane zostały wojska niemieckie usiłujące przedostać się do miasta od strony południowej. W innych miejscach nie ma co szukać odpowiednich oznaczeń.

Likwidacja getta w kwietniu–maju 1943 r. i jego krótkotrwała obrona, podniesiona do rangi powstania, zostały upamiętnione bardzo szybko. Tu komuniści nie stawiali przeszkód, wprost przeciwnie. Pierwszy pomnik getta stanął już 16 kwietnia 1946 r., jego dzisiejszy kształt zaistniał 19 kwietnia 1948 r., pięć lat po wydarzeniach.

Z Powstaniem Warszawskim było inaczej. Wprawdzie organ reżimowy „Rzeczpospolita” (jego założycielem i redaktorem naczelnym był Nioma Goldberg vel Jerzy Borejsza) 19 kwietnia 1945 r. lansował tezę, że „ożyła trzykrotnie okaleczona Warszawa. Po latach stanie znowu zbudowana na fundamencie ciał i kości polskich i żydowskich jej obrońców, bohaterów 39, 43 i 45 roku”. Miejsca dla Powstania Warszawskiego już wówczas nie było.

Jego upamiętnienia nie można było jednak całkiem zignorować, przynajmniej w początkowym okresie Polski Ludowej. Komuniści pozwolili na postawienie skromnego pomnika Gloria Victis, ale na

cmentarzu Powązkowskim. W ich interpretacji miał on oddawać hołd mitycznemu „ludowi Warszawy”, ale szybko stał się miejscem milczących manifestacji byłych żołnierzy AK. Krótki przełom nastąpił w 1957 r., gdy na cmentarzu doszło do ogromnego zgromadzenia uczestników powstania. W następnych latach inwigilacja i represje komunistyczne doprowadziły do stłumienia wystąpień, hołd oddawano powstańcom milcząco i już na mniejszą skalę, choć cmentarz i kwatery powstańcze odwiedzały tłumy ludzi – nie tylko w kolejne rocznice 1 sierpnia.

Przełom nastąpił 1 sierpnia 1989 r., został odsłonięty monument na Starym Mieście. Ekipa Jaruzelskiego walczyła już tylko, aby to był pomnik bohaterów powstania, a nie wszystkich jego uczestników. Sprawą haniebną jest to, że jedna z reprezentacyjnych ulic Warszawy do dziś nosi miano „aleja Armii Ludowej”! Ta nieliczna komunistyczna organizacja zdawała sobie sprawę, że w Warszawie może dojść do zrywu niepodległościowego, ale miała swoją wizję przyszłych wydarzeń. Komuniści uważali, że w chaosie pierwszych walk będą mogli bezkarnie „trzepnąć”... ten i ów „oddział reakcyjny”. Ale to jeszcze nic. O tym, kogo będą mieli przed sobą, określali tak: „siły wroga: faszyści niemieckiego i polskiego”. I dlatego mają nieusuwalną aleję w Warszawie, a np. alei NSZ ciągle brak. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Prawda o „Małym Rycerzu”

Jerzy Wołodyjowski (a nie Jerzy Michał) podczas oblężenia Kamieńca Podolskiego miał już ponad 50 lat. Poświęcił się służbie wojskowej, ale ze względów finansowych przez wiele lat nie osiągnął wyższych stanowisk. Sytuację zmieniło dopiero małżeństwo z zamożną Krystyną (a nie Basią) Jeziorowską. W charakterystyce tej postaci Sienkiewicz najbardziej rozminął się z prawdą historyczną.

W chwili zamążpójścia za Wołodyjowskiego (w 1662 r.) pani Krystyna miała 40 lat i zdążyła już pochować trzech mężów. Okazała się jednak właściwą partnerką dla Jerzego, a środki finansowe wniesione przez nią do małżeństwa zapewniły mu karierę. Jej kres nastąpił 10 lat później, gdy wybuchła wojna polsko-turecka. Głównym celem armii padyszacha był Kamieniec Podolski, a obrona twierdzy trwała zaledwie 12 dni. Cudów waleczności dokonywał Wołodyjowski, prowadząc wycieczki na wroga i dodając otuchy obrońcom. Pułkownik wołał jednak w walce wykorzystywać broń palną niż używać szabli – szermiercze przewagi Jerzego są literacką fantazją Sienkiewicza.

26 sierpnia 1672 r. rozegrał się ostatni akt dramatu twierdzy i jej obrońców. Saperzy tureccy podminowali zamek i na murach pojawiły się białe flagi. Podpisano honorową

kapitulację. Kamieniec miał zostać wydany muzułmanom, ale każdy mógł opuścić twierdzę, a żołnierze zachowywali uzbrojenie i ekwipunek. Tym, którzy pozostaną w Kamieńcu, Turcy gwarantowali nietykalność osobistą i majątkową.

Po podpisaniu kapitulacji Wołodyjowski udał się na Stary Zamek, aby dopilnować zachowania porządku przez ewakuujące się oddziały. I wówczas doszło do potężnej eksplozji, która zniszczyła znaczną część bastionów obronnych. To dowódca zamkowej artylerii, mjr Heyking, bez porozumienia z kimkolwiek (niewykluczone, że przypadkowo) wysadził się w powietrze wraz z 200 beczkami prochu. Cegły i kawałki murów posypały się daleko, raniąc i zabijając zaskoczonych obrońców. Wybuch i wstrząs były tak silne, że wypaliły naładowane armaty zamkowe, siejąc śmierć i zniszczenie. Jeden z kartaczy (według innych informacji cęgła) trafił w głowę Wołodyjowskiego, zabijając go na miejscu.

Krystyna Wołodyjowska przeżywała wówczas na Litwie. Do swego majątku nie chciała wracać, Podole znalazło się pod panowaniem Turcji. Energiczna kobieta nie zamierzała jednak marnować życia i wyszła za mąż piąty raz! Tym razem jej wybrańcem został pisarz podolski Franciszek Dziewanowski – jedyny z mężów pani Krystyny, który ją przeżył. ©©



Marek Klecel

Siedemdziesiąt lat temu, 23 sierpnia 1954 r., zginął w Łomżyńskim w potyczce z komunistycznymi służbami mjr Jan Tabortowski „Bruzda”, ostatni oficer zawodowy przedwojennego Wojska Polskiego. Nie miał jeszcze 50 lat. Jedną z najśmielszych akcji mjr. Tabortowskiego, akcji brawurowej i całkowicie udanej, było uratowanie Franciszki Ramotowskiej. Łączniczki „Iskry”, która nigdy nie dała się złamać

W 1963 r. odbywały się oficjalne obchody stulecia powstania styczniowego. Władze PRL dopuściły je dość niechętnie, ale zgadzały się, bo powstanie, podobnie jak rewolucja październikowa, zostało uznane za walkę z carskim despotyzmem. Wśród wielu historyków, którzy na zjeździe przypomnieli dzieje i dziedzictwo powstania, obok najbardziej zasłużonego prof. Stefana Kieniewicza znalazła się także historyk i archiwistka Franciszka Ramotowska. Nie była ona jednak szeregowym akademickim historykiem. Miała za sobą fatalną jak na PRL przeszłość wojenną, a później powojenną.

ŁĄCZNICZKA „ISKRA”

W czasie partyzanckiej wojny podczas zmieniającej się okupacji niemieckiej i sowieckiej wstąpiła do medycznej służby kobiet i była sanitariuszką oraz łączniczką w oddziale mjr. „Bruzdy”. Oddział ten działał w okolicach Łomży w mało dostępnych rejonach mokradeł nad Biebrzą; pod koniec wojny stacjonował w uroczysku Kobielno. Współdziałał wtedy nawet z oddziałem spadochroniarzy sowieckich w ramach akcji „Burza”, ale po nalotach niemieckich na tereny opanowane już przez Armię Czerwoną został podstępnie



Franciszka Ramotowska, lata 60. XX w.
FOT. IPN

Wierna do końca

rozbrojony, a jego żołnierze aresztowali. Dowódcy i Franciszka, która oprócz przybranego nazwiska Antonina Rutkowska nosiła pseudonim Iskra, udało się umknąć. On odtąd ukrywał się, ona wyjechała do Białegostoku, gdzie zamieszkała przy rodzinie znajomej koleżanki szkolnej.

Miała 23 lata, gdy na początku 1945 r. została wytropiona przez służby NKWD i UB. Wydał ją partyzant z oddziału „Bruzdy” Hipolit Waniewski „Huzar”, który już wcześniej miał kontakty z NKWD i „wystawiał” im swego dowódcę. „Iskra” ratowała wcześniej „Huza-ra” po ciężkim postrzale w potyczce z Niemcami. Aresztowano ją w połowie stycznia. „To ta mniejsza” – wskazał „Huzar”, gdy wkroczył do mieszkania po nocy na czele oddziału NKWD. Poprowadzono ją w konwoju do białostockiego więzienia. W więzieniu śledztwie, które rozpoczęli sowieccy i polscy już funkcjonariusze, chciano wydobyć informacje o mjr. „Bruździe”, który był inspektorem Okręgu AK Łomża – Suwałki, i o „Mści-sławie”, płk. Władysławie Liniarskim, komendancie ZWZ-AK rejonu Białystok. Wypytywano o ich działalność i miejsce pobytu. Nie mogła nic wiedzieć o tym, wszystko odbywało się w konspiracji, a ona była jedynie sanitariuszką i łączniczką. Chodziło więc nie tylko o wydobycie zeznań, lecz także złamanie więźnia i nakłonienie go do współpracy.

Śledztwo wobec młodej dziewczyny było tak samo brutalne jak wobec mężczyzn. Od razu została ciężko pobita, gdy powiedziała, że nic nie wie o majorze. Dwóch oprawców biło ją i kopało z dwóch stron. Kiedy połała się krew z ust oraz nosa i zasłabła, otręźwiono ją zimną wodą. Później przejął ją wyższej rangi oficer, pozorujący lepsze traktowanie. Niczego nawet nie mogła zdradzić, bo wiedziała tyle co oni. Nie należała do żadnej wrogiej organizacji, służyła jako sanitariuszka. Śledztwo trwało cały dzień, oficerowie się zmieniali. „Postanowienie miałam jedno: niczego nie powiem pomimo najstraszniejszych cierpień, możliwość uległości nie wchodziła w ogóle w rachubę. Byłam przekonana, że zginę. Ale nikogo nie wydám”.

SKOK W PRZEPAŚĆ

Zatrzymała w pamięci te najstraszniejsze przeżycia, które nastąpiły w nocy,

gdy Sowieci prowadzili najcięższe przesłuchania. Oficer śledczy chwycił ją i chciał zgwałcić. Gdy mu się wyrwała, rozwścieczony zaczął krzyczeć i grozić większymi torturami. Gdy na chwilę wyszedł do sąsiedniego pokoju, Franciszka zdecydowała się na desperacką ucieczkę: „Przyciągnęłam bardzo ciężkie biurko do wysokiego okna, na biurko postawiłam równie ciężki skórzany fotel (wstąpiła we mnie niezwykła siła!) i w okamgnieniu stanęłam na parapecie – nie z myślą popełnienia samobójstwa, lecz ucieczki”. W tym momencie wrócił oficer z pałąk w rękę i rzucił się z wściekłym rykiem do okna. Franciszka z trudem rozbiła grubą szybę: „Zwyciężyłam! Skoczyłam w przekonaniu, że ucieknę (było to drugie lub

**Skatowali ją, łamiąc jej nogę i wybijając zęby.
„Ból tamował mi oddech;
wiedziałam, że mnie zabiją”**

trzecie piętro). Ziemia przyciągnęła mnie z ogromną siłą, czułam się jak najcięższy głaz. Widziałam przechodniów. Upadłam na chodnik przed stojącego strażnika”.

Funkcjonariusze chwycili ją i zawlekli z powrotem na górę, kopiać po drodze i złorzecząc, wrzucili do pokoju, gdzie czekał na nią rozwścieczony oficer. „Bił mnie drągiem i kopał leżącą na podłodze, ob-rzucał obelgami, plugawymi wyzwiskami, przekleństwami, pluł w twarz i charcząc, pytał o miejsce przebywania »Bruzdy« i »Mściśława«”. Skatowali ją, łamiąc jej nogę i wybijając zęby: „Ból tamował mi oddech; wiedziałam, że mnie zabiją, ale odczuwałam wielki triumf. Pozostałam niepodległa. Słona krew w ustach otrzeź-wiała mnie. Modliłam się żarliwie...”.

W końcu oficer stwierdził: „Użę pa-dachła, wybrasił polskuju ruku w jamu”. Zniesiono ją do piwnicy i zsucono na beton. Znalazł się ktoś miłosierny i za-uważywszy, że żyje, podłożył jej koc pod plecy. Dopiero wtedy poczuła gwałtowny ból, miała połamany kręgosłup. Następnego dnia przewieziono ją do rosyjskiego szpitala wojskowego. Lekarze zastosowali bardzo bolesny zabieg wyciągu za pomocą pasów obciążonych cegłami.

Przez kilka tygodni leżała na wznak wyprężona i cierpiąca do granic wytrzymałości.

Po dwóch miesiącach przewieziono ją na noszach odkrytą ciężarówką do innego szpitala wojskowego. Dostała zapalenia płuc i ledwie przeżyła. Zawiadomiona rodzina, matka i siostra Stanisława, mogła ją już odwiedzić i opiekować się lepiej niż szpitalny personel. Któregoś dnia pojawił się jej gimnazjalny kolega, również partyzant z oddziału mjr. „Bruzdy”, i pilnie oglądał rozkład sali i jej wyposażenie. To ją bardzo podniosło na duchu, zobaczyła, że nie została opuszczona, pozostawiona samej sobie.

BRAWUROWA AKCJA

Któregoś dnia pod koniec kwietnia 1945 r. do sali szpitalnej, gdzie leżała Franciszka, wszedł o zmroku dwóch sanitariuszy z noszami. Przełożyli ją z łóżka na nosze i wynieśli z sali. Krętymi schodami schodzili szybko w dół. Powstał kłopot, bo jeden z uchwytów noszy był złamany. Nie mogli przyspieszyć. Na dole ruszyli biegiem do furgonetki, która stała na podwórzu szpitala. Rozległy się dźwięki alarmów. Przy samochodzie Franciszka zauważyła wśród kilku mężczyzn mjr. „Bruzdę”. Wniesiono ją do samochodu, ktoś wręczył jej ampułkę z trucizną. Samochód z majorem za kierownicą ruszył w największym pośpiechu przez ulice miasta. Za miastem zatrzymał się, wsiadła do niego siostra Franciszki, Stanisława, która odtąd się nią zajmowała. Jeszcze po sporym kawałku drogi przeniesiono Franciszkę na wóz chłopski i w ten sposób dojechała do brzegu Narwi. Tam przeniesiono ją do łodzi, która przepłynęła na drugi brzeg w okolicach Wizny.

Była to jedna z najśmielszych akcji mjr. Tabortowskiego, akcji brawurowej i całkowicie udanej. Franciszkę przewieziono najpierw w rodzinne strony koło Łomży, ale później zapadła decyzja, że musi pojechać na dalsze leczenie do Warszawy; jej zły stan zdrowia groził stałym inwalidztwem. Pojechała znów chłopskim wozem do stolicy, powoził partyzant o pseudonimie Ryba, najbliższy współpracownik mjr. „Bruzdy”. Towarzyszyła jej nieodłączna już odtąd siostra Stanisława. Dotarli bezpiecznie do Warszawy i długo błądzili wśród gruzów

■ zrujnowanej stolicy, zanim dotarli na Pragę, gdzie Franciszka miała trafić do umówionego szpitala. W szpitalu dostała się pod opiekę prof. Wiktora Degi, który doprowadził ją do takiego stanu, że już kilka miesięcy później, w końcu 1945 r., mogła zdawać na Uniwersytet Warszawski. Studiowała dzięki opiece siostry i pomocy koleżanek ze studiów. Zamieszkała u sióstr Józefinek przy ulicy Wilczej, które w tych bardzo ciężkich warunkach powojennych prowadziły dom noclegowy i stołówkę.

ŚCIGANA I OSACZANA

Sowieckie służby NKWD i polskie UB nie zapomniały o porwaniu i ucieczce „Iskry” z pomocą mjr. „Bruzdy”, co było zapewne dużą zniewagą dla powagi wojennych zwycięzców. Dopiero rozpoczęła się walka znów zbrojna o wprowadzenie systemu sowieckiego w Polsce i bezwzględna likwidacja partyzantki teraz już antykomunistycznej. Franciszka studiowała pod przybranym nazwiskiem Antoniny Rutkowskiej ze zdrobnieniem imienia Tola i nie zauważała najpierw jakichś objawów zainteresowania jej osobą. Dopiero pod koniec studiów spostrzegła, że jest obserwowana. Widać wpadli na jej trop. Studia skończyła w 1950 r., a w następnym podjęła pracę w Archiwum Głównym Akt Dawnych.

Któregoś dnia w 1951 r. przed gmach Archiwum przy ulicy Długiej zajeżdżał czarny samochód i wysiadło z niego dwóch tajniaków. Gdy Franciszka wyszła z pracy, podeszli do niej, a jeden z nich odezwał się pytająco: „Iskra Tola Franciszka Ramotowska?”. Wiedziała już, że została „rozpracowana”. Wciągnęli ją siłą do samochodu i powieźli na przesłuchanie na ulicę Różaną. Śledztwo trwało nieprzerwanie ponad dobę bez snu, jedzenia i picia. Wypytywali ją o przebieg ucieczki, jej organizację, ludzi, kontakty, gdzie się ukrywała, oczywiście także o mjr. „Bruzdę”, który był nadal ścigany. Mogła się domysleć, że nie został złapany. Podobnie jak poprzednio odmówiła wszelkich odpowiedzi, a także wszelkiej współpracy w ujęciu majora, bo takie propozycje też padły.

Odtąd wiedziała, że nie będzie miała spokoju, że jej nowe życie tak będzie wyglądać, że będzie nękana i osaczana w całym jej nowym środowisku. Odtąd



była wzywana stale na przesłuchania, nieraz kilka razy w tygodniu, stale ktoś za nią chodził, pokazywano jej, że każdy jej krok będzie śledzony i kontrolowany przez władze. Chodziło o to, by doprowadzić do załamania psychicznego, rezygnacji i uległości, wreszcie zgody na współpracę.

PRZYGODA NA MARIENSZTACIE

Franciszka przygotowała się do życia w dalszej walce, do kolejnych represji i szykan. Nosiła stale ze sobą podręczny bagaż z najbardziej niezbędnymi rzeczami na wypadek zatrzymania i aresztowania. Było to uciążliwe ze względu na trwały uraz kręgosłupa, pomagały jej siostra lub zaufane koleżanki z pracy. Inwigilacja była już całkiem jawna, tajniacy podchodzili do niej na ulicy, odsuwali towarzyszącą jej osobę i wypytывali Franciszkę stale o te same sprawy. Nie

W tej czarnej dla Franciszki rzeczywistości PRL najgorsze chwile pomagała jej przetrwać żarliwa wiara

chodziło już o zdobycie informacji, lecz pokazanie, że będzie tak właśnie stale traktowana, osaczana i wykańczana. Tajniacy zmuszali ją do odbywania rozmów, zaciągali do kawiarni, gdzie rytualnie dopytywali o majora, o którym nie mogła nadal nic wiedzieć.

Któregoś zimowego wieczoru tajniak zaciągnął ją nad Wisłę koło Mariensztatu i trzymał na mrozie przez całą noc. Była ubrana tylko w lekki strój. Chodzili bez końca brzegiem rzeki, którą spływały, jak zapamiętała, lodowe kry. Była to więc

Franciszka Ramotowska z mjr. Janem Tabortowskim, uroczysko Kobielno, 1944 r. FOT. IPN



przebywała. Herbert mieszkał niedaleko, na ulicy Wiejskiej, i często przychodził do sióstr, i u nich zapewne poznał charakterystyczną, naznaczoną już jakimś piętnem cierpienia dziewczynę.

Naturalnie trudno przesądzać, jaka to była znajomość, na czym polegała, jakie uczucia połączyły te osoby; jeśli Herbert był wylewny w swych uczuciach i chętnie je demonstrował, to było w tym trochę pozy, a Franciszka była powściągliwa i nie objawiała szybko swych uczuć. Była też ostrożna, zapewne nie zwierzała się otwarcie ze swej przeszłości. Nawet jeśli była to tylko przyjaźń, to trwała i długoletnia. W swym debiutanckim tomie poetyckim pt. „Struna światła” z 1956 r. Herbert napisał jej taką dedykację: „Pani Franciszce Marii Ramotowskiej w dowód przyjaźni, pamiętającej jeszcze powstanie styczniowe – wdzięczny autor”.

„PAMIĘTAJĄCA POWSTANIE STYCZNIOWE”

To oczywiście licencja poetycka, bo Franciszka nie mogła pamiętać powstania, ale dobrze oddaje to, czym się interesowała i czym miała się później zająć naukowo. Musieli o tym rozmawiać i Herbert mógł się domyślać z niedomówień Franciszki o jej przeszłości wojennej. Echo tych rozmów mogło znaleźć się później w wierszu „Wilki”, w tych pierwszych jego wersach: „Ponieważ żyli prawem wilka / historia o nich głucho milczy”. Franciszka żyła prawem wilka nie tylko w czasie wojny, lecz także po niej przez cały okres PRL. Żyła stale w konspiracji, PRL był dla niej nieustającym stanem wojennym. Nękano ją i nachodzono do 1989 r., zwłaszcza w „przełomowych miesiącach” PRL i w stanie wojennym po Solidarności. Nie przestano jej prześladować nawet po tragicznej śmierci mjr. „Bruzdy” w 1954 r., gdy ustały właściwie motywy jej ścigania. Przykład Franciszki jest dowodem zbrodniczości systemu, który nie przestawał nigdy, dopóty, dopóki trwał, ścigać ludzi uznanych raz za wrogów, nawet, gdy przestali już być dla władz niebezpieczni. Nigdy jednak nawet nie ugięła się, nie uległa, pozostała wierna sprawie. Jak w wierszu poety „Przesłanie Pana Cogito”: „ocalałeś nie po to aby żyć / masz mało czasu trzeba dać świadectwo / [...] Bądź wierny Idź”.



Jan Tabortowski FOT. IPN

Dlaczego „powstańcza”, a właściwie międzypowstańcza „łączniczka”? Była łączniczką czasów wojny i powojennej zbrojnej konspiracji, walki również powstańczej. Wracała w swej pracy do tradycji powstania styczniowego również dlatego, że jej pradziad, Konstanty Ramotowski, brał w nim udział na tych samych ziemiach. Ona sama, autorka pracy historycznej o narodzinach „tajemnego państwa polskiego” przed wybuchem powstania w 1863 r., organizacji, do której nawiązywało Polskie Państwo Podziemne w czasie drugiej wojny światowej, była również uczestnikiem takiegoż państwa. Nie zaprzestała czynnego oporu także po wojnie, gdy do walki stanęły różne organizacje antysowieckie i antykomunistyczne. Połączyła więc w swym życiu i działalności trzy zrywy powstańcze: przeciw Rosji, okupacji niemieckiej i sowieckiej, przeciw totalitar-nemu systemowi, który wprowadzano po sowiecku w Polsce. Była ofiarą, ale dała także świadectwo wytrwania, a zarazem sprzeciwu wobec nowej okupacji sowieckiej. Podtrzymywała swym wyborem decyzję dalszej walki, która była również powstaniem, rozproszonym po kraju jak powstanie styczniowe, tyle że teraz było to powstanie antykomunistyczne. Pozostała wierna do końca...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W maju 2022 r. Ukraińcy byli w euforii po wycofaniu się Rosjan z olbrzymich połaci ich kraju. Armia Putina wobec fiaska pierwotnego planu inwazji musiała się wycofać z okolic Kijowa, a także Czernihowa. Na Ukrainę napływał właśnie z Zachodu ciężki sprzęt, lada moment miały się pojawić himarsy. Kierownicze kręgi państwa ukraińskiego miały powody, by świętować. I właśnie na jednej z takich suto zakrapianych imprez miał się pojawić pomysł rodem z powieści Johna le Carré'a. Jeden z uczestników biesiady miał wówczas rzucić pomysł, że dobrze byłoby wysadzić Rosji gazociąg Nord Stream, by na stałe odciąć Moskwę od bardzo lukratywnego zachodnioeuropejskiego rynku gazu.

Według „The Wall Street Journal” tak właśnie wyglądał początek planowania operacji, która już zdążyła przejść do historii jako jedna z najbardziej śmiałych i skutecznych (a także bolesnych pod kątem gospodarczym) akcji specjalnych. Amerykański dziennik przekonuje, że wysadzenie gazociągów, które kosztowały 20 mld dol., zamknęło się w kwocie... 300 tys. dol.

„ŻELAZNA DETERMINACJA”

O potencjalnym udziale Ukraińców w tej akcji słychać już od ponad roku za sprawą przecieków z niemieckiego śledztwa. Teraz jednak „WSJ” przedstawia tę wersję w szerszym kontekście i podaje przy tym dużo zaskakujących szczegółów.

W akcji wysadzenia Nord Streamów mieli wziąć udział nurkowie wyszkoleni w bazie na Krymie, gdy półwysep był jeszcze pod kontrolą Ukrainy. Kijów dysponował tam świetnym ośrodkiem treningowym, pozwalającym nurkom na ćwiczenie na dużych głębokościach.

„Zawsze się śmieję, kiedy czytam medialne spekulacje na temat jakiejś wielkiej operacji służb specjalnych z okrętami podwodnymi, dronami i satelitami – powiedział „WSJ” ukraiński oficer zaangażowany w akcję wysadzenia gazociągów. – Wszystko to było możliwe dzięki nocnej popijawie i żelaznej determinacji garstki ludzi, którzy mieli odwagę zaryzykować życie dla swojego kraju”.

Grupa dywersantów miała wypożyczyć w Niemczech zagłówek „Andromeda” i korzystając z dostępnych dla



Piotr Włoczyk

Amerykański dziennik „The Wall Street Journal” podał sensacyjnie brzmiące kulisy zniszczenia gazociągów Nord Stream. Zdaniem ekspertów ta wersja wydarzeń wydaje się najbardziej prawdopodobna

Wyciek gazu z rurociągu Nord Stream 2 widziany z pokładu myśliwca F-16 patrolującego wybrzeże Dani.
27 września 2022 r. FOT. HANDOUT/DANISH DEFENCE/AFP/EAST NEWS

wszystkich w Internecie map pokazujących przebieg Nord Streamów, nurkowie mieli odnaleźć obie nitki (ok. 80 m pod powierzchnią) i podłożyć w odpowiednich miejscach ładunki wybuchowe. Jednym z sześciu członków załogi „Andromedy” miała być kobieta, obecna tam jedynie dla uwiarygodnienia wersji o rejsie grupy przyjaciół.

Nie udało się jednak utrzymać przygotowań w ścisłej tajemnicy. Gdy tylko informacje na temat planowanej operacji dotarły do Amerykanów, Waszyngton miał, według ustaleń „WSJ”, naciskać na administrację Wołodymyra Zełenskiego,

by ją przerwać. Ten z kolei miał rozkazać głównodowodzącemu wojsk ukraińskich, Wałerijemu Załużnemu, żeby nie wysadzać Nord Streamów. Załużny nic sobie jednak, według informacji „WSJ”, nie zrobił z polecenia głowy państwa.

Co ciekawe, amerykański dziennik twierdzi, że nie był to pierwszy plan wysadzenia rosyjsko-niemieckich gazociągów. Już bowiem po aneksji Krymu Ukraińcy mieli wstępnie zaplanować podobną operację.

„WSJ” przekonuje, że informacje pozyskane od źródeł ukraińskich potwierdzone zostały w pewnej części przez

„Andromedy”?



wyniki śledztwa prowadzonego przez Niemców. I tu pojawia się wątek polski. Nasze władze miały bowiem pozwolić Wołodomyrowi Z., poszukiwanemu przez Niemców za udział w akcji przeciw Nord Streamom, na wyjazd z Polski na Ukrainę. Mało tego – Polacy mieli też stwierdzić, że nie są w stanie pomóc Niemcom uzyskać dostępu do nagrań monitoringu portu w Kołobrzegu, gdzie zatrzymała się na pewien czas „Andromeda”, ponieważ nagrania zostały skasowane...

„Te ustalenia mogą nadszarpnąć relacje między Kijowem i Berlinem, który wspomaga znacząco w kwestiach mili-

tarnych i finansowych Ukrainę, ustępując w tej kwestii jedynie USA – pisze »WSJ«. – Niektórzy niemieccy politycy mogą chcieć przymknąć oko na dowody świadczące przeciw Ukrainie z powodu obaw przed podminowywaniem poparcia niemieckiego społeczeństwa dla wysiłków na rzecz podtrzymania ukraińskich zdolności do prowadzenia wojny. Ale niemiecka policja jest politycznie niezależna i jej śledztwo żyje własnym życiem”.

„Atak tej skali to wystarczający powód, by sięgnąć po NATO-wski instrument obrony kolektywnej, ale nasza strategicznie ważna infrastruktura została wysa-

dzona przez państwo, które wspieramy olbrzymimi dostawami uzbrojenia i miliardami w gotówce” – powiedział dziennikowi wysokiej rangi niemiecki urzędnik zaznajomiony z kulisami śledztwa.

Dzięki nowojorskiej gazecie dowiadujemy się też, że niemieccy śledczy byli zaskoczeni stanem „Andromedy” po tym, gdy Ukraińcy oddali ją w porcie w Rostocku. Żagłówka nie została przez nich wymyta, co świadczyłoby o tym, że chcieli się ewakuować z Niemiec (przez Polskę) jak najszybciej. Niemieccy śledczy znaleźli na jej pokładzie ślady materiałów wybuchowych, odciski palców oraz DNA należące do członków załogi.

DEKLARACJA BIDENA

Rewelacje przedstawione przez „WSJ” zostały generalnie uznane przez środowisko eksperckie za najbardziej wiarygodną spośród kilku wersji zniszczenia Nord Streamów, przedstawionych w ciągu ostatnich dwóch lat w światowych mediach. Oprócz sprawstwa Ukraińców rozważane były również alternatywne scenariusze: udział Rosjan lub Amerykanów (oraz ewentualnie współpracujących z nimi Brytyjczyków).

Rosyjski trop od początku wydawał się najmniej realistycznie brzmiący. Moskwa musiałaby się tu zachować jak szalenciec, który jadąc rozpędzonym autem naprzeciw innego samochodu, nagle wyrzywa kierownicę i wyrzuca ją przez okno, chcąc pokazać, że sam na pewno nie zjedzie na bok. Zdrowy rozsądek podpowiada jednak, że Rosjanie nie mieli interesu, by wysadzić własny rurociąg.

Wersję o sprawstwie USA w oczach wielu komentatorów uwiarygodniało stanowisko Amerykanów wyrażone tuż przed wojną. Gdy 7 lutego 2022 r. Olaf Scholz odwiedził Białą Dom, dziennikarka Reutersa zapytała Joe Bidena o los Nord Stream 2.

„Jeżeli Rosja dokona inwazji, tzn. czołgi i żołnierze przekroczą granicę Ukrainy, to nie będzie już Nord Stream 2. Zakończymy go” – powiedział Biden, zupełnie nie przejmując się tym, że stoi obok niego kanclerz. Niemcy zawiesiły wprawdzie proces certyfikacji ukończonego we wrześniu poprzedniego roku NS2, ale jego przyszłość wciąż – przynajmniej ze strony współfinansujących go Niemców – była otwartą kwestią.



Niemieccy śledczy za podejrzanymi w sprawie wysadzenia Nord Streamów już na początku 2023 r. uważali pięciu mężczyzn i kobietę z „Andromedy” FOT. SEAN GALLUP/CETTY IMAGES

■ Gdy jednak dziennikarka dopytała prezydenta USA, jak Amerykanie mieliby to zrobić, skoro to Niemcy kontrolują ten projekt, Biden odpowiedział krótko: „Obiecuję pani, że będziemy to w stanie zrobić”.

Nie był to pierwszy raz, gdy Biały Dom wysłał niepokojący (z perspektywy Niemców) sygnał na temat przyszłości tego gazowego projektu. Trzy tygodnie wcześniej, w połowie stycznia 2022 r., Victoria Nuland, podsekretarz stanu do spraw politycznych, powiedziała w czasie rozmowy z dziennikarzami: „Chcę jasno postawić tę sprawę. Jeżeli Rosja zaatakuje Ukrainę, to w ten czy inny sposób Nord Stream 2 nie zostanie uruchomiony”.

W lutym 2023 r. tę wersję podparł swoim autorytetem Seymour Hersh, legendarny amerykański dziennikarz śledczy. Cały jego tekst opierał się właśnie na tym – renomie jego nazwiska. Hersh miał bowiem tylko jedno źródło, które przedstawiło w rozmowie z nim cały scenariusz amerykańskiego ataku na Nord Stream. Dziennikarz zaufał źródłu, pisząc swój tekst, jednak największe amerykańskie redakcje uznały, że taki artykuł nie daje odpowiedniej gwarancji jakości, i nie zdecydowały się opublikować go na swoich łamach. Dlatego ostatecznie Hersh wypuścił tekst na swoim blogu. Możemy w nim przeczytać, że amerykańscy specjaliści współpracowali w tej kwestii z Norwegami, a ładunki zostały podłożone podczas odbywających się we wrześniu 2022 r. na Bałtyku

NATO-wskich ćwiczeń „BALTOPS”. Nawet dla laika zastanawiająca wydawała się jednak podana przez Hersha informacja, że amerykańscy decydenci przez kilka miesięcy podczas planowania całej operacji uważali, iż 48 godzin to wystarczająco długa przerwa między podłożeniem ładunków a detonacją. Rzekomo w ostatniej chwili Biały Dom doszedł do wniosku, że zniszczenie gazociągów zaledwie dwa dni od zakończenia w tym rejonie morza NATO-wskich ćwiczeń może wyglądać zbyt podejrzanie. I – jak pisze Hersh – amerykańscy decydenci postanowili znacząco wydłużyć ten przebieg czasowy...

PUTIN WOLI AMERYKANÓW

Gdy tylko na początku 2023 r. po raz pierwszy „Die Zeit” i ARD podały, że niemieccy śledczy za podejrzanymi w sprawie wysadzenia Nord Streamów uważają pięciu mężczyzn i kobietę z „Andromedy”, Władimir Putin wyśmiał te rewelacje.

„Kto byłby tym zainteresowany? Teoretycznie Stany Zjednoczone są zainteresowane przecięciem dostaw rosyjskiej energii na europejski rynek i zastąpienie ich własnymi surowcami – powiedział wówczas Putin. – Taka eksplozja, tak potężna i na takiej głębokości, mogła być spowodowana jedynie przez specjalistów korzystających z całego potencjału państwa, które dysponuje odpowiednimi technologiami”.

Trudno się dziwić, że rosyjski prezydent wskazywał na Amerykanów, zbywa-

jąc równocześnie wersję o udziale Ukraińców. Rosyjska propaganda pogardza Ukrainą, przedstawiając ją jako „niepaństwo”, więc Władimir Putin zdecydowanie wolałby winić za to potężną Amerykę, z którą nie jest aż tak wstyd przegrać na danym polu rywalizacji. Podobny mechanizm widzimy zresztą w trakcie trwającej obecnie ukraińskiej ofensywy w obwodzie kurskim – rosyjska propaganda podkreśla rzekomy udział w niej „NATO-wskich najemników”, w tym m.in. Polaków, ponieważ dużo trudniej byłoby Rosjanom przełknąć to, że ich granicę sforsowały jednostki złożone z tak pogardzanych Ukraińców.

W podobnym tonie wypowiedział się Siergiej Ławrow, komentując doniesienia „WSJ”. „Widać próby zrzućcia winy na grupę pijanych oficerów, ale to nie jest poważne – powiedział Ławrow „Izwiestii”. – Oczywiście jest, że aby przeprowadzić taki atak terrorystyczny, potrzebne było dowodzenie przez, jak to się mówi, »samą górę«. A dla Zachodu »sama góra« to oczywiście Waszyngton”.

Po publikacji „WSJ” oliwy do ognia – z perspektywy Warszawy – dolał August Hanning, w latach 1998–2005 szef BND, czyli niemieckiego wywiadu. „Istniały porozumienia między Wołodymyrem Zełenskim i Andrzejem Dudą w sprawie przeprowadzenia zamachu” – powiedział Hanning w rozmowie z „Die Welt”. Ewentualne przyknięcie przez Polaków oka na działalność grupy nurków, która skorzystała z naszego terytorium w celach logistycznych, to jedna rzecz, ale wygląda na to, że Hanning sugeruje tu coś o wiele bardziej zaawansowanego.

W kontekście intencji wypowiedzi Hanninga kluczową informacją może być to, że był szef BND (mianowany na to stanowisko przez Gerharda Schrödera) po zakończeniu kariery w wywiadzie pieniądze zarabiał, m.in. zasiadając w radzie nadzorczej jednego z tótewskich banków powiązanych z rosyjskim kapitałem. Wersja przedstawiona przez Hanninga na pewno byłaby dla Rosjan nieco bardziej do zaakceptowania niż to, o czym napisał „WSJ” – gdyby poza tak pogardzanymi przez nich Ukraińcami w akcji wysadzenia Nord Streamów brali jeszcze udział „NATO-wscy” Polacy, wstyd nie byłby aż tak wielki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MIZOGINIA JAKO TERRORYZM

Władze Wielkiej Brytanii prowadzą walkę z ekstremizmem. Jednym z nowych planów Yvette Cooper, szefowej MSW (na zdjęciu), jest uznanie „skrajnej mizoginii” za terroryzm. Według niej miał ukształtować się trend polegający na nienawiści do kobiet. Wzrastać ma tzw. kultura incel, która opisuje mężczyzn żyjących samotnie, najczęściej z trudnymi doświadczeniami w związkach z przeszłości – ci na forach internetowych mają obarczać kobiety winą za swoje niepowodzenia oraz stosować mowę nienawiści. Wielka Brytania planuje przeprowadzić przegląd polityki związany z ekstremizmem do października tego roku.



FOT. CHRISTOPHER FURLONG/JETTY IMAGES

DO WOJSKA PRZEZ TIKTOK

Niemiecka marynarka wojenna werbuje żołnierzy przez aplikacje TikTok i Snapchat. Do tej pory udało się w ten sposób pozyskać 80 chętnych osób. Gazety w Niemczech od jakiegoś czasu wskazywały na braki kadrowe w pierwszej eskadrze okrętów bojowych w Eckernförde, stąd pomysł na tak nietypową kampanię. Reklama została skierowana do użytkowników w przedziale wiekowym 17–35 lat i w maju odtworzono ją 50 mln razy.

BOTOKS ZATOPIŁ POLITYKA

George Santos, były republikański członek Izby Reprezentantów USA, został oskarżony o pranie pieniędzy w kampanii wyborczej, bezprawne pobieranie zasiłków dla bezrobotnych oraz obciążanie kart kredytowych darczyńców bez ich zgody. Dokonał też oszustwa telefonicznego i kradzieży tożsamości. Przyznał się do zarzutów i grozi mu co najmniej

dwa lata więzienia. Został usunięty z Kongresu. Komisja senacka ustaliła, że zdefraudowane pieniądze wydawał na botoks i luksusowe marki.

LOTY WSTRZYMANE PRZEZ NOŻYCKI

Na japońskiej wyspie Hokkaido odwołanych zostało kilkadziesiąt lotów z powodu zaginionych nożyczek. Narzędzie zniknęło ze sklepu na terenie portu. Następnego dnia nożyczki zostały odnalezione – w tym samym sklepie.

WIELKA UCIECZKA ZE SZPITALA

Czterech przestępców uznanych za niebezpiecznych – skazywanych wcześniej za przestępstwa narkotykowe i kradzież – uciekło z niemieckiego szpitala psychiatrycznego w Bawarii. Zaatakowali pracownika zakładu, a następnie oddalili się na piechotę. Policja prowadziła poszukiwania z wykorzystaniem psów tropiących i helikopterów. ©

Lukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Kto wybiera Polskę?

Czesi, a dokładniej czescy turyści, którzy w tym roku szczególnie mocno pokochali Polskę, byli bohaterami mojego felietonu sprzed tygodnia.

Moje spostrzeżenia szybko znalazły kolejne potwierdzenie w twardych danych. Z nowego raportu „Revolut Travel Report” wynika, że wśród europejskich klientów popularnej aplikacji finansowej Polskę najchętniej odwiedzali Brytyjczycy (151 tys., wzrost o 20 proc. rok do roku), Czesi (51 tys., wzrost o 31 proc.), Niemcy (45 tys., plus 56 proc. rok do roku) oraz Litwini (44 tys.,

o 5 proc. więcej w porównaniu z ubiegłym rokiem).

Jak podał Revolut, od maja do lipca Polskę odwiedziło łącznie 535 tys. klientów tego fintechu (wzrost o 30 proc. rok do roku), którzy wydali u nas co najmniej 800 mln zł (o 34 proc. więcej niż rok wcześniej). Najwięcej zostawili Brytyjczycy (275 mln zł, wzrost o 30 proc. rok do roku), Niemcy (70 mln zł, plus 60 proc.), Irlandczycy (62 mln zł, więcej o 26 proc.), Czesi (56 mln zł, wzrost o 8 proc.), Norwegowie (50 mln zł, plus 60 proc.) i Holendrzy (45 mln zł, o 59 proc. więcej). Średnio na

osobę najwięcej wydali Norwegowie (3300 zł), Duńczycy (2060 zł) i Szwajcarzy (2040 zł).

Ekstremalne upały w Hiszpanii czy we Włoszech zachęcają do spędzenia wakacji w Polsce. Nad Bałtykiem, na Mazurach lub w Tatrach chcą wypoczywać nie tylko Europejczycy, lecz także np. Australijczycy. Według wyszukiwarki Kiwi liczba turystów z tego kraju szukających wakacji nad Wisłą wzrosła o niemal 370 proc. Mocno wzrosło też zainteresowanie Polską wśród mieszkańców Kataru (o 225 proc.), Bahrajnu (200 proc.) i Omanu (175 proc.)...



Jacek Przybylski

Polskę pierwszy raz od niemal pół wieku odwiedził premier Indii, czyli kraju, którego ludność szacuje się na 1,42 mld. Azjatyckie mocarstwo w swej strategii coraz mocniej stawia na rozwój relacji gospodarczych i politycznych z krajami Europy Środką. Sporo na tym sojuszu zyskać mogą zarówno Polacy, jak i Hindusi

Premier Modi Warszawę odwiedził w 70. rocznicę nawiązania stosunków dyplomatycznych przez Polskę i Indie. Nad Wisłą spędził dwa dni: środę i czwartek. Historyczna wizyta szefa indyjskiego rządu w Polsce była ważna nie tylko dlatego, że poprzednia wizyta premiera Indii w Warszawie miała miejsce w roku 1979. Także dlatego, że od kilku dekad zarówno pozycja Polski w Europie, jak i Indii w Azji systematycznie i znacząco rośnie zarówno w kategoriach gospodarczych, jak i politycznych.

Premier Narendra Modi to wytrawny hinduski polityk, który po tegorocznych wyborach już trzeci raz sprawuje funkcję szefa rządu w największej demokracji świata. Ambitny gracz zdaje sobie sprawę z rosnącej wagi swego kraju na arenie międzynarodowej i z tego, że o dobre relacje z Indiami zabiegają zarówno USA, jak i kraje UE. Dobrze więc, że polski rząd wreszcie zauważył, iż Polska ma obecnie szansę zdobyć wyjątkowo ważnego strategicznego sojusznika w Azji, którego dotąd zaniebdywano, skupiając uwagę niemal wyłącznie na Chinach. I tym razem rząd nie odrobił lekcji. „Szkoda, że premier Indii, przylatujący do Polski po 45 latach, nie został przywitany na lotnisku z większą pompą. Czerwony dywan, kompania reprezentacyjna – to jest doceniane, ale i oczekiwane przez głowy państw z Azji czy Afryki” – zauważył na X prezes Fundacji Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej Wojciech Wilk.



Premier Narendra Modi to wytrawny polityk, który może doprowadzić do pokoju na Ukrainie FOT. A. WALCZEWSKA/EAST NEWS

Modi a sprawa polska

Jednocześnie zmianę podejścia do krajów naszego regionu widać też w Indiach. Wizyta Modiego w Europie Środkowej to sygnał, że Indie zamierzają uzupełnić brakujące ogniwo w swej geopolitycznej strategii. C. Raja Mohan z „Indian Express” przytoczył przy tej okazji słynne słowa Brytyjczyka Halforda Mackindera: „Kto panuje we wschodniej Europie – panuje nad sercem Eurazji. Kto panuje nad sercem Eurazji, ten panuje nad wyspą światową. Kto panuje nad wyspą światową, ten panuje nad światem”. Polska i Indie mają zaś historycznie dobre relacje. Żołnierze obu krajów byli sojusznikami choćby w bitwie pod Monte Cassino w 1944 r. Również w ostatnich latach, a zwłaszcza po wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie, oba kraje zyskały na strategicznym znaczeniu.

– Ścisła współpraca w zakresie przemysłów obronnych jest symbolem naszego wzajemnego zaufania – mówił

indyjski premier, zachęcając do poszerzania współpracy gospodarczej między Indiami a Polską, np. w przemysłach spożywczych czy obronnych.

Z Warszawy premier Modi wyruszył do Kijowa. W stolicy Ukrainy pojawił się w ukraińskim Dniu Niepodległości. To symboliczna wizyta, ponieważ w 30-letniej historii niepodległej Ukrainy nigdy wcześniej kraju tego nie odwiedził żaden indyjski premier. Wizyta w Kijowie to ważny element geostrategicznej gry Indii, które starają się jednocześnie utrzymać partnerstwo z Zachodem oraz z Rosją (w lipcu premier Narendra Modi złożył wizytę Władimirowi Putinowi w Moskwie, gdzie otrzymał najwyższe rosyjskie odznaczenie państwowe: Order św. Andrzeja). Niechętnie widziana na Zachodzie strategia neutralności Indii wobec zbrojnego konfliktu w Europie i konsekwentnie powtarzane stanowisko, że tylko dialog może

zakończyć wojnę, sprawiają, iż Indie mają szansę odegrać rolę mediatora mogącego doprowadzić do zakończenia krwawego konfliktu lub przynajmniej przerwania działań zbrojnych właśnie drogą rokowań pokojowych. W czerwcu premier Modi wziął udział w szczycie G7 we Włoszech, gdzie rozmawiał zarówno z amerykańskim prezydentem, Joe Bidenem, jak i prezydentem Ukrainy, Wołodymyrem Zełenskim, oraz papieżem Franciszkiem.

ZŁOTA ERA

Indie mają bardzo solidne podstawy do swoich geopolitycznych ambicji. To bowiem nie tylko największa demokracja świata z liczbą ludności szacowaną na 1,42 mld (od kwietnia 2023 r. to już oficjalnie najliczniejszy kraj globu). To również kraj rosnącej klasy średniej, który pod rządami premiera Narendry Modiego utrzymuje imponujące tempo wzrostu gospodarczego, wynoszące 7,7 proc. w 2023 r. i prognozowane na co najmniej 6,5 proc. roku w roku obecnym (niewykluczone, że znów będzie do ok. 7 proc., bo eksperci już dwukrotnie podnosili prognozy wzrostu PKB dla tego kraju). Tak spektakularny wzrost jest absolutnie największy ze wszystkich państw należących do grupy G20. To także państwo z ogromnym potencjałem demograficznym (według prognoz do 2075 r. populacja w wieku produkcyjnym będzie przekraczała 1 mld). Ekonomiści z Międzynarodowego Funduszu Walutowego spodziewają się więc, że najpóźniej do końca obecnej dekady Indie staną się drugą co do wielkości gospodarką w regionie Azji i Pacyfiku i trzecią co do wielkości gospodarką globu.

Indie radzą sobie tak dobrze, że eksperci MFW niedawno przesunęli datę wejścia Indii na podium z roku 2030 na rok 2027. Indie znajdują się tym samym zarówno przed Niemcami, jak i przed Japonią. Obecnie kraj ten zajmuje formalnie piątą pozycję pod względem nominalnej wielkości gospodarki (4 bln dol.). Jeśli jednak uwzględnimy PKB w kategoriach parytetu siły nabywczej, to okazuje się, że Indie na podium są już teraz (w tym zestawieniu Chiny są na pierwszym miejscu, a USA na drugim). Podczas gdy złota era chińskiej gospodarki dobiega końca, rolę motoru globalnego wzrostu stopniowo przejmują Indie. Dzięki amerykańsko-chińskim napięciom politycznym rośnie znaczenie Indii

w globalnych łańcuchach dostaw. Kraj ten staje się coraz bardziej atrakcyjny dla zagranicznych inwestorów (choćby dla takich firm jak tajwański Foxconn czy amerykańska Tesla). Jednocześnie Indie inwestują miliardy dolarów w rozwój infrastruktury – na budowie dróg, portów, lotnisk czy linii kolejowych zarobić można fortunę.

A to przecież nie koniec ambicji tego kraju. Premier Indii, przybliżając w rozmowie z „Financial Times” swą wizję roli Indii we współczesnym świecie, użył określenia „Vishwaguru” (nauczyciel świata). Indie dla krajów globalnego Południa stały się już wzorem nie tylko bezkrwawego ruchu antykolonialnego, lecz także udanej modernizacji gospodarczej. Premier Narendra Modi nie bez przesady zapowiadał więc w wywiadzie udzielonym jeszcze przed największymi na świecie wyborami parlamentarnymi, że Indie wchodzi w „Amrit Kaal”, czyli w złotą erę rozwoju kraju. Kierowane przez niego państwo świetnie radzi sobie bowiem zarówno na polu gospodarczym, jak i w wielu innych sferach. 26 sierpnia 2023 r. Indie dołączyły do elitarnego klubu zaledwie czterech państw globu, którym udało się wylądować na Księżycu (jednocześnie indyjski ładownik jako pierwszy w historii wylądował na południowym biegunie Srebrnego Globu).

Hindusi odgrywają również rosnącą rolę w globalnej dyplomacji, starając się grać na różnych fortepianach coraz bardziej wielobiegunowego świata. Indie współpracują więc z USA w dziedzinie obronności, tworząc wraz z Ameryką, Japonią i Australią Czterostronny Dialog Bezpieczeństwa (QUAD), i rozwijają współpracę wojskową z krajami ASEAN, a jednocześnie są członkiem BRICS, a więc bloku, który zrzesza Chiny, Rosję, RPA, Brazylię, Egipt, Etiopię, Iran i Zjednoczone Emiraty Arabskie, czyli kraje, które chcą doprowadzić do zakończenia globalnej politycznej dominacji Zachodu. Inny przykład: Indie chętnie korzystały z taniej rosyjskiej ropy, a jednocześnie hinduscy przedsiębiorcy już się szykują do udziału w zyskach podczas powojennej odbudowy Ukrainy.

INDYJSKI SEN

Siedemdziesięcioletni Narendra Modi jest najlepszym przykładem hinduskich ambicji i możliwości realizacji marzeń, które jeszcze niedawno byłyby w tym kraju zupełnie nie do pomyślenia.

Przywódca Indyjskiej Partii Ludowej (BJP) zapisał się na kartach historii jako drugi polityk w dziejach Indii, który już trzykrotnie piastował stanowisko premiera kraju. Podczas czerwcowej ceremonii zaprzysiężenia w pałacu prezydenckim nie tylko deklarował, że będzie stał na straży suwerenności kraju, lecz także ślubował zrobić, co w jego mocy, aby wykorzystać ubóstwo i wzmocnić klasę średnią.

Rządzący żelazną ręką Modi rzeczywiście stara się dbać o to, aby na szybkim wzroście gospodarczym zyskiwali nie tylko najbogatsi, co ułatwia mu choćby negocjacje ze zrozpaczonymi rolnikami, którzy wielokrotnie w ciągu ostatnich lat szturmowali stolicę, wskazując na swe potężne długi i problemy wynikające m.in. ze zmian klimatycznych. Sam premier dobrze zna biedę i Hindusów przymierających głodem. Urodził się 17 września 1950 r., co czyni go pierwszym premierem Indii, który urodził się już w niepodległych Indiach. Pochodzi z ubogiej rodziny. W niewielkim mieście Vadnagar w stanie Gudżarat, gdzie przyszedł na świat, jego ojciec zarabiał na życie, sprzedając podróży herbatę na stacji kolejowej. Kilkuosobowa rodzina mieszkała w małym, parterowym domku o wymiarach 12 m na 3,7 m. Mały Modi jednocześnie pracował i godzinami czytał książki w lokalnej bibliotece.

W wieku 17 lat opuścił rodzinny dom i udał się w dwuletnią podróż po całych Indiach. Przebywał w aśramach założonych przez mnicha Wiwekanandę. W 1978 r. zdobył tytuł licencjata nauk politycznych na Uniwersytecie w Delhi, a pięć lat później dyplom magistra na Uniwersytecie w Gudżaracie. W 1987 r. został członkiem konserwatywnej Indyjskiej Partii Ludowej (BJP), a już w 1998 r. został sekretarzem generalnym partii. Na czele BJP stoi od 2013 r. Charyzmatyczny polityk pierwszy raz urząd premiera objął zaś w roku 2014. Rozszerzył programy socjalne i inwestycje w infrastrukturę, w tym rozbudowę gazociągu i elektryfikację kraju. Choć jego nacjonalistyczna polityka budzi liczne kontrowersje, to jest jednym z najbardziej popularnych polityków w mediach społecznościowych. Jego oficjalne konto na Facebooku obserwuje 49 mln internautów, a na platformie X (dawnym Twitterze) ma 98 mln followersów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rugijski szkopuł



Jakub Wozinski

Tuż obok uroczego miasteczka Sassnitz na Rugii Niemcy stale rozbudowują wielofunkcyjny port Mukran, którego działalność w sposób szczególny uderza w polskie interesy

Największa niemiecka wyspa nie kojarzyła się dotąd z wielką wymianą towarową, która nadal odbywa się głównie w wielkich portach, takich jak Hamburg, Brema czy Wilhelmshaven. Nazwę Mukran warto

jednak zapamiętać, gdyż wiele wskazuje na to, że rugijski port stanie się jednym z najważniejszych na Bałtyku i w całej Europie.

Jednym z fundamentalnych elementów polityki państwa pruskiego względem ziem polskich w wiekach XVIII i XIX było nieustanne ograniczanie rozwoju Gdańska. Nawet po dokonanych zaborach strategia naszego zachodniego sąsiada opierała się zawsze na sabotowaniu handlu z udziałem najważniejszego polskiego portu przy jednoczesnym wzmacnianiu pozycji jego niemieckich konkurentów.

Nawiązujące coraz wyraźniej do imperialnej polityki pruskiej, współczesne Niemcy w twórczy sposób kontynuują tę tradycję, tym razem rozwijając położony w linii prostej zaledwie 50 km od Świ-

noujścia port Mukran (dystans lądowy to ok. 130 km). Wybór właśnie tego miejsca podyktowany został wieloma czynnikami, takimi jak dogodne warunki do obsługi wielkich statków, bliskość Berlina czy też nautycznie najkrótsza odległość od Skandynawii, Finlandii, Rosji i krajów bałtyckich. Przed rosyjską inwazją na Ukrainę przez Mukran miała przechodzić jedna z ważniejszych odnóg nowego jedwabnego szlaku, łącząca Europę Zachodnią z Chinami przez Bałtyjsk w obwodzie kaliningradzkim. Te plany na razie znalazły się w zamrażarce, ale przy pomocy rugijskiego portu niemieckie państwo może przynajmniej realizować swoją politykę tłumienia polskich aspiracji – szczególnie że może liczyć na usługną pomoc uśmiechniętej koalicji Donalda Tuska.



FOT. ADRIAN STUCK

wraz z budową gazociągów realizowaną w tym regionie.

ROZKWIĆ PO ZJEDNOCZENIU

Obecność szerokich torów stała się później wielkim atutem portu, gdy niemieckie państwo zintensyfikowało współpracę gospodarczą z Rosją i Chinami. W 1998 r. otwarto w Mukran największy w Niemczech port promowy na Bałtyku, dzięki czemu port zyskał doskonałą infrastrukturę drogową (m.in. autostradę A20 do Berlina). Teoretycznie rugijski port miał być podporządkowany głównie ruchowi pasażerskiemu do Skandynawii czy państw bałtyckich, lecz już w 2019 r. uruchomiono specjalne połączenie z Bałtykiem w obwodzie kaliningradzkim. Pod nazwą Baltic Sea Bridge (Bałtycki Most Kontenerowy) miały być realizowane połączenia kolejowe prowadzące aż do chińskiego Xi'an. W pobliżu budowano także intensywnie gazociąg Nord Stream 2 prowadzący do Greifswaldu, a port Mukran odgrywał rolę bazy zaopatrzeniowej i magazynowej dla całej inwestycji.

Niemieckie dążenia spotkały się jednak z wyraźnym sprzeciwem ze strony Stanów Zjednoczonych. Administracja Trumpa wraz z grupą republikańskich senatorów zagroziła w 2020 r. wprowadzeniem poważnych sankcji, a jednym z głównych adresatów wystosowanych upomnień była zarządzająca portem Mukran spółka Fährhafen Sassnitz GmbH (w której 90 proc. udziałów posiada miasto Sassnitz). Amerykanie pisali wprost, że w razie kontynuacji prac nad Nord Stream 2 każdy podmiot działający w porcie lub uwikłany w przedsięwzięcie będzie się musiał liczyć z zamrożeniem aktywów i zablokowaniem wszelkich transakcji finansowych dokonywanych na terenie Stanów Zjednoczonych. Członkowie zarządu portu, udziałowcy oraz pracownicy mieli zostać w praktyce całkowicie odcięci od amerykańskiego państwa.

Premier landu Meklemburgia-Pomorze Przednie, Manuela Schwesig, zdołała później powołać specjalną Stiftung Klimaschutz (Fundację Ochrony Klimatu), która we współpracy z Gazpromem zdołała obejść amerykańskie sankcje. Zasilona przez Rosjan kwotą 192 mln euro pomogła doprowadzić budowę gazociągu do końca, lecz ostatecznie i tak we wrześniu 2022 r. Nord Stream 2 został zniszczony.

Oficjalnym powodem uderzenia w Mukran był gazociąg Nord Stream 2, uzależniający Niemcy i Europę od rosyjskiego gazu. Wywierając presję na Niemców, Amerykanie zdołali jednak przy okazji pogrozić palcem za rozwijanie gospodarczych więzi z Chinami. Wszystko uległo jednak diametralnej zmianie wraz z rosyjską agresją na Ukrainę. Z dnia na dzień pomysł uczynienia z Mukran chińskiej bramy do Europy musiał zostać porzucony (przynajmniej na najbliższe lata).

W NOWEJ ROLI

Wybuch wojny zmusił Niemców do znalezienia dla Mukran zupełnie nowej roli. Po odcięciu od rosyjskich dostaw niemieckie państwo musiało błyskawicznie zbudować nowe gazoporty, aby przetrwać zimę. Rok 2022 stał pod znakiem ogromnej niepewności dla całej gospodarki, ale rugijski port wzmocnił się kolejną dużą inwestycją. W lipcu ubiegłego roku zatwierdzono plan budowy pływającego terminalu LNG. Niemal natychmiast po jego ogłoszeniu w Mukran pojawili się klimatyczni aktywiści protestujący przeciwko importowi paliwa kopalnego na tak dużą skalę. Nie zdołali jednak zatrzymać inwestycji, która została już ukończona, i w ten sposób na Rugii powstał największy na Bałtyku terminal służący do odbioru gazu ziemnego w formie ciekłej.

Otwarcie tak potężnej jednostki zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od polskiej granicy to oczywiste wyzwanie rzucone gazoportowi w Świnoujściu. Niemcy postarali się jednak o to, aby port Mukran był w stanie odbierać rynek polskim portom także w innych obszarach. Już w sierpniu 2016 r. został oddany do użytku pierwszy terminal zbożowy (obsługujący głównie terytorium Niemiec), a prace nad drugim są właśnie na ukończeniu. Oznacza to, że zboże z Ukrainy – a nawet z Polski – może już wkrótce popłynąć szerokim strumieniem przez Rugię. Szczególnie że w maju okazało się, iż zarządy portów w Gdańsku i Gdyni anulowały przetargi na budowę nowych terminali zbożowych pod pretekstem wykrytych nieprawidłowości. Nawet jeśli zgodnie z zapowiedziami ogłoszone zostaną nowe przetargi, to i tak będzie to oznaczało kilkuletni poślizg.

Historycznie rzecz biorąc, na Rugii nie istniał nigdy żaden znaczący port. Dopiero w ostatnich latach istnienia NRD zapadła decyzja o budowie terminalu promowego, który był jednym z ostatnich wielkich projektów komunistycznego państwa. Już w latach 80. głównym uzasadnieniem dla uruchomienia portu Mukran była chęć ominięcia Polski. Zakładano wówczas, że tranzyt przez nasz kraj może się stać problematyczny, dlatego rugijski port został wyposażony w tory o szerokim rozstawie szyn. Dzięki temu transporty kolejowe między Kłajpedą a Rugią mogły być przeprowadzone wyjątkowo sprawnie. Po upadku NRD duża część sowieckiej armii ewakuowała się do Rosji właśnie przez Mukran, a w sposób symboliczny Rosjanie mieli później powrócić do Europy Zachodniej

■ Otwarcie nowego terminala zbożowego zapowiedział wprowadzić port w Świnoujściu, lecz – jak donosiła w czerwcu „Rzeczpospolita” – w Szczecinie jeden z terminali wykupiony przez amerykańskiego właściciela miał zostać zamknięty i zamieniony na magazyn klejów. Po publikacji artykułu na ten temat właściciel zaprzeczył tego rodzaju doniesieniom i zapowiedział wręcz rozbudowę zdolności przeładunkowych. Na efekty tych deklaracji przyjdzie jednak jeszcze poczekać.

KONTENEROWA ROZGRYWKĄ

O ile los terminala zbożowego w Szczecinie pozostaje wciąż w sferze spekulacji, o tyle w innych, niezwykle ważnych dla polskich portów, obszarach zapadły już niestety bardzo ważne ustalenia. Giganci rynku frachtowego – duński Maersk oraz niemiecki Hapag-Lloyd – zawarli w styczniu tego roku porozumienie o strategicznej współpracy w ramach dalekomorskiego przewozu kontenerów. Mający zainaugurować w styczniu 2025 r. działalność duńsko-niemiecki frachtowy alians zdążył niestety zapowiedzieć, że Gdańsk zostanie wyłączony z połączeń transoceanicznych obsługiwanych do Azji. Największy polski port będzie odtąd portem służebnym względem niemieckich portów w Bremerhaven, Hamburgu czy Wilhelmshaven, do których będą kursowały mniejsze jednostki.

Odebranie Gdańskowi znacznego przywileju przez korporacyjny sojusz z udziałem niemieckiej firmy nie powinien niestety nikogo dziwić, gdyż dla naszych zachodnich sąsiadów stanowiąmy istotną konkurencję. W ostatnich latach niemieckie porty przeżywają stagnację, a w wielu przypadkach wręcz regres wyrażający się w spadku liczby przeładunków i obsługiwanych jednostek, natomiast polskie porty nieustannie pną się w górę. A raczej pięty, ponieważ całokształt zmian, które zaszły od czasów objęcia sterów władzy w Polsce przez Donalda Tuska, postawił rozwój polskich portów pod dużym znakiem zapytania.

Uśmiechnięta koalicja, tak jak w okresie swoich poprzednich rządów, podporządkowuje polską gospodarkę interesom niemieckim, a te ciążą nieustannie w kierunku Rosji. Oznacza to, że gdy tylko uda się rozwiązać problem Ukrainy,

port Mukran będzie znów rozwijany pod kątem współpracy ze Wschodem. Sze-rokie tory na Rugii nie zostały po lutym 2022 r. zdemontowane i nie zanoszą się na to, aby kiedykolwiek miało to nastąpić.

Narzucające całej Europie iście stachanowskie tempo zielonej transformacji Niemcy mają względem swoich portów także ściśle sprecyzowane cele w kontekście m.in. energetyki wiatrowej. Port Mukran ma w najbliższych latach m.in. odgrywać istotną rolę jako zaplecze przy produkcji tzw. zielonego wodoru. Oprócz tego same prace serwisowe i instalacyjne przy istniejących farmach wiatrowych wymagają znacznego zaplecza portowego, a przecież Niemcy chcą co najmniej potroić obecny poziom produkcji energii z tego źródła do połowy wieku.

W Polsce już od dłuższego czasu trwają w wielu portach prace mające na celu stworzenie odpowiednich terminali instalacyjnych i serwisowych dla farm wiatrowych. W przypadku Baltic Power już teraz okazało się jednak, że port w Świnoujściu nie zdążył z inwestycją na czas i dlatego konieczne było skorzystanie z terminalu na duńskim Bornholmie. Można niestety zakładać, że w kolejnych latach rugijski port będzie gotowy do tego, aby udzielić odpłatnej pomocy rozmaitym projektom realizowanym przez polską stronę. Szczególnie że przedsięwzięcie budowy morskich farm wiatrowych może się okazać dla polskiego państwa (reprezentowanego przez Orlen) nad wyraz kosztowne.

TRWAŁE WYZWANIE

W stosunkowo krótkiej historii portu Mukran uderza przede wszystkim to, że niemal od samego początku istnieje on głównie po to, aby omijać Polskę i szkodzić jej interesom. Każde państwo ma oczywiście prawo budować porty tam, gdzie chce, i podejmować współpracę z tymi krajami, z którymi sobie życzy. Biorąc jednak pod uwagę faktyczny zakres ingerencji Niemiec w wewnętrzną politykę Polski, na funkcjonowanie portu w Mukran trudno patrzeć inaczej niż w perspektywie szkodenia naszym interesom.

Wielką korzyścią dla rugijskiego portu będzie z pewnością to, że rządząca Polską skrajnie usłużna wobec Niemiec koalicja zamierza wygasić większość inwestycji na

Odrze. Prowadząca jawny sabotaż ekipa rządząca zamierza dokonać ekologicznej rewitalizacji drugiej najdłuższej polskiej rzeki, czyniąc ją w praktyce nieżeglowną. Szczecin i Świnoujście, które potencjalnie mogłyby ogromnie skorzystać na uruchomieniu ważnego szlaku transportowego (Czesi jeszcze niedawno planowali połączenie Odry z Dunajem), najprawdopodobniej będą musiały obejść się smakiem. W tym samym czasie port Mukran wciąż rozwija sieć połączeń kolejowych m.in. z portami rzecznyymi położonymi nad Łabą oraz ośrodkami przemysłowymi położonymi w środkowych i południowych Niemczech.

Jeszcze przed rosyjską inwazją na Ukrainę rugijski port miał wręcz stanowić centrum logistyczne dla handlu transkontynentalnego dla całego regionu. Z Mukran przywożone koleją przez Rosję towary miały być dystrybuowane także w sąsiednich krajach. Podejmowane w ostatnim czasie próby rozpoczęcia rozmów pokojowych między Rosją a Ukrainą pozwalają zakładać, że gdy tylko uda się osiągnąć zawieszenie broni, projekt Bałtyckiego Mostu Kontenerowego zawieszono ponad Polską zacznie być ponownie realizowany. Dla polskich portów, które zostały jednocześnie zaatakowane przez rząd Tuska, rząd Scholza i niemieckich armatorów, taki rozwój wydarzeń oznaczać może jedynie zatrzymanie ich dalszego rozwoju, by nie powiedzieć: katastrofę.

Aby przeciwstawić się niemieckiej ofensywie przeciwko Polsce o kryptonimie Mukran, należałoby podjąć wiele dynamicznych działań, poczynwszy od doprowadzenia do finalizacji inwestycji na Odrze, a skończywszy na ekspresowej rozbudowie terminali służących do eksportu zboża. Niestety, obóz rządzący nie dość, że działa w tym obszarze de facto na korzyść Niemiec, to na dodatek wystosował w styczniu zaproszenie do Senatu dla patronującej portowi Mukran i współpracy z Gazpromem byłej premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego, a obecnie przewodniczącej Bundesratu, Manueli Schwesig. Nazywana niekiedy „Schröderem w spódnicy” polityk ostatecznie pod wpływem protestów opozycji nie przyjechała, ale zapowiedziała, że w końcu zamierza pojawić się w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Niech żyje bimbler?!

Mistrzowie – a raczej „mischczowie” – od podatku akcyzowego od lat popisują się swoimi umiejętnościami w ograniczeniu spożywania przez Polaków legalnie sprzedawanych alkoholi – wódki, brandy, whisky, wina, piwa. A więc – w rezultacie – także wpływów z akcyzy do budżetu państwa.

Jak alarmuje „Rzeczpospolita”, „sprzedaż wódek czystych osiągnęła już dwucyfrowe spadki w skali roku, słabnie też piwo, które wśród alkoholi najmocniej podrożało”. Raport nie pozostawia złudzeń – załamanie na rynku alkoholi jest powszechne. Sprzedaż wódek czystych spadła w 2023 r. – w porównaniu z 2022 r. – o 12,1 proc., win musujących o 8,8 proc., wina spokojnego – o 8,7 proc., piwa o 7,8 proc., a piwa o 3,4 proc.

Wszelako czy mogło być inaczej, skoro rząd Morawieckiego – w poszukiwaniu budżetowych dochodów, niezbędnych mu do realizowania kolejnych absurdalnych projektów rozdawniczych – wprowadził na lata 2023–2027 kaskadowy wzrost podatku akcyzowego? Miał on co roku rosnąć o 5 proc. na wódkę, piwo, wino itd. i o 10 proc. na papierosy i inne wyroby tytoniowe. Ale rządowi Tuska i tego okazało się mało, więc zapowiedział gwałtowne podniesienie akcyzy na wyroby tytoniowe, a wkrótce zapewne to samo zrobi z akcyzą na alkohol. W ten sposób ów seryjny zabójca podatkowy rok po

roku likwiduje część legalnie sprzedawanych i spożywanych w Polsce alkoholi oraz, nie inaczej, bo przecież cudów nie ma, legalnie sprzedawanych i spożywanych w Polsce wyrobów tytoniowych.

Legalnie sprzedawanych i spożywanych, bo chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzy w rozpowszechniane przez rządzących bajki z mchu i paproci, że wskutek ich akcji podwyżkowej Polacy tak drastycznie ograniczyli spożycie wyrobów alkoholowych, w tym naszej „narodowej” wódki. A zatem, skoro na życzenie polskiego rządu ogranicza się w Polsce spożycie legalnie produkowanego i sprzedawanego alkoholu i wyrobów tytoniowych, to automatycznie zwiększa się w Polsce spożycie nielegalnie produkowanego i sprzedawanego alkoholu i wyrobów tytoniowych – polskich i pochodzących z przemytu.

Na użytek debaty o wysokości podatków chętnie przypominam lekcję, której wolny rynek udzielił Polsce po obniżeniu w 2002 r. przez rząd premiera Millera o 30 proc. akcyzy na alkohol. Po tamtej zmianie wpływ z tego podatku, które wcześniej przez kilka lat spadały, od razu, i to znacząco, wzrosły. Wzrosło też oczywiście spożycie alkoholu „legalnego”, a więc także bezpieczniejszego dla konsumujących go, i z pewnością zmalało spożycie alkoholu „nielegalnego”, dużo mniej bezpiecznego dla konsumujących go. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zaufaj nauce!

20 sierpnia na stronach publikacji naukowej „Geomatics” w sieci MDPI ukazała się analiza, która powinna wywołać wstrząs w polityce klimatycznej nie tylko Unii Europejskiej. Zaznaczyć trzeba, że „Geomatics” to publikacja recenzowana (peer-reviewed), czyli taka, w której materiały podlegają naukowemu recenzowaniu.

Komisja Europejska pcha naprzód Zielony Ład, oparty na wątpliwych hipotezach

Autorami tekstu o mało atrakcyjnym tytule – „Roles of Earth's Albedo Variations and Top-of-the-Atmosphere Energy Imbalance in Recent Warming: New Insights from Satellite and Surface Observations” („Rola zmian w ziemskim albedo [zdolność do odbijania energii słonecznej] oraz nierównowagi energii w szczytowych warstwach atmosfery w najnowszym ociepleniu – nowe wnioski z obserwacji satelitarnych i powierzchniowych”) – są Ned Nikolov i Karl F. Zeller.

Tekst jest mało przystępny dla laika, pełen równań i wykresów, ale jego konkluzja jest jasna: zmianę klimatu wyjaśniają cykliczne zmiany aktywności słonecznej w po-

łączeniu ze zdolnością Ziemi do odbijania promieniowania, a nie aktywność człowieka. Autorzy poddają tu krytyce ustalenia raportów Międzyrządowego Panelu do spraw Zmian Klimatu, czyli swego rodzaju wyroczni klimatystów.

Gdybyśmy mieli do czynienia z nauką, a nie ideologią i polityką w czystej postaci, ten jeden artykuł wystarczyłby, by podważyć konieczność podejmowania radykalnych działań na rzecz klimatu, uderzających w zamożność obywateli, przemysł, gospodarkę. Wiadomo jednak, jak wygląda sytuacja: ludzie zafiksowani na przekonaniu, że „planeta płonie” z naszej winy, będą przekonani, że autorzy artykułu to nie są prawdziwi naukowcy – bo prawdziwym naukowcem jest z definicji tylko taki, który powtarza opowieść o odpowiedzialności człowieka za rzekome globalne ocieplenie – albo najzwyczajniej będą udawać, że żadne takie badanie się nie pojawiło. Nie ma go.

Mamy do czynienia z sytuacją kompletnie paranoiczną. Komisja Europejska pcha naprzód Zielony Ład, oparty na wątpliwych hipotezach dotyczących zmian klimatu, choć od dawna pojawiają się nie tylko opinie, lecz także badania te hipotezy obalające. I to mimo że istnieje gigantyczna presja finansowa i organizacyjna na naukowców, którzy ośmielają się nie wspierać jedynie słusznej narracji. I co? I nic. Jasne jest zatem, że o żadne „ufanie nauce” tu nie chodzi. ©©



Jacek Pańkiewicz

Na początku mojego podróżniczego dziennikarstwa nieodłącznie towarzyszyła mi biblia: podręcznik higieny tropikalnej. To dzięki niej uchroniłem się od masy nieszczęść, które czyhają na białego człowieka w gorącej strefie międzyzwrotnikowej. Na jej fundamentach wyrosła medycyna podróży. Swego czasu obawy budziły tylko choroby tropikalne, przede wszystkim malaria, ale od lat 70. XX w. lekarze zdali sobie sprawę, że środki profilaktyczne należy rozważać indywidualnie, w zależności od charakteru podróży i lokalizacji geograficznej. W ostatnich latach dyscyplina ta uległa dalszej ewolucji i zaczęła uwzględniać także ryzyko związane z chorobami niezakaźnymi lub zdarzeniami niepożądanymi

Medycyna podróży to przede wszystkim profilaktyka: ochrona zdrowia przed możliwymi epidemiami infekcji lub niepewną sytuacją sanitarną w odwiedzanych krajach. Z jednej strony ryzyko można zminimalizować dzięki odpowiednim środkom ostrożności, profilaktyce i szczepieniom przed wyjazdem. Z drugiej zaś – szybkie rozpoznanie i leczenie importowanej choroby ma kluczowe znaczenie w zapobieganiu przenoszenia się choroby na inne osoby i uniknięciu poważnego problemu zdrowia publicznego.

Niezależnie od wakacyjnego kierunku wyjazd trzeba zapiąć na ostatni guzik, bo dobre przygotowanie to bezpieczne i wolne od trosk wakacje. Każdy urlopowicz powinien zapoznać się z wieloma informacjami dotyczącymi kraju docelowego w zależności od okresu, w którym się



Sztuka zdrowego

tam wybiera, długości pobytu, standardu zakwaterowania, a następnie odwiedzić lekarza rodzinnego, a jeszcze lepiej – lekarza medycyny podróży. Zapozna on z najważniejszymi informacjami w zakresie ochrony przeciwmalarycznej, zajmie się profilaktyką chorób endemicznie występujących w innych strefach klimatycznych, a także udzieli podstawowych informacji na temat powszechnie występujących tam zagrożeń. Poinformuje też, że obecnie międzynarodowe przepisy sanitarne wymagają obowiązkowo jedynie szczepienia przeciwko żółtej febrze (gorączce).

Problemy zdrowotne są często niedoceniane przez podróżników, którzy nie zdają sobie sprawy, że w krajach, gdzie służba zdrowia jest na niskim poziomie lub dostęp do niej jest utrudniony, można się znaleźć w kłopotliwej sytuacji. Większą uwagę na aspekt sanitarny powinni zwrócić seniorzy i osoby cierpiące na choroby przewlekłe, szczególnie narażone na problemy zdrowotne w trakcie podróży, i dlatego wymagają oni wyjątkowej uwagi lekarza. Przed dłuższym wyjazdem zaleca się również wykonanie badań profilaktycznych u specjalistów. U stomatologa, bo taka usługa w krajach rozwijających się może być na niskim poziomie albo być wyjątkowo kosztowna. Z kolei kobiety borykające się z częstymi infekcjami intymnymi powinny odwie-

dzić ginekologa. W przypadku wyjazdu z małymi dziećmi warto skonsultować wyjazd z pediatrą.

WYZWANIE DLA ORGANIZMU

Tropik może okazać się dla niejednego organizmu sporym wyzwaniem. Przyjdzie tam zmierzyć się z wysokimi temperaturami, suchym albo wręcz bardzo wilgotnym powietrzem, czyli dla nas bardzo nieprzyjnym, i przystosowanie się do tak nagłych zmian warunków pogodowych wymaga aklimatyzacji. Jeszcze w czasach moich rodziców uważano, że pobyt w krajach tropikalnych i rozwijających się o niskim stopniu higieny stanowi niebagatelne zagrożenie dla zdrowia. Europejczycy wyjeżdżali do nowo powstałych kolonii i często zapadali na nieznane lekarzom europejskim choroby. Wielu tam umierało, stąd przyjęło się mówić o Afryce jako „grobie” białego człowieka.

W tamtych czasach podręczniki medycyny odradzały wyjazdy w tropiki osobom powyżej 50. roku życia, jako że organizm w wieku podeszłym traci stopniowo swoje zdolności asymilacyjne. Mówiono, że człowiek zaadaptuje się do nowej sytuacji klimatycznej, biologicznej i sanitarnej już w pierwszych dniach pobytu, ale do zaaklimatyzowania się potrzebuje do dwóch tygodni. Przez pierwsze dni rekomenduje



Ulice Bangkoku wypełnione aromatami tajskich potraw, marzec 2014 r. FOT. SHUTTERSTOCK

podróżowania

się unikanie wysiłku fizycznego, spanie po siedem–osiem godzin, przeznaczenie godziny w najgorętszej porze dnia na sjęstę popołudniową i prowadzenie uregulowanego trybu życia. Dziś, kiedy ludzie wyjeżdżają na 10-dniowe wakacje, takie zalecenia wzbudziłyby ironiczny uśmiech. Na pewno pierwszego dnia trzeba unikać mocnego nasłonecznienia i nie leżeć od razu „plackiem na plaży”. Skórę powinno się chronić przed promieniami słonecznymi i opalać się stopniowo. Na słońcu nie przebywać więcej niż 15 minut i nie w godzinach południowych, kiedy istnieje największe ryzyko oparzeń. Nie wolno zapomnieć o używaniu kremów z filtrem przeciwsłonecznym o wysokim współczynniku ochrony. Nie dopuszczać do nadmiernego pocenia się. W tropikach nie można się obejść bez okularów słonecznych.

Lekarze przypominają, że na początku należy szczególnie zadbać o odpowiedni poziom nawodnienia, gdyż niewielkie nawet odwodnienie niweczy korzyści adaptacyjne. Organizm w związku ze wzmożonym poceniem się ma bowiem tendencję do zaburzenia gospodarki wodno-elektrolitowej.

ZEMSTA FARAONA

Do najczęstszych problemów zdrowotnych podróżnych do krajów, w których

panują nie najlepsze warunki sanitarne, należą zaburzenia żołądkowo-jelitowe, ostre lub przewlekłe biegunki, wywołane zwykle przez bakterie występujące w wodzie i pożywieniu, które dotyczą co drugiego europejskiego turysty. Przewodniki turystyczne przypominają o czterech zasadach, pozwalających uniknąć tzw. zemsty faraona: ugotuj, zaparz, obierz lub zapomnij. Na taki wypadek dobrze mieć ze sobą odpowiednie leki (Imodium, Smecta, Nifuroksazyd, węgiel leczniczy). Podstawowa zasada przypomina: uważaj na to, co i gdzie jesz, oraz staraj się spożywać posiłki w miejscach czystych i cieszących się dobrą opinią, a także pij wodę tylko zamkniętą w oryginalnych butelkach lub przegotowaną, do mycia zębów używaj wody butelkowej, starannie myj ręce mydłem, stosuj żele antybakteryjne. Unikaj jedzenia jaj, ryb oraz dań oferowanych na straganach. Regułą jest spożywanie potraw gotowanych i dobrze wysmażonych. Zaleca się dużą ostrożność przy jedzeniu jarzyn w stanie surowym. Jeśli już, to trzeba mieć pewność, że były dobrze umyte i odkażone. Z owocami (jeśli nie są uszkodzone) jest prościej, bo wystarczy je opłukać w czystej wodzie i obrać ze skórki. Lepiej jest unikać surowych owoców morza, lodów, wszelkich ciastek, a zwłaszcza kremowych. A także pokarmów zbyt zimnych i mrożonych napojów, które mogą być przyczyną

infekcji górnych dróg oddechowych. Wodę niewiadomego pochodzenia można uzdatnić, używając Katadyn Micropur Forte bądź dwuprocentową jodynę (5 kropli na litr wody), nadmanganian potasu (kilka kryształków) czy podchloryn sodu. Pułapkę stanowi zwykle lód w kostkach podawany do napojów. Jeśli nie jesteśmy w lokalu o wyższym standardzie, to zdecydowanie trzeba z niego zrezygnować, nawet jeśli miałoby się pić ciepłe młde piwo. Lód, nieogotowana woda, świeże soki i owoce to najczęstsze źródło zakażenia przewodu pokarmowego. Podobnie jest z mlekiem, jogurtami i przysmakami z mleka niepasteuryzowanego.

LEKKA ODZIEŻ

Ważne znaczenie dla higieny w strefie podzwrotnikowej ma odzież. Bieliznę osobistą trzeba zmieniać codziennie i prać ją na bieżąco. Odzież powinna być lekka i przewiewna – najlepiej z bawełny, lnu, jedwabiu bądź z mieszanek z niewielką ilością włókien sztucznych, nieutrudniających parowania. Powinna być łatwa w praniu i niegniotąca się. W krajach subtropikalnych, górzystych, gdzie noce bywają chłodne, wskazana jest ciepła odzież, najlepiej wełniana. Co do spodni, to zdecydowanie odradzam noszenie szortów, bo nie chronią przed ukłuciami owadów i przed słońcem. Bielizna osobista powinna być bawełniana. Ważne jest lekkie nakrycie głowy, które uchroni przed udarem słonecznym.

Na koniec kilka istotnych wskazówek. Upewnij się, że masz wystarczającą ilość swoich leków na cały okres wyjazdu. Nie zapomnij o karcie EKUZ (Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego), która uprawnia do leczenia w krajach Unii Europejskiej. Jeśli wybierasz się poza Unię, to sprawdź swoje ubezpieczenie zdrowotne i upewnij się, że jest ważne w miejscu docelowym oraz obejmuje ewentualne koszty leczenia za granicą. W bagażu podróżnym nie może oczywiście zabraknąć podręcznej apteczki z zestawem podstawowych leków i materiałów opatrunkowych. Życzę zdrowia!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Pałkiewicz – reporter i eksplorator, twórca survivalu w Europie, odkrywca źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Autor kilkudziesięciu książek. Zob. www.palkiewicz.com.

Snorkeling to aktywność rekreacyjna polegająca na pływaniu na powierzchni wody z użyciem maski do nurkowania, rurki do oddychania oraz płetw. Celem jest obserwacja podwodnego świata – koralowców, żółwi morskich, płaszczyk, ryb i innych morskich stworzeń – bez konieczności głębokiego zanurzenia się. Będąc w Meksyku, postanowiliśmy odwiedzić rafę koralową i poobserwować życie podwodne Morza Karaibskiego. Temperatura dochodziła do 50 st. C, a słońce paliło niemiłosiernie. Kiedy wsiedliśmy do wynajętej łodzi motorowej, niektórzy z turystów zaczęli wcierać w skórę kremy przeciwsłoneczne. Reakcja naszych przewodników była natychmiastowa – „osoby, które używają kremów z filtrem, nie mogą wchodzić do wody, zagraża to koralowcom i żółwiom” – poinformowali nas w sposób kategoryczny. Wywołało to sprzeciw – przecież ilość kremu, która dostanie się do oceanu, jest śladowa, to cząstka na miliony cząstek – ale przewodnicy byli nieugięci.

Jak się okazuje, mieli rację – kremy z filtrem przeciwsłonecznym są szkodliwe dla raf koralowych ze względu na zawarte w nich substancje chemiczne. Kiedy osoby korzystają z filtrów przeciwsłonecznych i wchodzi do oceanu, część tych substancji dostaje się do wody, w tym oksybenzon (benzofenon-3) i oktinoksat (ethylhexyl methoxycinnamate), składniki powszechnie stosowane w kremach przeciwsłonecznych, które – jak dowodzą badania – są szkodliwe dla koralowców: powodują ich blaknięcie, uszkadzają ich DNA oraz wywołują zaburzenia w procesie rozmnażania. Mogą także przyczyniać się do bielenia koralowców, co prowadzi do ich osłabienia i śmierci. Bielenie koralowców następuje, gdy koralowce tracą symbiotyczne glony (zooxantelle), które dostarczają im energii. Czyli chemikalia stosowane w kremach z filtrem mogą być wchłaniane przez koralowce, zakłócając ich cykl reprodukcyjny, rozmnażanie, wzrost i zdolność do przetrwania. Dodatkowo substancje przedostające się do wód morskich z filtrów przeciwsłonecznych wpływają na cały ekosystem morski, zagrażając żółwiom morskim i innym organizmom, takim jak ryby czy małe planktony, osłabiając wzrost zielenic,



Mariusz Jagóra

Od lat 70. XX w. obserwuje się znaczący wzrost liczby przypadków czerniaka na całym świecie, mimo rosnącego użycia kremów przeciwsłonecznych

które są niezbędne dla łańcucha pokarmowego.

Skoro śladowe ilości chemikaliów pochodzących z kremów mogą zagrozić ekosystemowi morskiemu, to warto zadać sobie pytanie, czy są bezpieczne dla człowieka.

CZŁOWIEK I SŁOŃCE

Człowiek wystawiony jest na działanie promieni słonecznych od setek tysięcy lat, radząc sobie z nadmiarem słońca na różne sposoby, zwykle szukając po prostu cienia. Ale w latach 30. XX w. wynaleziono kremy z filtrem przeciwsłonecznym. Eugène Schueller, założyciel L'Oréal, wprowadził na rynek jeden z pierwszych produktów chroniących przed słońcem. Zawierał on, jako filtr UV, benzylocynamid. W 1944 r. Benjamin Green, farmaceuta i chemik, stworzył preparat o nazwie Red Vet Pet (Red Veterinary Petrolatum), który stał się bazą dla kremu przeciwsłonecznego Coppertone. Na rynku zaczęły pojawiać się inne produkty, wykorzystujące różne chemikalia do ochrony skóry przed

promieniowaniem UV. Ale dopiero w latach 60. i 70. XX w. współczesne wersje kremów chroniących przed promieniowaniem ultrafioletowym stały się szerzej dostępne i powszechnie stosowane.

Najważniejszym argumentem osób zalecających stosowanie kremów przeciwsłonecznych jest ochrona przed promieniowaniem ultrafioletowym (UV), które może powodować oparzenia słoneczne, przyspieszone starzenie się skóry i zwiększać ryzyko raka skóry, w tym czerniaka, który jest najbardziej agresywną formą raka skóry. Dla wielu specjalistów w dziedzinie zdrowia korzyści z ochrony przed słońcem przeważają nad potencjalnymi zagrożeniami związanymi z ekspozycją na chemikalia w kremach przeciwsłonecznych. Jeśli to jest prawda, to liczba zachorowań na czerniaka powinna znacznie spaść, od kiedy zaczęto powszechnie stosować kremy z filtrem. Jest jednak odwrotnie.

Od lat 70. XX w. obserwuje się znaczący wzrost liczby przypadków czerniaka na całym świecie, mimo rosnącego użycia kremów przeciwsłonecznych.

W Stanach Zjednoczonych wskaźnik zachorowalności na czerniaka w 1975 r. wynosił ok. 7,9 przypadku na 100 tys. osób, a do 2019 r. wzrósł do ok. 27,77 przypadku na 100 tys. osób. To ponadtrzykrotny wzrost. W Australii wskaźnik zachorowalności wzrósł z 30 przypadków na 100 tys. osób w 1982 r. do 65 przypadków na 100 tys. osób w 2019 r. W Wielkiej Brytanii wskaźnik zachorowalności na czerniaka wzrósł z ok. 12 przypadków na 100 tys. osób w 1979 r. do ok. 33 przypadków na 100 tys. osób w latach 2016–2018. Także w Polsce liczba przypadków czerniaka złośliwego skóry wzrosła znacznie na przestrzeni ostatnich dekad. W 1970 r. odnotowano ok. 224 przypadków zachorowań na czerniaka, w 2019 r. liczba ta wzrosła do ok. 3,5 tys. przypadków (wzrost współczynnika z poziomu 1,2 w latach 70. do 5,6 na 100 tys. osób obecnie).

CHEMIA WE KRWI

Kremy z filtrem przeciwsłonecznym zawierają różne składniki chemiczne, które działają jako filtry UV, co ma chronić skórę przed szkodliwym działaniem promieniowania ultrafioletowego. Składniki te można podzielić na dwie główne kategorie: chemiczne filtry UV i fizyczne (mineralne) filtry UV. Chemiczne filtry UV działają poprzez absorbowanie promieniowania UV, przekształcając je w ciepło i zapobiegając jego penetracji w skórę.

Wspomniane wcześniej oksybenzon i oktinoksat, które szkodzą koralowcom, są także niebezpieczne dla ludzi. Według badań opublikowanych przez FDA składniki używane jako filtry chemiczne UV, takie jak oksybenzon, oktinoksat, oktisalat, oktokrylen, homosalat i awobenzon, są wchłaniane do organizmu przez skórę i można je wykryć na skórze i w krwiobiegu nawet kilka tygodni po ich ostatnim użyciu, co rodzi pytania o ich potencjalne skutki zdrowotne, zwłaszcza przy długotrwałym stosowaniu. Istnieją dowody sugerujące, że substancje te mogą naśladować działanie hormonów estrogenowych w organizmie, co prowadzi do zaburzeń hormonalnych i może potencjalnie zwiększać ryzyko nowotworów związanych z hormonami, takich jak rak piersi. Badania laboratoryjne wykazały, że oktinoksat może promo-

wać wzrost komórek nowotworowych w obecności światła UV, lecz skala tego efektu u ludzi pozostaje niejasna. Podobne reakcje wywołują inne chemiczne filtry, jak oktokrylen czy homosalat.

Inny filtr, Avobenzon (Parsol 1789), stabilny i skuteczny w pochłanianiu promieniowania UVA, może rozkładać się w obecności światła słonecznego, tworząc potencjalnie szkodliwe produkty uboczne. Chociaż nie jest to tak dobrze udokumentowane jak w przypadku innych filtrów UV, to istnieją obawy dotyczące jego działania zakłócającego układ hormonalny.

Badanie przeprowadzone w 2012 r. przez amerykańskich naukowców rządowych w ramach National Toxicology Program (NTP) zbadało wpływ palmitynianu retinylu, formy witaminy A, na rozwój nowotworów i zmian skórnych pod wpływem światła słonecznego (NTP TR 568). Prowadzone na zwierzętach badania wykazały, że stosowany w kremach przeciwsłonecznych jako antyoksydant retinyl palmitynian (forma witaminy A) może przyspieszać rozwój nowotworów skóry w obecności promieniowania UV. To działanie może być związane z fotodegradacją retinylu palmitynianu pod wpływem promieniowania UV, co prowadzi do powstawania wolnych rodników. Znaczący temat przywołują inne badania, które odkryły istnienie tzw. paradoksu kremu przeciwsłonecznego. Badacze doszli do wniosku, że osoby stosujące kremy z filtrem czują się bezpiecznie i przebywają dłużej na słońcu, co paradoksalnie zwiększa ryzyko uszkodzeń skóry i czerniaka, jeśli nie stosują „odpowiednich środków ochrony przed słońcem”. No cóż – osoby te uwierzyły nauce...

Skoro powszechnie wiadomo, że chemia stosowana jako filtry UV może przenikać przez skórę, jest wykrywalna w krwiobiegu i może potencjalnie zakłócać działania hormonów, to jakim cudem skala i znaczenie tego efektu u ludzi są nadal nieznane?

MILIARDOWY RYNEK

W 2023 r. globalny rynek kremów przeciwsłonecznych osiągnął wartość ok. 14,4 mld dol. Prognozy wskazują, że rynek ten będzie rosł i do 2032 r. ma osiągnąć wartość ok. 22,28 mld dol., przy przewidywanym rocznym wskaź-

niku wzrostu wynoszącym 5,16 proc. Na rynku kremów przeciwsłonecznych dominują liczne globalne firmy, wśród wiodących producentów znajdują się Johnson & Johnson (ten od szczepionki przeciwko COVID-19), L'Oréal Group, The Procter & Gamble, Unilever czy Amway.

Karmieni strachem ludzie obudzeni w nocy bez zastanowienia wyrecytują jak mantrę, że słońce zagraża naszemu zdrowiu. Zapominamy, że promienie słoneczne odgrywają kluczową rolę w produkcji witaminy D w organizmie człowieka. Witamina ta jest niezbędnym składnikiem odżywczym, który odgrywa ważną rolę w utrzymaniu zdrowia kości, układu odpornościowego oraz ogólnego zdrowia. W procesie syntezy witaminy D kluczową rolę odgrywa promieniowanie UVB – gdy skóra jest wystawiona na działanie promieniowania ultrafioletowego typu B z promieni słonecznych, dochodzi do syntezy witaminy D. Proces jest skomplikowany, jego końcowym efektem jest powstanie kalcytriolu, który jest aktywną formą witaminy D i pełni kluczowe funkcje w organizmie, jak wchłanianie wapnia i fosforu z jelit, co jest niezbędne do utrzymania zdrowych kości i zębów, regulacja układu odpornościowego, wpływając na odpowiedzi immunologiczne oraz wspomaganie funkcji mięśni i utrzymanie zdrowia sercowo-naczyniowego.

Niedobór witaminy D może prowadzić do osłabienia kości, osteoporozy, zwiększonego ryzyka złamań, a także osłabienia układu odpornościowego. W związku z tym odpowiednia ekspozycja na słońce, a także suplementacja witaminą D (szczególnie w okresach niskiej ekspozycji na słońce) jest ważna dla utrzymania zdrowia.

Jak ze wszystkim także podczas kąpieli słonecznych dobrze jest zachowywać umiar, żeby uniknąć poparzenia. Jeśli nie mamy możliwości schronienia się w cieniu i chcemy koniecznie skorzystać z kremu z filtrem w celu ochrony, to warto szukać preparatów zawierających filtry mineralne (fizyczne), jak tlenek cynku lub dwutlenek tytanu, które działają na zasadzie odbijania promieni UV, nie wchłaniają się do organizmu i są uważane za bezpieczniejsze dla skóry i środowiska.

AUDI Q7 50 TDI



FOT. JAP

Aż 1190 km. Tyle na jednym tankowaniu było w stanie przejechać podczas naszego testu Audi Q7 z napędem Mild Hybrid z rewelacyjnym, trzylitrowym silnikiem wysokoprężnym V6 w roli głównej (286 KM i 600 Nm). Imponujący zasięg to solidny argument nie tylko dla oszczędnych kierowców, lecz także dla ekologów. System miękkiej hybrydy sprawdza się w tym modelu zaskakująco dobrze, pozwalając kierowcy wykorzystywać zmieniające się warunki na drodze do długiej jazdy z wyłączonym silnikiem.

Możliwość przejechania potężnym SUV-em (w opcji siedmioosobowej) ponad 1000 km bez konieczności szukania stacji benzynowej daje również bardzo przyjemne poczucie wolności. I to właśnie ono w tym modelu jest dla mnie kluczowe.

Q7 jest nie tylko oszczędne, lecz także dynamiczne zarówno w trasie, jak i w mieście. Po przełą-

czeniu na sportowy tryb jazdy układ napędowy potrafi bardzo żwawo reagować na nagłe docisnięcie pedału gazu. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 6,1 s. Auto wyposażone w precyzyjny układ kierownicy i pneumatyczne zawieszenie pozwala na komfortową podróż, a jednocześnie w sportowym trybie umożliwia pokonywanie górskich serpentyn bez obaw o zbytne przechyły.

Model Q7 z 2024 r. wyróżnia wygląd. Model ten przeszedł bowiem drugi już lifting. Projektanci odświeżyli wzornictwo auta, nadając mu bardziej nowoczesny i nieco lżejszy wygląd przy zachowaniu muskularnej sylwetki. Uwagę przykuwają laserowe reflektory HD Matrix LED, które potrafią rozświetlić drogę na odległość niemalże kilometra. Podobać mogą się też wyraźnie zaakcentowane końcówki układu wydechowego.

Niemieccy projektanci odświeżyli również wnętrze Q7. System infrozrywki ma unowocześniony

interfejs i poszerzoną gamę aplikacji. Na ekranie wirtualnego kokpitu kierowca może zobaczyć wizualizację otoczenia. Efekt robi wrażenie zwłaszcza w nocy, gdy system pozwala błyskawicznie dostrzec np. pieszego zbliżającego się do krawędzi drogi. Auto jest najeżone systemami poprawiającymi bezpieczeństwo. Komputer pokładowy nie tylko sprawnie alarmuje o ryzyku kolizji, lecz także jeśli ktoś przed nami nagle mocno przyhamuje, to Q7 samo potrafi błyskawicznie uruchomić hamulce, skutecznie chroniąc przed stłuczką. System monitoruje też ruch poprzeczny (bardzo przydatne rozwiązanie na zatłoczonych miejskich parkingach) i informuje o samochodach w martwym polu. Wykończenie kabiny to udane połączenie nowoczesności, minimalizmu i wysokiej jakości materiałów (w tym włókna węglowego), choć obecność plastiku piano black w tej półce cenowej nieco dziwi. Dobre wrażenie robi też kufer o pojemności wynosi 867 l (aż 2 tys. l po złożeniu drugiego rzędu siedzeń).

Audi Q7 z silnikiem Diesla pod maską w wersji 45 TSI kosztuje 344,1 tys. zł. Za 50 TDI quarto tiptronic trzeba zapłacić co najmniej 362,9 tys. zł przy standardowych obręczach 19-calowych. Podczas ostatecznej konfiguracji łatwo przekroczyć granicę 400, a nawet 500 tys. zł (np. do 22-calowych felg z auta testowego trzeba dopłacić 18 tys., adaptacyjne pneumatyczne zawieszenie to koszt 12 tys. zł, reflektory Matrix LED niemal 8 tys. zł, a fajnych dodatków jest w ofercie sporo). ©©

SŁUCHAWKI TURTLE BEACH STEALTH PRO

Dobre brzmienie w grach, ergonomiczny projekt, łatwa do szybkiej wymiany bateria, niezły mikrofon oraz stabilna łączność – to największe zalety bezprzewodowych słuchawek z wyższej półki znanej graczom amerykańskiej firmy Turtle Beach.

Model Turtle Beach Stealth Pro został ergonomicznie zaprojektowany. Dzięki temu utrzymane w stonowanej stylistyce słuchawki w grubych nausznikach można godzinami komfortowo nosić na głowie. Zaletą są również obrotowe muszle. Jakość wykonania jest bardzo dobra. Już pasywna redukcja hałasu sprawdza się dobrze, a po włączeniu ANC jest po prostu świetnie. Słuchawki skutecznie izolują gracza od świata zewnętrznego (z pożytkiem dla obu światów, a zwłaszcza dla jakości życia rodzinnego).

Na pochwałę zasługuje także możliwość wykorzystania jednocześnie wi-fi i modułu Bluetooth. Plusem jest też możliwość szybkiej wymiany akumulatora. W zestawie są dwa akumulatory (jeden wystarcza na kilkanaście godzin intensywnego użytkowania) oraz stacja bazowa do ich



ładowania. Energii nigdy nie powinno więc zabraknąć. Na pochwałę zasługuje również praktyczne oprogramowanie dostępne nie tylko na PC, lecz także na smartfony (z systemem Android lub iOS).

Model Turtle Beach Stealth Pro dobrze sprawdza się jako typowe słuchawki gamingowe. Brzmienie jest pełne szczegółów, dzięki czemu bez trudu można wyłowić kluczowe dźwięki ostrzegające przed niebezpieczeństwem (zbliżające się kroki, przeładowanie magazynka etc.) i określić, z którego kierunku padają strzały. Teoretycznie model ten nadaje się też do słuchania muzyki, ale pod tym względem nie trzeba być audiofilem, aby zauważyć istotne wady tych słuchawek: dominuje tu dobry, mocny bas, ale średnie, a zwłaszcza wysokie tony powinny brzmieć istotnie lepiej. Nie zachwyca również jakość dźwięku z mikrofonu. Jest poprawnie, ale bez rewelacji.

Inne minusy? Słuchawki są stosunkowo ciężkie (422 g). Gładkie przyciski mogłyby być lepiej wyczuwalne, by łatwiej można je było obsługiwać bezwzrokowo. Wygodne jest za to pokrętło do regulacji głośności. Bateria na jednym ładowaniu wystarcza na kilkanaście godzin pracy. Minusem jest też wysoka cena. Testowana wersja na Xbox kosztuje 1398,98 zł. ©©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LUTYCH

eprasa.pl 7d265be083

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Którędy na pospolite ruszenie?



JACEK KOMUDA

Do dziś przetrwało kilka miast i miasteczek, w których w dawnej Polsce gromadziło się pospolite ruszenie, a w niezmiennie rzadkich latach, kiedy nie prowadziła ona wojen, zbierała się szlachta na tzw. lustracje albo okazywania. Były to po prostu przeglądy panów braci z danej ziemi, województwa albo powiatu, na których prezentowali oni swoje zbrojne pocztę, broń, czeladź, słowem – okazywali siłę szlachty, która mogła być użyta w razie potrzeby do obrony granic.

Gdzie były miejsca lustracji? Zwykle w stolicach ziem i województw, ale nie zawsze. Okazywania szlachty krakowskiej zwoływano pod Kazimierzem. Wiemy, że odbyły się przynajmniej trzy tego typu zjazdy w latach 1619, 1632 i 1635. Lustracje poznańskie odbywały się oczywiście pod Poznaniem, stolicą województwa. Sandomierskie z kolei gromadziło się w Koprzywnicy położonej na południowy wschód od stolicy. Szlachta ziemi dobrzyńskiej zjeżdżała się na polach pod Lipnem. Podlasie pod zamkiem w Bielsku. Województwo lubelskie spotykało się pod Lublinem, na łakach nad rzeką Bystrycą, podolskie pod Balinem, natomiast płockie pod Raciążem. Ciekawym przypadkiem było Mazowsze, gdzie szlachta zjeżdżała na okazywania zwykle w jednym z trzech miast – Warszawie, Zakroczymiu albo w Łomży.

Terminy popisów szlacheckich były zwykle stałe. Na przykład popis obywateli ziem łwowskiej i żydaczowskiej odbywał się w pierwszy poniedziałek po drugim Niedzieli Wielkanocnej „na polu u św. Krzyża pod Lwowem”. Szlachta przemyska spotykała się pod Medyką, ale w razie bezpośredniego zagrożenia miała zebrać się na polach nad rzeką Rak, między Są-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

dową Wisznia i Rodatyczami; dziś na Ukrainie, mniej więcej tam, gdzie przebiega droga M11. Tutaj odbył się wielki zjazd szlachty przemyskiej w 1572 r., w czasie bezkrólewia, a szlachetnie urodzeni zaprzysięgli sobie, że wszyscy stawiają się na elekcję nowego władcy, a do tego czasu gwarantują sobie bezpieczeństwo. Na króla zaś wybrany ma być „nie ten, co kupuje głosy, nie tchórz i nie zapamiętalec”. Popisy ziemi sanockiej odbywały się w Sanoku, pod zamkiem, zapewne na błoniach nad Sanem, mniej więcej w miejscu, gdzie dziś znajduje się miejski ośrodek sportu.

Rejestry okazywania szlachty to dziś niesamowite źródło do poznania liczebności tego stanu, który wbrew opiniom lewackich historyków, usiłujących wtłoczyć do głów Polaków przekonanie, że wszyscy pochodzimy od chłopów, okazuje się niezwykle rozrodzony i liczny. Głównie za sprawą tego, że na pospolite ruszenie stawiała się przede wszystkim uboga szlachta zaściankowa, dla której to jedyna okazja, aby zmanifestować swoją odrębność od chłopów i plebejów. Wielu z owych szaraczków przychodzi pieszo, w lipowych butach, w szyszkach z drewna, aby stawić się i okazać gotowość do obrony Rzeczypospolitej. Jak czytamy w rejestrze jednego z popisów ziemi łwowskiej, stawili się tam np. „szlachetny Iwan Zapłatyński z ptaszniczką i siekierką, szlachetny Fedor Dobrowański z Bratkowic był per-

sonaliter na popisie pieszo z kijem, szlachetny Iwan Jasiński Wołosowicz, był pieszo z kijem, szlachetny Roman Hoszowski personaliter pieszo z kijem”. Przy czym należy pamiętać, że ów „kij” to nie dębowa laga, ale prymitywna strzelba, rodzaj samopalu.

Najpełniejsze okazowania i ich rejestry pochodzą z czasów bezpośredniego zagrożenia danej ziemi lub danego województwa. W 1648 r. szlachta ziemi przemyskiej przybyła 28 września do Medyki w liczbie ok. 1 tys. zbrojnych, najwięcej wśród nich jest oczywiście drobnej szlachty zbrojnej w szable i rusznice, często bez koni bojowych. 70 Jaworskich, 46 Kulczyckich, 36 Winnickich, 23 Bilińskich, 20 Kruszelnickich, 19 Horodyskich i wielu, wielu innych. Rok później na wyprawę zborowską udaje się ok. 800 szlachty, tyle że to nie wszyscy, ponieważ ziemia przemyska wystawia własnym kosztem jeszcze trzy chorągwie husarskie liczące ok. 300 koni i dwie piesze – 200 ludzi. Dodajmy do tego drugie tyle szlachty, która z powodu wieku, chorób, kalectwa nie mogła ruszyć do obozu, a uzyskujemy ok. 1,4 tys. panów braci, samych tylko mężczyzn, bez niewiast, dzieci, służby dworskiej i magnackiej również wywodzącej się ze stanu szlacheckiego. A wszystko to zebrane w małym zakątku Rzeczypospolitej. Ile tysięcy tej szlachty było na znacznie gęściej zaludnionym Mazowszu, w województwie krakowskim, na Podlasiu, można sobie tylko statystycznie wyliczyć. Śpieszmy zatem odwiedzić popisy panów braci, okazując przywiązanie do tradycji i patriotyzmu, zanim różne Janickie, Twardoszk i Leszczyńskie, heroldzi Polskiej Sowieckiej Republiki Europejskiej, wykreślą nas z rejestrów Polaków. ©



SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

Kulinarna poezja

Przynajmniej raz w roku jesteście w Kołobrzegu. Przyciągają nas tam wspomnienia związane z Mamą – bardzo lubiła to sanatoryjne miasto – oraz Herbertiada. Spotkanie z poezją i filozofią Zbigniewa Herberta zawsze jest czymś niezwykłym. Trudno bowiem spotkać w jednym miejscu tak wielu ludzi zakochanych w Herbertcie, w tym organizatorów tego wyjątkowego w skali Polski i świata przedsięwzięcia, czyli Katarzynę i Jacka Pechmanów.

W tym roku obchodzono jubileusz ćwierćwiecza Herbertiady i przy tej okazji pokazano piękny spektakl „Książę i Luna” Przemysława Tejkowskiego oraz znakomity koncert „Podróże Pana Cogito” Hadriana Filipa Tabęckiego z udziałem studentów warszawskiej szkoły teatralnej.

Podczas tych kołobrzeskich spotkań działamy w zgodnym duecie – podczas gdy Ania, która pisała z Herberta pracę magisterską, dopytuje o szczegóły związane z poetyką i okolicznościami powstawania wierszy, Magda zbiera wspomnienia. W tym roku miałyśmy przyjemność poznać siostrzenicę poety – przemiłą panią Beatę Lechnio. Korzystając z okazji, postanowiłyśmy – jak to my – pociągnąć wątek kulinarny. I okazało się, że nasz wielki poeta, kandydat do Literackiej Nagrody Nobla, uwielbiał... ruskie pierogi. Domagał się ich regularnie, więc mama poety, pani Maria, robiła je tak, jak robiło się je w rodzinnym Lwowie – dobrze rozwałkowane ciasto i tradycyjny farsz. Gdy je przynosiła, mówił: „Pierozynska przychodzi” – pisze w swojej książce pt. „Mój wujek Zbyszek” pani Beata Lechnio.

Wypytałyśmy jednak o inne dania, które lubił poeta, i okazuje się, że potrafił zrobić bigos. Herbertowski bigos składał się z kapusty kiszzonej i słodkiej pół na pół – oprócz tradycyjnych dodatków – zawierał także czerwone wino, suszone śliwki i miód. Dokładnie taki sam bigos robiła nasza mama. Był idealny, nie za kwaśny i lekko słodkawy, po prostu perfekcyjny.

Chyba nie ma wiersza Herberta o bigosie, ale nasza licentia poetica podpowiada nam, jak go zrobić.



Bigos Herberta

- 1 kg kapusty słodkiej, czyli ok. ½ średniej główki
- 1 kg kapusty kiszzonej
- 2 duże cebule
- 500 g mięsa wieprzowego
- 200 g kielbasy
- 2–3 szklanki wody
- 10 sztuk suszonych śliwek
- 200 ml wina czerwonego wytrawnego
- 1 duża łyżka miodu
- 1 łyżka koncentratu pomidorowego
- 1 łyżka maki
- 2 łyżki masła
- 1–2 sztuki listka laurowego
- 2–4 ziarenka ziela angielskiego
- 1 łyżeczka majeranku
- sól, pieprz czarny i biały po ½ łyżeczki
- olej do smażenia

Mięso opłukać i pokroić na drobną kostkę, podsmażyć na odrobinie oleju, tak samo cebulę i kielbasę. Kapustę słodką pokroić na drobne paski, przełożyć do dużego garnka, zalać wodą i gotować przez 30 min, następnie dodać kapustę kiszzoną, podsmażone mięso, kielbasę i cebulę, przyprawy, śliwki. Całość dusić na małym ogniu ok. 3–4 godz., aż wszystko będzie miękkie. Na koniec dodać czerwone wino, przecier pomidorowy, masło. Dobrze zamieszać. Smacznego! ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Norweski sweter

Dumą i popisowym produktem turystycznym są dla Norwegów swetry. Norweskie swetry z owczej wełny, ozdobione ludowym wzorem, można zobaczyć jeszcze na zdjęciach narciarzy z lat 50. i 60. Spodnie z sukna, gruby sweter, skórzane buty „narciarzy” zapinane na metalowe haczyki, narty hickory.

To nie wróci, może to i lepiej. Obecne ekipy sportów zimowych ubierane są lekko, cienko, ciepło, nieprzemakalnie. Panuje przekonanie, że sweter stał się czymś przestarzałym, dobrym co najwyżej na sesję przy kominku, ale np. do uprawiania sportu niezdatnym. Bo nowoczesne mają być tylko tkaniny techniczne. Ale to nie znaczy, że wełna wycofała się z użycia.

Trudno uwierzyć, że w tak bogatym kraju jak Norwegia komuś chce się jeszcze robić na drutach, jednak nigdzie nie widziałam tylu sklepów z wełną i oprzyrządowaniem do roboty na drutach, jak właśnie tam. Może jeszcze na Wyspach Owczych... Ciemna i zimna zima stwarza ku temu idealne warunki, ale przecież o tyle prościej byłoby ulec współczesności i zlegnąć na kanapie przed Netflixem, a sweter kupić w sklepie.

Mimo tych sklepów, tej włóczki i pięknej tradycji trudno znaleźć Norwega w owczym swetrze. Wybrali masowo polary i podejrzewam, że młode pokolenie już nawet nie zateśni za wełną. Która – wiadomo – gryzie, jest

cięższa niż polar i trudniejsza w obsłudze. Trzeba umieć uprać, żeby ze swetra ojca nie został sweterek dla trzylatka.

Niejedni Norwegowie chlubią się swetrami, mają je w swojej garderobianej skarbnicy wszyscy mieszkańcy północy. Aran, którego miejscem urodzenia są wyspy Aran na zachód od Irlandii, potrafi obronić tamtejszych rybaków przed zimnem i wilgocią. Ozdobiony warkoczami lub wypukłymi wzorami, w wersji podstawowej biały, brązowy, zielonkawy. Gdy parę lat temu maj w Szkocji zaskoczył mnie zimnem, kupiłam sobie aran. Mam go na wsi i pożyczam gościom, jeśli marzną. Jest niezniszczalny. W ostatnich latach moda wydarła bretońskim rybakom ich ikoniczny sweter granatowy lub biały w granatowe paski, zapinany na ramieniu na trzy guziki. Gruby, ciężki, o zwartej strukturze.

Zwiedzając Muzeum Wojny w Narwiku, gdzie – jak wiadomo – nasza Brygada podhalańska biła się z Niemcami, zatrzymałam się przed mundurami i korzystając z nieuwagi pilnujących, pomaçałam wszystkie te świetnie zachowane obiekty. Elegancja mundurów jest niedościgniona, a docenić ją można lepiej z dzisiejszej perspektywy rozlanych T-shirtów i dziurawych džinsów. Mundur marynarzy norweskich uszyty jest z granatowej wełny, cienkiej, zwartej. Do dziś, po 85 latach, nie stracił koloru ani miękkości. Też bym poszła do boju w takim mundurze. ©



Jerzy Karwelis

DEKAMERONKI

Olimpiada dla plemiennych

Kiedy okazało się, że to przez PiS słabo wypadliśmy na ostatnich igrzyskach olimpijskich, ujawniła się już chyba stała praktyka: za wszystkie niepowodzenia dzisiejszej władzy będą odpowiadały ukryte złośliwości PiS-owców zakonspirowane w publicznych instytucjach. A że mamy instytucji sporo w kraju, to polowanie będzie procesem ciągłym, zajmującym co prawda topniejące szeregi ośmiogwiazdkowców, ale nadrabiające ten regres wzrostem agresywności. Zawsze się gdzieś znajdzie jakiś PiS-owiec niedorzędnym, a zwłaszcza w polskim Komitecie olimpijskim, gdzie – wedle uśmiechniętych telewizji – uwiła sobie gniazdo cała zorganizowana grupa przestępcza, zwana dla niepoznaki rodziną.

Żeby jednak nie było nudno, to na osłodę ludowi niezadowolonemu z wyników sprofanowanych przez PiS-owskich siepaczy dano jakąś nadzieję. Będziemy i my mieli swoje igrzyska olimpijskie. Co prawda, ogłaszająca to władza zapewne tego nie dożyje, ale nieweryfikowalne obietnice nic nie kosztują, za to w czasach postpolityki wychodzi, że można nagadać wszystko, gdyż wyborca nie tyle ma pamięć złotej rybki, ile zadowala się spełnieniem obietnic na poziomie już tylko plemiennych emocji. A tu wszystko pasuje – igrzyska skopał PiS, trzeba ich tropić, a do olimpiady w 2044 r. to się ich wszystkich wyłapie i impreza się niechybnie uda.

Zacząłem się zastanawiać nad tą polską wersją igrzysk. Jak by wyglądało to nasze otwarcie takiej imprezy? W końcu to za 20 lat. Już ta paryska pokazała, że kulturowo jako Europa daleko zaszliśmy, aż tak, że nie wiadomo, czy można dalej. Można, można. Polska impreza będzie miała charakter zależny od aktualnie rządzącej ekipy. Jak będą za 20 lat rządzili u nas płomienni dzierżawcy monopolu na patriotyzm, to zobaczymy na otwarciu stroje ludowe i polską zdrową przaśność. Jak będą rządzić dzisiejsi postępowcy, to pewnie przelicytujemy paryską imprezę. Jako aspirujący, zakompleksieni kulturowi nuworysze i tak musimy się starać.

Czy popłyną wtedy brudną rzeką reprezentacje spławione przez „gondolierów znad Wisły”? Jaki obraz sprofanują polscy dekonstruktorzy kulturowi? „Hołd pruski” w wykonaniu drag queen? „Bitwę pod Grunwaldem” zainscenizowaną w gejowskim dark roomie? Kto zastąpi śpiewającą głowę Marii Antoniny? Może szubieniczny biskup Massalski, powieszony przez lud warszawski, nucący „Imagine”?

To, że nic z tych igrzysk u nas nie będzie, to jasne. Ale tak pomyśleć przy takiej okazji, jak będzie wyglądać w 2044 r. nasz kraj, to może być inspirujące. Ciekawe, czy dalej będzie plemiennie jak dziś? Bo to chyba bardziej pewne niż te całe igrzyska olimpijskie w Polsce. ©©



Jan Pospieszański

#WARTO

Widziałem Polskę wierzącą

Ponieważ tygodnik ukazuje się właśnie w poniedziałek 26 sierpnia, a tego dnia przypada uroczystość Matki Bożej Częstochowskiej, przywołam kilka obrazów, które nijak nie pasują do lansowanych tez o galopującej sekularyzacji i o nieuchronności modernizacji Kościoła, by zatrzymać odpyływ wiernych. Scena z sierpnia – kolegiata pw. Przemienienia Pańskiego w Garwolinie. W dni powszednie na wieczornych Mszach kościół wypełniony do ostatniego miejsca. Codziennie w czasie pielgrzymki na Jasną Górę trwa specjalna modlitwa duchowej łączności z tymi, którzy pokonują trasę do Częstochowy. Podobnie jest w całej diecezji siedleckiej.

Kolejny obrazek to Maciejowice. Na wieczornych Mszach, w dzień powszedni, również pełen kościół ludzi. W dniach pielgrzymki – do 13 sierpnia włącznie – ks. proboszcz głosił specjalne katechezy, na których przypominał naukę katechizmu odnośnie do siedmiu grzechów głównych. Przyznam, że teologiczny poziom kazania i zaangażowanie duszpasterza budzą szacunek, bo podobnie rzetelnie przygotowanych homilii ze świecą szukać w wielkomiejskich parafiach.

I kolejny kościół tej diecezji – pw. Matki Bożej w Wildze. We wspomnienie liturgiczne św. Piusa celebrans odprawiał Mszę św. w orancie przedsoborowym i choć był to dzień powsze-

dni, zastosował pierwszą modlitwę eucharystyczną, wygłosił poruszającą homilię, w której wychodząc od czytań mszalnych, sporo mówił o reformach wielkiego papieża. Była to odważna refleksja o zagrożeniu modernizmem z odniesieniem do obecnej sytuacji w Kościele. Moją uwagę zwrócił też organista, którego wrażliwość i kompetencje w zakresie harmonii dorównują pewnie niejednemu wykładowcy studiów organistowskich.

I na koniec obrazek z parafii na południowych krańcach diecezji siedleckiej. W Gończycach, gdy do proboszcza dotarła wiadomość o duchowym zagrożeniu, którego doświadcza jedna z rodzin, gdzie rodzice walczą o nawrócenie swojej latorośli, ksiądz zarządził szturm modlitewny. Idąc śladem misjonarza, który posługując w Związku Sowieckim, stosował taką metodę, poprosił wiernych o wspólne odmówienie modlitwy „Ojcze nasz”, ale tysięcy razy! Po wieczornej mszy niemal wszyscy zostali w kościele i pod przewodnictwem proboszcza, do godz. 4, trwała modlitwa wstawiennicza. Gdy opowiedział mi o tym, a ja wyraziłem zdziwienie, proboszcz z uśmiechem wyznał, że na swoich wiernych zawsze może liczyć, skoro tylko z jego parafii na pieszej pielgrzymce w tym roku było 250 osób. Świat chyba jeszcze nie jest taki zły. Trzeba wyłączyć telewizor i wyjechać 70 km poza Warszawę. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Fikołki po tankowaniu

PiS kradł i ci nowi z wysokimi standardami słusznie ich rozliczają. Stop. Stanowisko stracił Bartłomiej Ciałyński, wiceminister sprawiedliwości. Stop. A nie, zaraz, bo się pomyliłem, ten nowy to jednak z Lewicy, czyli z rządzącej koalicji, a nie z PiS, ale rączki lepkie, lepkie. Stop. W jego sprawie jest kilka fikołków, czyli koncertowe mydlenie oczu ludziom normalnym: pan Bartek zarabiał na państwowej posadzie 40 tys. zł miesięcznie i miał służbowy samochód. Stop. Na początku lipca został wiceministrem sprawiedliwości i... po kilku dniach (!) pojechał sobie na zagraniczny prywatny urlop służbowym samochodem ze starej, ale też państwowej roboty. Stop. Mało tego, nasz oszczędny koleżka tankował auto, płacąc służbową kartą, więc w zasadzie można powiedzieć, że wiceminister sprawiedliwości po prostu kradł publiczne. Stop. Nieźle standardy, ale dalej jest ciekawiej, bo wiceminister dodał: „Nie miałem świadomości, że nie mogę tego uczynić”. Stop. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to to, że pan chyba upośledzony, skoro nie miał świadomości, iż jazda na prywatne wakacje służbowym samochodem z pracy, w której już nie pracuje, i płacenie służbową kartą jest czymś wysoce nagannym. Stop. Takie mamy nowe standardy...

Szef Światowej Organizacji Zdrowia podał, że

98 proc. przypadków małej ospy stwierdzono u homoseksualnych mężczyzn, ale że „nie należy stygmatyzować”. Stop. „Nie należy stygmatyzować” – 98 proc. Od siebie dodam, bez stygmatyzowania oczywiście, że oprócz paskudnych ranek i strupów na ciele choroba może być śmiertelna. Stop.

Partia Zielonych rozważa wystawienie własnego kandydata na prezydenta. Stop. Gotowość podjęcia się takiego wyzwania zadeklarowała Klaudia Jachira. Stop. Szczycę się rozbuchaną wyobraźnią i próbowałem sobie wizualizować tę osobę prezydencką, niestety, tu wyobraźnia mnie zawiodła... Stop. W zasadzie dzięki Bogu zawiodła.

Kopanią rozrywki okazują się filmiki z działań wczorajszej opozycji, a dzisiejszej koalicji rządzącej. Stop. Na portalu X przypomniano m.in. dramatyczny klip z Szymonem Hołownią nad Odrą z 2022 r. zaczynający się od słów: „Ta rzeka jest zatruta, ale polskie państwo nie wie, czym ona jest zatruta”. Stop. Potem Hołownia obwinia państwo PiS-owskie, że nie zajmuje się obywatelami i „ta zaraza będzie się rozszerzać, Niemcy to zbadali i mówią, rtęć”. Stop. Myślę, że takie Hołownie zrobiłyby dużo, by w czasie aktualnej, choć nie rtęciowej zarazy i śniętych ryb egzaltarskie filmiki znikły. Tymczasem są, dostarczając nam gigabajty radości i przypominając prostą konstatację: punkt pitolenia zależy od miejsca siedzenia. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Ciała przeciw prawom

Bardzo ciekawe rzeczy działy się na ostatniej konwencji wyborczej Partii Demokratycznej w Chicago. Wydarzenie to, zorganizowane z ogromnym rozmachem, przypieczętowało miało nominację w wyścigu prezydenckim dla Kamali Harris i Tima Walza. Tu niespodzianek nie było, przeważająca większość delegatów zagłosowała zgodnie z zaleceniami partyjnych liderów.

Na jednej z głównych ulic Chicago, Michigan Avenue, już od pierwszego dnia konwencji demonstrowali ramię w ramię zwolennicy aborcji, aktywiści LGBT oraz propalestyńscy działacze zarzucający demokratom popieranie odbywającego się w Gazie ludobójstwa. Ugrupowania te zawarły w Chicago koalicję o nazwie Bodies Outside of Unjust Laws (Ciała przeciw niesprawiedliwym prawom) i wspólnie ustaliły listę trzech priorytetowych żądań, których spełnienia domagać się będą od swoich polityków. Są to: wezwanie do zawieszenia broni w Gazie, wsparcie prawodawstwa gwarantującego „prawa reprodukcyjne kobiet” i zaostrzenie ochrony prawnej mniejszości LGBT.

Elizabeth Lalasz, jedna z liderek protestu, zarzuciła demokratom przymykanie oczu na ograniczanie prawa do aborcji, nazywając ich zarazem „pomocnikami Netanjahu i armii izraelskiej prowadzącej wojnę w Gazie”. Organizatorzy protestu twierdzą, że odbywa się on

„w solidarności ze wszystkimi, którzy walczą o uzyskanie kontroli nad tym, co dzieje się z ich ciałami”, i protestują przeciw wspieraniu Izraela pomocą wojskową, którą „można by wykorzystać na opiekę zdrowotną”. „Wierzymy, że miliardy dolarów oraz strumienie broni płynące do państwa Izrael mają ogromny, przerażający wpływ, zwłaszcza na kobiety, dzieci i nieurodzonych. Wszystko to jest ze sobą powiązane” – przekonują działaczki.

Na ulicach Chicago spotkali się więc kobiety przebrane za pigułki wczesnoporonne, skandujące hasło „Pieprzyć sądy, pieprzyć państwo, nie zmuszcie nas do prokreacji”, oraz aktywiści proarabscy powiewający flagami Palestyny i żądający nałożenia embarga na Izrael. Wspólnie z nimi maszerowali aktywiści transseksualni i działacze LGBT. Jak komentował niezależny kandydat na prezydenta USA Cornel West: „To nie jest polityczny makiawelizm. Tu chodzi o moralność i sprawy duchowe”.

W zorganizowanym w budynku konwencji „neutralnym płciowo pokoju modlitw” na podłodze rozłożone są muzałmańskie dywany modlitewne, nie ma jednak symboli żydowskich lub chrześcijańskich. Pod sufitem świeci jedynie neon popularnej w Chicago sieci pizzerii Giordano's. Do „neutralnej płciowo” modlitwy miejsce to pasuje jak ulał. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Igrzyska, których nie było

Dla zagorzałego kibica wszystko, co dotyczy igrzysk olimpijskich, jest ciekawe. Poza samymi zawodami uroczystości otwarcia i zamknięcia olimpiady zawsze są okazją do popisów organizatorów, którzy chcą podkreślić niezwykłość swojej imprezy wobec miliardów widzów telewizyjnych. Starania te zawsze mają jednak jakąś ogólniejszą wymowę, choć nie zawsze taką, jaką założono. Impreza paryska była manią wielkości w postmodernistycznym chaosie, w którym zbyt wiele rzeczy wyglądało inaczej niż nam pokazywano. Na początek ekipy sportowców płynęły łodziami po Sekwanie, nie bardzo wiadomo dokąd, bo chyba na ko-

się w rytm techno. Byli śpiewaczka operowa i gitarzyści hard rocka rozmieszczeni gdzieś po oknach i balkonach sąsiednich domów. Po braterstwie musiało pójść „siostrzeństwo”. Wśród wyrastających z cokołów postaci najważniejszych Francuzek zabrakło oczywiście Joanny d’Arc, ale była Simone de Beauvoir. Na szczęście zacięła się machina i czołowa feministka nie wychyłała z cokołu. Jeśli tak zależało organizatorom na kobietach, to czemu pozwolili, by były bite przez mężczyzn na bokserskim ringu? Na jednej z łodzi płynęła ekipa „uchodźców”. Nie wyjaśniono, kim oni są i jak ich wyłoniono. Czy mieli już azyl czy stanowili tylko część „nielegalów”, składną

ne Brytyjczyka, było kwintesencją ateistycznej pretensji do zbawiania świata. Skoro ma ono polegać na likwidacji religii i narodów, to dlaczego podczas igrzysk pozwalamo machać flagami narodowymi i grać hymny państw? Bluźniercze płąsy wokół szyderczej „Ostatniej wieczerzy” i satanistyczna pieśń wyjaśniły, że gwarantem pokoju i harmonii między ludźmi może być Lucyfer, a nie ktokolwiek inny. Co to wszystko miało wspólnego z ideą olimpijską barona de Coubertin? Trudno zgadnąć.

Poza tą eksplozją sztuki organizatorzy starali się popisać ekologiczną poprawnością, serwując sportowcom głównie dania wegańskie, bo wiadomo, że krowy zatruwają powietrze, ale z wodą sobie nie bardzo poradzą, puszczając triathlonistów do Sekwany, by potem chorowali na zatrucie. Wielu zawodników nie mieściło się w tekturowych łózkach. Dzielni ludzie, bo jakoś sobie z tym poradzili. Zresztą wyczyny wyczynowców były godne podziwu.

Na zakończenie zakończenia igrzysk szef komitetu organizacyjnego pochwalił się sukcesami sportowymi Francuzów, a Tom Cruise zabrał flagę olimpijską do Los Angeles, gdzie odbędą się następne igrzyska. Przywitał ją zespół rockowy na plażowej scenie, w którym wyróżniał się półnagi i łysy facet w żółtych gaciach. Nie wróży to najlepiej duchowi olimpijskiemu. Można mieć tylko nadzieję, że kalifornijska policja nie aresztuje ekipy CitizenGo, protestującej przeciw bluźnierstwom organizatorów. W Paryżu skuto ich kajdanami, kazano rozebrać się do naga do kontroli „antynarkotykowej” i wrzucono do cel z przestępcami. Chyba już wyszli na wolność, ale pewności nie mam. ©

Organizatorzy starali się popisać ekologiczną poprawnością, serwując sportowcom głównie dania wegańskie, bo wiadomo, że krowy zatruwają powietrze. Ale z wodą w Sekwanie sobie nie bardzo poradzą

nec wszyscy zgromadzili się wokół sceny z oficjelami, ale trzeba by lepiej znać topografię Paryża, by to rozplątać. Jakiś tajemniczy osobnik bez twarzy skałał ze zniczem po paryskich dachach, co było zaprzeczeniem idei sztafety ludzi dobrej woli. W tym czasie na brzegach rzeki trwały nieskoordynowane tańce. Były akcenty rewolucyjne z chmurą czerwonego konfetti, ilustrującego krew przelaną podczas rewolucji. O mały włos nie zainscenizowano egzekucji na gilotynie, bo w oknie pokazała się postać królowej Marii Antoniny z uciętą głową – prawdziwy symbol wolności i efektywności. Rewiowe tancerki tańczyły kankana, niezbyt zgodnie wywijając nogami, ale byli też osobnicy niejasnej płci w dowolnych strojach szamoczący

starannie odseparowanych od imprezy przy pomocy tysięcy żołnierzy i policjantów? Notabene, skoro przestaniem igrzysk była walka z wykluczeniem, to dlaczego z centrum Paryża usunięto tych wszystkich „uchodźców”, którzy tam załatwiali swoje sprawy? Kiedy tajemniczy rycerz na mechanicznym koniu posuwał się już po wodach Sekwany, odbywał się, nie wiedzieć czemu, pokaz mody. Modelki, jak to kobiety, przyciągały uwagę najdziłszymi fantazjami strojów, ale modele męscy wyglądali w fartuszkach i rajstopach dość żałośnie. Czy ta cała mieszanina efektów miała obrazować kulturę francuską? Jeśli tak, to można mieć wątpliwość, czy ona w ogóle istnieje. Miaukliwe wykonanie „Imagine” Johna Lennona, notabe-

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Cytuję list od księdza: „Pan zaczynając pracę na Jarmarku Dominikańskim, uczynił znak Krzyża Świętego, a ja nie byłem ani w sutannie, ani pod koloratką. Bardzo się zawstydydziłem”.

Odpisałem tak: „Trwa wojna z Kościołem – oficerowie powinni chodzić w pełnych mundurach. Sutanna na ulicy zniechęca muzułmanów – im więcej sutann i koloratek, tym oni mniej chętnie osiedlają się w takim kraju. Mundur kapłana w miejscu publicznym jest naszą obroną przed zalem islamu. Ponadto mundur kapłana jest dla niego samego zbroją – do księdza po cywilnemu podejdzie kobieta flirtować, a do faceta w sutannie raczej nie. Koloratka jest dla księdza tym, czym dla mnie obrączka na palcu. Księdza uwiera koloratka? Czy ja z tego samego powodu mam zdejmować obrączkę?

Ksiądz w sutannie w pociągu – jest szansa, że ktoś poprosi o spowiedź lub poradę duchową. Gdy podróżuje w cywilu, okrada ludzi z tej szansy. Gdyby ksiądz przyszedł na moje stoisko w sutannie, to ja mam wtedy i tylko wtedy okazję prosić o błogosławieństwo z nałożeniem rąk. Tylko kapłan katolicki ma władzę, by mnie błogosławić w taki sposób. Mój własny Ojciec już w niebie, żona męża pobłogosławić nie może, bo nie ma nad nim władzy, więc poprawnie katechizmowo tylko księdza mogę o to prosić. I TEGO mnie ksiądz pozbawił, przychodząc jako tajniak. Przed tajnikami nie klękne, nie poproszę, by nałożył ręce, bo byśmy obaj siali zgorzienie – ludzie patrzą na faceta w trykotowej koszulce, który łapie WC za głowę – co to jest? Seans uzdrawiacza?”.



FOT. W. CEROŃSKI/D. JAROSZ/ANSA

Zawsze gdy mam okazję, proszę o błogosławieństwo, bo do mnie przychodzą także opętańcy – wrzeszczą, złorzeczą, przeklinają, ale do pobłogosławionego nie podchodzą blisko, jakby się brzydzili. W tym roku był jeden, który przyłaził dzień po dniu. Stał pięć metrów ode mnie i bluzgał. Co miałem robić? Wyciągnąłem w jego stronę dłoni i zacząłem zmawiać modlitwę: „Święty Michale Archanielu, broń nas w walce...”. Zmawiam i widzę, że ludzie koło mnie też wyciągnęli ręce w jego stronę i modlą się ze mną. Gdyby to ktoś sfotografował, byłby w sieci skandal: WC i jego zwolennicy hajlują w Gdańsku.

Przed każdą robotą publiczną zmawiam modlitwę odganiającą demony napisaną dla laikatu, obsypuję teren wokół siebie solą egzorcyzmowaną, olejem egzorcyzmowanym stawiam znaki krzyża na rogach stoiska, ale mimo tych zabiegów czasem przylezie jakiś opętaniec. I co ja na nich mogę jeszcze mieć? Stan łaski uświęcającej plus każde błogosławieństwo poprzez nałożenie rąk, które byłem w stanie zebrać od księży w sutannach.

Są kraje, gdzie Kościół jest podziemny, zakazany (za odprawianie Mszy można trafić w Chinach do obozu koncentracyjnego). I tam księża marzą o noszeniu sutanny. W Polsce za czasów zaborów było podobnie – car zakazał habitów, skasował zakony i wtedy pojawiły się tajne zakony

bezhabitowe. Tamci ludzie za możliwość założenia habitu czy sutanny oddaliby wiele. Dziś ksiądz może sobie paradować w sutannie, gdzie tylko chce – po ulicy, w pociągu, samolocie, restauracji. Jestem zdania, że należy z tej wolności korzystać dopóty, dopóki ona jeszcze jest.

W Szwecji protestanckim „biskupem” Sztokholmu jest lesbijka, która kazała pousuwać krzyże z dachów świątyń, a w ich miejsce ustawić drogowskazy wskazujące Mekkę. Szwecja jest niedaleko od Polski. Niech więc ksiądz nosi tę swoją sutannę z radością choćby dlatego, że tu nadal wolno.

Po stu latach zamilkły dzwony w parafii Bożego Ciała w Bytomiu. Skargę do urzędu wniosło dwóch mieszkańców. DWÓCH. Urzędnicy zakazali bicia w dzwony, a głupi proboszcz się podporządkował. Głupi, jak te panny z przypowieści o pannach głupich i mądrych. Powinien dzwonić więcej! Każdy kościół powinien teraz dzwonić więcej – na „Anioł Pański” i przed każdą Mszą Świętą. Dzwony zniechęcają muzułmanów do osiedlania się na danym terenie. A poza tym dźwięk dzwonów jest piękny i ozdabia miasto, a nie szpeci. Wystarczyło, by proboszcz z Bytomia wykazał się odrobiną twardości i odwagi.

Od osoby pracującej w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji w czasach, gdy Radio Maryja ubiegało się o koncesję, usłyszałem następującą historię: Na przesłuchania w Radzie o. Rydzyk przycho-

dził z obrazem Maryi i chował się za nim, gdy rozmawiał z członkami komisji. Mówił do nich zza obrazu. Komisarze, a szczególnie ci komunistyczni, czuli się głupio, gadając do świętego obrazu, więc koncesję przyznali.

Nawet jeżeli tę historię ktoś zmyślił, to i tak jest doskonałym wzorem właściwej postawy. Ksiądz ma się zasłaniać sutanną, proboszcz prawem kanonicznym, które dla niego stoi wyżej niż dowolne prawo państwowe, biskup ma się zasłaniać krucyfiksem na szyi, a nie chować go do kieszonki w marynarce jak zegarek z dewizką – tak robił bp Tadeusz Pieronek, sekretarz Konferencji Episkopatu, gdy chadzał do Moniki Olejnik na wywiady; chował krucyfiks. A powinien przychodzić w pełnym rynsztunku biskupim z piaską na głowie, z relikwiarzem na palcu. Powinien się przeżegnać na wizji. Monika Olejnik miałaby trudniejszą pozycję startową do swoich wrednych ataków na Kościół.

Kościół ma być po wsze czasy Kościołem walczącym. Gdy przestanie walczyć, zginie, tak jak ginie ten heretycki odłam w Szwecji z lesbijką udającą „biskupa”.

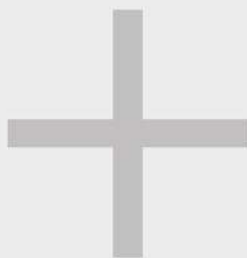
Ksiądz Jerzy Popiełuszko, gdy go komuniści wzięli przymusowo do wojska, miał na szyi medalik. Wojskowy trep kazał mu medalik zdjąć. Szeregowy Popiełuszko odpowiedział: „Niech mi pan sam zdejmie”. I został z medalikiem, bo nawet trep poczuł respekt.

Ze wszystkich powyższych powodów ksiądz ma publicznie zawsze nosić sutannę. A gdzie się podział biret? Biret jest jak czapka oficerska. To dlaczego go nie ma na głowie w czasach, gdy trwa wojna z Kościołem? © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISIĘCIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~514~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. BOGUSŁAW KOWALSKI W ROZMOWIE
Z KATARZYNĄ SZKARPETOWSKĄ:

„CHŁOPAK Z PRAGI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

233,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 281 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7d265be083

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISIĘCIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~874~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STEPHEN J. ROSSETTI:
„DZIENNIK AMERYKAŃSKIEGO
EGZORCYSTY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

402,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 472 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7d265be083